



Dorota Vinet

SIÓDMY SEN

NOVAE RES

Dorota Vinet

SIÓDMY SEN



NOVAE RES

1.

Był pochmurny, szary poranek. Cathy przeciągnęła się i z trudem podniosła z łóżka. Jean pewnie już pije drugą kawę. Młoda kobieta zapaliła lampkę nocną, zerknęła na budzik. Nie pomyliła się, minęła siódma trzydzieści. Okiennice postukiwały, znowu wiało na całego; zima jest w tym regionie raczej ciepła, ale za to bardzo wilgotna. Wilgoci towarzyszy silny wiatr, tak to już jest. Najgorsze są dwa miesiące: styczeń i luty, kiedy dzień budzi się z równym trudem jak Cathy. Gdyby tylko mogła pospać jeszcze trochę, troszeczkę. Nic z tego, nie ma co marzyć – i tak jest już spóźniona.

Cathy narzuciła szlafrok i po omacku zeszła do pustej kuchni. Zapalone światło nagle zmusiło ją do otwarcia oczu. Zaczynał się nowy, szary dzień, a z nim rutynowe czynności: woda gotowała się w elektrycznym czajniku, herbata parzyła w filizance, a chleb opiekał na złoty, kuszący kolor. Na talerzyku pojawiły się tosty, nic tylko masło i dżem. Śniadanie otrzeźwiło ją, dodało energii. Teraz mogła zabrać się do pracy.

Cathy wstawiła brudne naczynia do zmywarki, wytarła pokrywającą kuchenny stół ceratę w kolorowe kwiaty. „Trzeba będzie ją zmienić” – pomyślała, wchodząc po schodach. Pod prysznicem rozbudziła się na dobre. Jeszcze pięć minetek i będzie gotowa. Otworzyła okiennice. Za oknem plucha i szaruga... Jean bez wątpienia już wydoił krowy. Cathy założyła nieprzemakalną kurtkę z dużym kapturem, czerwone gumki i wyszła przed dom. Uniosła oczy. Dzień już wstał, ale słońce ani myślało pokazać czubka swojego nosa. „Biedne zwierzęta – pomyślała Cathy – spędzą kolejny dzień na zabłoconym polu”.

Trzy lata temu Cathy i Jean przejęli gospodarstwo rolne na zachodzie Francji. Oboje pragnęli pracować na wsi, rolnictwo wydawało się idealnym zawodem. Stare budynki należące do dawnego gospodarza zostały wyremontowane. Kiedy jest ładna pogoda, czerwona dachówka połyskuje z oddali. Kamienne ściany budynku prezentują się pięknie.

Cathy przypomniała sobie, jak bardzo dumni byli po ukończeniu prac. Oczywiście musieli pożyczyć sporo pieniędzy. Nic nie szkodzi, są młodzi i pełni sił, a zwłaszcza ochoty do pracy. Pożyczka nie stanowi problemu, zwrócą za kilka lat.

Byli bezgranicznie szczęśliwi, kiedy udało im się ukończyć renowację starej farmy, kiedy zaczęli nowe życie. Fakt, że budynki leżały nieco na uboczu, nie stanowił problemu, oboje mieli prawo jazdy, a rodzice Cathy kupili im w prezencie ślubnym renault clio 3. Rzecz jasna, trzeba było sporządzać listę zakupów, choćby z tego powodu, że kilka kursów dziennie wymagało dużo czasu i paliwa. Nie było mowy o zapomnieniu czegokolwiek.

Jeana pasjonowały zwierzęta, gospodarstwo miało obory, a w pobliskim miasteczku był weterynarz. Młodzi kupili więc kilka sztuk bydła, decydując się na produkcję mleka. Żaden problem, wszystko jest dzisiaj zmotoryzowane, mechaniczne dojarki ułatwią im pracę. Oczywiście będą musieli zajmować się dojeniem dwa razy dziennie, w tym pierwszy wcześniej rano, zanim krowy udadzą się na pastwisko.

Pierwszego roku Cathy wstawiała wcześniej i zajmowała się porannym dojeniem, następnie Jean karmił zwierzęta i prowadził je na pole. Krowy były spokojniejsze, kiedy wieczorne dojenie odbywało się po posiłku. Cała praca spoczywała więc na barkach

Jeana, Cathy zajmowała się kolacją. Rozległe gospodarstwo pozostawiało im wiele miejsca i tyle samo możliwości. Po namyśle małżeństwo zakupiło parę prosiąt, kilka kur oraz psa. „Nie ma prawdziwego rolnika bez psa” – stwierdziła Cathy. Jet był rasowym borderem collie, prawdziwym psem pasterskim. Oboje zachwycili się na widok małej, puchatej kulki o różowym jęczyczku stale liżącym ich po szyjach. Kulka rosła jak na drożdżach i zanim się spostrzegli, stała się wiernym, czujnym psem podwórkowym. Stojący na uboczu dom był teraz dobrze strzeżony. Jet przywiązał się szczególnie do Cathy, której nie opuszczał ani na chwilę, niestrudzenie biegając za nią od rana do wieczora. Jean uśmiechał się tylko, stwierdzając, że nikt nie zbliży się do jego żony; z podobnym obrońcą u boku nie ryzykowała niczego.

Cathy z rozczuleniem przyjmowała wyrazy przywiązania, którymi obdarzał ją Jet. Lubiła jego obecność, kiedy karmiła kury i prosięta, czyściła ich zagrody czy udawała się na pole, żeby przyprowadzić krowy na wieczorne dojenie. Pies uwielbiał samochód i chętnie jeździł do miasteczka po zakupy. Rozłożony na tylnym siedzeniu pochrapywał cichutko, czasami zdarzało mu się nawet szcęknać przez sen. O czym mógł marzyć? Kto wie, może psy śnią? Jak by nie było, kiedy tylko Cathy zatrzymywała samochód, Jet podnosił się równie szybko, jak usypiał. Pod jej nieobecność sadowił się zawsze na przednim siedzeniu należącym do kierowcy i nie spuszczał oka ze sklepu, do którego udawała się na zakupy. Obojętny na przechodniów, głuchy na nawoływania zachwyconych jego widokiem dzieci, Jet wiernie czekał na swoją panią. Nic nie mogło oderwać go od tej jedynej liczącej się teraz czynności: oczekiwania. Był równie uparty, co wytrwały.

Zakupy przedłużały się czasami w zależności od kolejek czy spotkanych przez Cathy znajomych.

Młode małżeństwo szybko zdobyło wielu przyjaciół. W miasteczku nie brakowało par w ich wieku, z dziećmi lub bez, które tak jak oni marzyły o spokojnym życiu na wsi. Żadna nie zajmowała się jednak rolnictwem. Dwie wyjeżdżały do pobliskiego miasta, gdzie absorbowała je praca biurowa, inne znalazły zajęcie tutaj, na miejscu, pracując w piekarni, masarni czy w małym barze. Wszyscy wyglądali na zadowolonych z podjętej decyzji i zgodnie twierdzili, że życie w tym spokojnym, małym miasteczku ma swoje uroki. No, może zimą było tu trochę smutniej niż w dużym, proponującym wiele atrakcji mieście. Może chandra dopadała ich w te szare, deszczowe dni, kiedy nie bardzo wiedzieli, co z sobą zrobić. Poza barem nie było tu ani jednego miejsca, gdzie mogliby się spotykać. Fakt ten sprawił, że szybko stali się przyjaciółmi i mogli teraz dyskutować do woli, organizując kolacje przed kominkiem. Tak, to była ta dobra strona. W dużych, bezdusznym miastach ludzie mijają się, nie zamieniając ze sobą ani słowa. W dużych, bezdusznym miastach ludzie spieszą się, biegają od rana do wieczora nie bardzo wiadomo za czym. W dużych, bezdusznym miastach nikt nie traci czasu na dyskusowanie ze znajomymi w sklepie, a korki pochłaniają ogrom cennych minut przeznaczonych na przygotowanie posiłku i odpoczynek. W tym małym miasteczku mieli przynajmniej prawdziwych przyjaciół, prawdziwe życie.

Po objęciu gospodarstwa Cathy i Jean byli najszczęśliwszą parą na świecie. Zwierzęta miały się dobrze, ogródek okalający dom pełen był pielęgnowanych przez

Cathy kwiatów i świeżych warzyw. Mieli własne jaja i od czasu do czasu kury na dobry, domowy rosół. Wieczorki ze znajomymi odbywały się regularnie, nie brakowało im towarzystwa. Latem korzystali ze świeżego powietrza aż do późnych wieczornych godzin. Cathy ustawiła duży stół pod lipą. Tutaj rozprawiali o ich życiu, dniach spędzonych na pracy, planowanych wakacjach, przyszłości. Zawsze znajdował się odpowiedni temat. Oczywiście mieli sporo zastrzeżeń odnośnie do rozwoju ich małego miasteczka: oj tak, przydałaby się szkoła, jak również biblioteka miejska. Nieliczne dzieci w wieku szkolnym jeździły autokarem do oddalonej o przeszło dziesięć kilometrów nieco większej miejscowości, która miała własną szkołę, a nawet college. Musiały wstawać wcześniej, zimą było im trudno. Tak, mała szkoła byłaby dobrym nabytkiem. Jak zwykle brakowało funduszy. Miasteczko nie było bogate, a dotacje zmniejszały się z roku na rok. Brakowało również biblioteki. Cathy kupowała kilka książek za każdym razem, gdy udawało im się wyrwać do oddalonego o dobre trzydzieści kilometrów Nantes. Wymieniała je ze znajomymi, ale to nie to samo. Lubiła kryminały, w wolnych chwilach z trudem odrywała się od lektury ostatnich wydań Jake'a Arnotta czy Michaela Connelly'ego. Pociągały ją także powieści obyczajowe, a nieco mniej – proponowane przez przyjaciół książki przygodowe lub autobiografie. W obliczu faktu nieobecności biblioteki czytała jednak, co popadło.

Zimą kominek rozweselał ich spotkania, zwalczał wciskającą się zewsząd wilgoć. Ugotowana na gorącej płycie fasolka była ich ulubionym daniem. Cathy nauczyła się opieką chleb przy kominku. Nie mogli marzyć o przyjemniejszym życiu. Z kuchni dobiegał wesoły śmiech zebranych przyjaciół. Tak, dobrze zrobili, wybierając to małe, otoczone rozległymi polami miasteczko, oraz ten trudny, ale jakże satysfakcjonujący, zawód rolnika.

Tego ranka Cathy miała jednak zupełny mętlik w głowie. Coś się zmieniło... Zmęczenie nie pozwalało jej dłużej zastanawiać się nad tym, co odczuwa. Potykając się, dotarła wreszcie do budynków gospodarczych i otworzyła drzwi obory. Jean podniósł głowę, uśmiechnął się. Cathy przyglądała mu się z czułością, zapominając o pokrytych błotem gumiakach, mokrej twarzy i lepiących się do czoła niesfornych kosmykach, którym udało się wymknąć spod kaptura.

– Jak ci się spało, księżniczko? Tutaj już skończyłem, trzeba by zająć się prosiakami i dorzucić trochę ziarna kurom – rzucił Jean.

Nagle uważniej przyjrzał się żonie. Zawsze był dumny na sam widok tej smukłej, wysokiej sylwetki. Długie, kasztanowe włosy zmoczone deszczem kleiły się do policzków. Zielone, ocienione gęstymi rzęsami oczy były jakby przygasłe. Cathy wyglądała na zmęczoną, a może zniechęconą?

– Zajmę się tym – odpowiedziała bez zwłoki i pocałowała męża w policzek. – A zaraz potem pojedę na zakupy. Powiedz: mogę zostawić ci Jeta? Przy tej pogodzie przemoczy moje siedzenie, i tak już mam dosyć tej wilgoci.

– Nic się nie martw, zostanie ze mną, chce czy nie chce, i będziesz mogła pojechać spokojnie. Wszystko wskazuje na to, że pogoda nie zmieni się przed upływem kilku dni, najlepiej będzie zrobić trochę zapasów, żeby uniknąć jeżdżenia po tym deszczu. Zostało nieco zupy? Powinna wystarczyć na dzisiejszy obiad. Nie spiesz się, zrób porządne

zakupy i skocz do baru na herbatę, trochę towarzystwa dobrze ci zrobi – dorzucił Jean.

– Chyba masz rację. Po raz pierwszy zdaję sobie sprawę, że tutejsza pogoda nie pasuje do mojego charakteru. – Cathy uśmiechnęła się wreszcie. – No i zima jest w tym roku taka długa i taka wilgotna. Wrócę na obiad.

Cathy dojechała do miasteczka akurat na czas. Ulewa wzmogła się, kiedy tylko kobieta weszła do sklepu. Silny wiatr smagał przechodniów, strumienie wody płynęły teraz wzdłuż ulicy. Przemoczeni do suchej nitki klienci otrzepywali kurtki, starannie wycierając obuwie. Cathy spokojnie wypełniała koszyk niezbędnymi produktami. Nie miała czasu na sporządzenie listy, ale Jean zasugerował, żeby zrobić spore zapasy. Do dzieła: dwa lub trzy kilogramy mąki, cukier, kawa i herbata z pewnością się przydadzą. No i masło, parę serów i sok pomarańczowy. Wreszcie wędlina i mięso na parę dni. Reszta potrzebnych produktów pochodziła z ich własnego ogródka. Przy kasie rosła kolejka. Cathy zatrzymała się jeszcze na chwilę, wybrała parę tabliczek czekolady i paczkę ciasteczek. Otworzyła ją w barze, przy herbatce.

Kiedy przemoczona do cna usadowiła się wreszcie przy stoliku, Romain, znajomy i właściciel baru, z miejsca podał jej gorącą herbatę. Cathy odsunęła stojące obok krzesło i wskazała je gestem ręki.

– Masz chwilę? Przyniosłam ciastka.

– Sama widzisz, przy tej pogodzie nie oczekuję na tłumy klientów. Poczekaj, zrobię sobie kawę.

Romain pojawił się przy stoliku, zanim się spostrzegła.

– Jesteś wolna cały ranek?

– Czemu pytasz?

– Herbata mnie nie dziwi. Ale ciastka...

Cathy się uśmiechnęła.

– Ten deszcz zaczyna mnie nudzić, Jean doskonale zdał sobie z tego sprawę. Mam cały ranek aż do obiadu i co, miałabym nie skorzystać?

– Tego nie powiedziałem – odparł rozbawiony teraz Romain. – Wprost przeciwnie: czuję się zaszczycony, że spędzasz ten czas w moim barze. Z drugiej strony: wybór nie jest znów tak duży, no chyba że miałabyś cały dzień do stracenia. W Nantes z pewnością pozbyłabyś się chandry.

– Też tak myślę. Gdyby tylko ten deszcz wreszcie przestał padać. Mam wrażenie, że pogoda nie zmieni się nigdy.

– Żałujesz, że wybraliście ten region, co?

– Sama nie wiem, podoba nam się tu, no i gospodarstwo jest dokładnie takie, o jakim marzyliśmy. Nie o to chodzi. Od pewnego czasu źle znoszę tę szarugę.

– Przydałyby wam się dłuższe wakacje.

– Aha, ale co zrobić ze zwierzakami? Możemy zabrać jedynie Jeta... Inni rolnicy mają po uszy własnych kłopotów. Oglądasz wiadomości?

– Jak każdy. Mleko coraz taniej się sprzedaje, wiem.

– No właśnie, a praca pozostaje taka sama. Raty do spłacenia za dom również.

– Nie bardzo wiem, co ci poradzić... Wiesz, bar nie przynosi nam znowu takich wspaniałych dochodów, miasteczko jest małe, klienci nieliczni, ale lubimy tę pracę, póki

pozwała nam utrzymać rodzinę.

– No właśnie. Jest nas tylko dwoje, co będzie, kiedy przyjdą na świat dzieci?

– Teraz rozumiem. Masz ochotę zająć się niańczeniem.

– Romain! Powiedzmy, że moment jest odpowiedni, żeby powiększyć rodzinę.

I sama nie wiem, jak sobie damy radę.

– Możecie zakupić trochę więcej ziemi i zająć się uprawą kukurydzy, czy ja wiem.

– Lubimy nasze zwierzaki... Pola uprawne to nie to samo. Oczywiście, masz rację, być może będzie to jedyne wyjście.

– Wiesz co, przyjdźcie jutro na kolację, porozmawiamy, może nie rozwiążemy problemu, ale za to miło spędzimy czas – zaproponował Romain.

– Chętnie – zgodziła się Cathy natychmiast. – Popatrz tylko na tę pogodę. Jest chyba gorzej niż przed chwilą, a ja muszę już uciekać. Nie chcę zrzucać całej roboty na Jeana.

Wiatr nasilał się z godziny na godzinę. Za oknem było teraz wyjątkowo ciemno.

– Znosi się na niezły sztorm, skoro nawet tutaj, sto kilometrów od wybrzeża, tak silnie wieje – rzucił Romain. – Uważaj na siebie, drogi są śliskie.

Cathy pożegnała się w pośpiechu i pobiegła do samochodu. Przemoczona usiadła za kierownicą. Widoczność znacznie zmaląła, a strugi deszczu nie ułatwiały prowadzenia pojazdu. Jechała ostrożnie, zachowując umiarkowaną szybkość, mimo to udało jej się dotrzeć do domu na obiad.

Zupa już grzała się na kuchni, Jean nakrył do stołu. Cathy z trudem przeniosła wszystkie zakupy do domu.

Szcześliwy z powodu powrotu ukochanej pani Jet biegał za nią bez ustanku. „Gdybyś tylko mógł mi pomóc” – myślała rozbawiona Cathy, spoglądając na przemoczonego psa. Jean bez słowa podał jej ręcznik i zajął się układaniem zakupów, wybierając te, które należało przechowywać w lodówce, układając całą resztę w kuchennej szafce. Wysuszona Cathy umyła ręce i wreszcie mogli zabrać się do jedzenia. Gorąca zupa szybko rozgrzała jej policzki. Cathy odzyskała siły i głos. Opowiadała teraz o swojej wizycie w barze, o propozycji Romaina. Jean odetchnął z ulgą, najwyraźniej martwił się bez potrzeby, Cathy wystarczyła jedynie chwila wytchnienia. Szkoda, że nie zaproponował jej wcześniej tego wypadu do miasteczka. Sam źle znosił pochmurne dni. Niepokoił się o ich przyszłość... Ceny skupu mleka nie rokowały niczego dobrego. Jean nie ośmielał się poruszać tematu z żoną, ale wiedział już, że trzeba będzie wprowadzić zmiany, żeby gospodarstwo pozostało rentowne. Patrząc na ożywioną twarz Cathy, odprężył się wreszcie i z uśmiechem rozprawiał o planowanym wieczorze u rodziny Romaina.

Dzień zleciał szybko. Małżonkowie machinalnie wykonywali swoją pracę. Wieczorem zamyśleni przysiedli w ciepłe kominka. Nawet program telewizyjny nie wystarczył, żeby poprawić im humor. Przez chwilę przeskakiwali z kanału na kanał, decydując się wreszcie na wyłączenie telewizora.

W łóżku powitała ich chłodna pościel. Wilgoć nie oszczędziła sypialni, chociaż wyremontowana farma była dobrze izolowana. Cathy złapała zaczęty kryminał, a Jean pogрузzył się w lekturze prenumerowanego od wielu miesięcy czasopisma rolniczego.

Zasnął po kilku stronach. Cathy z czułością wyjęła miesięcznik z rąk męża, zgasiła lampkę nocną i wtulając się w ciepłą teraz pościel, zapadła w kamienny sen.

*

Drobna mżawka siąpiła nieprzerwanie od samego rana. Kate nie zwracała nawet uwagi na małe kałuże pokrywające Trafalgar Square. Wzrokiem szukała szyldu z nazwą pubu: The Chandos, gdzie podobno szukano kelnerki. Po całej godzinie spędzonej w metrze Kate liczyła, że zostanie przyjęta i zacznie pracę najszybciej, jak tylko będzie to możliwe. Jej marne oszczędności topniały jak śnieg na wiosnę, niedługo nie będzie mogła zapłacić za pokój gościnny w położonym daleko od centrum B&B[1].

Wreszcie znalazła to, czego szukała. Leżący na rogu ulic St. Martin's Lane oraz William IV Street pub był tak duży, jak sobie wyobrażała. Ciemne drzewo zdobiło fasady. O tej godzinie nie powinno być zbyt wielu klientów, będzie mogła porozmawiać spokojnie, przedstawić się, zapytać, czy potrzebują kelnerki. Żwawo ruszyła w stronę lokalu. Weszła i rozejrzała się dokoła. Meble i boazerie z ciemnego drzewa tworzyły ciepłą, intymną atmosferę. Podłogę pokrywał jasny parkiet. Na ścianach nie brakowało obrazów oprawionych w ciemne drewniane ramki. Ozdobne kafelki z kolorowej ceramiki wieńczyły boazerię, miło kontrastując z żółtym kolorem ścian. Kate się uśmiechnęła. „Jak miło będzie tutaj pracować”.

Centrum Londynu jest tak pociągające, zajęta poszukiwaniem pracy jeszcze nie miała czasu na zwiedzanie. Delektowała się błogim uczuciem zadowolenia, którym napawał ją sam fakt pobytu w stolicy. Owszem, lubiła wieś, ale ruchliwe, duże miasta przyciągały ją od dawna. Wreszcie podjęła decyzję: w Londynie z pewnością znajdzie pracę i zacznie prawdziwe życie.

Uśmiechnięta zbliżyła się do stojącego za kontuarem mężczyzny. Zamówiła małe jasne piwo i usiadła przy barze. Szybko wywiązała się rozmowa. Kelner był miłym, młodym chłopakiem noszącym wdzięcznie imię – Jack. Kate postawiła na szczerość. Tak naprawdę nie miała ochoty na piwo, szukała pretekstu do rozmowy. Czy aby Jack słyszał, że pub potrzebował nowej kelnerki? Nie, nigdy jeszcze nie pracowała, niedawno ukończyła szkołę. To będzie jej pierwsza praca. Nie, nie miała pojęcia, jak długie mogą być dni spędzone w pubie – w godzinach szczytu klienci przychodzą tutaj licznie, trzeba pracować szybko, uważać na turystów, przyzwyczać się do ich okaleczonego angielskiego.

– No dobrze, teraz już to wiem. Szukacie kelnerki czy nie?

– Szukamy. Możesz spróbować. Właściciel przychodzi około południa, poczekaj, jeśli ci na tym zależy.

– Super. Dzięki za informację.

– Może wejdiesz na piętro? Jane powinna mieć teraz trochę czasu, poproś, żeby pokazała ci kuchnię i całą górę. Masz dobrą godzinę czekania, przynajmniej ją wykorzystasz.

– Dziękuję, Jack.

Kate dokończyła piwo i szybko wdrapała się na piętro. Jedną ze ścian wypełniał olbrzymi kominiek nadający wnętrzu ciepłą, radosną atmosferę. Pośrodku pomieszczenia

na kolorowych, wełnianych dywanach stały niskie ławy i pokryte ciemną skórą małe, wygodne taboreciki. Całość była jeszcze bardziej przytulna niż parter.

Jane przyjęła przybyłą z otwartymi ramionami.

– Mam nadzieję, że właściciel cię zatrudni. Potrzebuję pomocy. Sama zobaczysz, za niecałą godzinę będzie tu pełno turystów i pracujących w pobliżu londyńczyków.

– Obyś miała rację. Chętnie podjęłabym pracę jeszcze dzisiaj.

– Tak ci spieszo? – roześmiała się Jane. – A masz kogoś do masowania zmęczonych stałym dreptaniem stóp?

– Nie przesadzaj.

– Chodź, pokażę ci, co będziesz robić, jeśli zostaniesz zatrudniona.

Kate potaknęła z zapalem. Przez kilka minut uważnie wsłuchiwała się w wyjaśnienia Jane, zrozumiała, jak funkcjonuje kuchnia, gdzie znajdują się bloczki do notowania zamówień, zapamiętała, że dania dostają się na piętro za pomocą windy do potraw. Tak, będzie jej tutaj dobrze, musi dostać tę pracę.

Jane uważnie przypatrywała się swojej nowej koleżance. Kate była naprawdę ładną dziewczyną: wysoką, ciemnowłosą, o piwnych, błyszczących oczach. Tryskała energią i entuzjazmem. Z pewnością będzie dobrze pracować, a pomoc jest teraz niezbędna. Za kilka tygodni zacznie się sezon turystyczny i Londyn wypełnią napływający z całego świata podróżni. Nie ma mowy, Jane nie da sobie rady bez dodatkowej kelnerki. Oby tylko Kate spodobała się panu Moore.

Właściciel pojawił się wreszcie. Po krótkiej rozmowie był równie zadowolony jak Jane. Tak, potrzebował kelnerki, Kate będzie odpowiednia. Jest miła, rozmowna, zwinna i wystarczająco młoda, żeby chodzić cały dzień. Jeśli chce, może zacząć od teraz. Po uzgodnieniu warunków Kate założyła biały fartuszek i ustaliła z Jane, że lepiej będzie, jeśli zacznie pracę na pierwszym piętrze. Jack uśmiechnął się na jej widok. Zauważył, że ta dziewczyna miała silny charakter. Postanowiła, że będzie tutaj kelnerką, i – proszę – zdobyła posadę. Okres próbny z reguły trwał trzy miesiące, po których pan Moore proponował kontrakt na dłużej.

Pierwszy dzień zleciał w mgnieniu oka. Późnym wieczorem Kate niemalże usnęła w metrze. Kiedy tylko znalazła się w swoim pokoiku, w ubraniu padła na łóżko i zasnęła twardym snem. Następnego dnia pracowała po południu i z góry obiecała sobie, że uda się do centrum nieco wcześniej i zacznie zwiedzanie miasta.

Gwar panujący na schodach małego B&B o ósmej rano mógł obudzić nawet największego śpiocha. Kate przeciągnęła się i wstała z łóżka. Pryszyć z lodowatą wodą, do której musieli przyzwyczać się ci, którzy wstawali najpóźniej, nie pozbawił jej dobrego humoru. W kilka minut była gotowa, śniadanie zajęło jej tylko chwilkę. Jazda metrem okazała się tym razem znacznie przyjemniejsza. Przynajmniej miała cel: znalazła upragnioną pracę. Jej nowi koledzy Jane i Jack byli sympatyczni i pomagali jej przez pierwszy, długi dzień spędzony w pubie. Dzisiaj sama da sobie radę.

Opuszczając stację metra, Kate zawahała się przez moment: od czego zacząć? Wreszcie zdecydowała się na przechadzkę w samym centrum. Obeszła Trafalgar Square, wszystkie odbiegające od placu ulice i udała się w stronę Coven Garden. Owa słynna dzielnica zachwycała ją, a liczący przeszło pięćset lat targ był rzeczywiście wart

zwiedzenia. Liczne sklepiki kusily nie tylko turystów. Herbaty, pachnące mydełka, kolorowe szale, szykowne kreacje przyciągały wzrok. Dużą część zadaszonego targu zajmowały zwykłe kramy proponujące nieprzebraną ilość różności: od obrazów po zwykłe kolorowe podkoszulki. Nie brakowało rzecz jasna miniaterek zabytków Londynu czy przedmiotów z wizerunkiem rodziny królewskiej. Zupełnie jakby herbata miała być smaczniejsza, kiedy pije się ją w filiżance, na której uśmiecha się książę Walii – William. Kate zjadła olbrzymią kanapkę z kurczakiem i zafundowała sobie wyborną zieloną herbatę w pięknej filiżance. Cieniutką porcelanę pokrywały czerwone pąki róż. Herbaciarnia była wyjątkowo przytulna, chociaż pod względem dekoracji oraz dominujących pastelowych kolorów kontrastowała z Chandosem. Stoliki oraz parkiet wykonano tutaj z jasnego, sosnowego drzewa. Ściany pomalowano na żółto, zielono i różowo. Kolorowe świeczniki oraz wazoniki z kwiatami zdobiły każdy stolik. Na piętrze pośrodku obszernej sali królował duży drewniany stół. Kate z miejsca spodobał się ten pomysł. Przy stole sadzano rozmaitych klientów. Całość przypominała dużą biesiadną salę. Z każdego rogu stołu dobiegały rozmowy w odmiennych językach. Stół był na tyle szeroki, że nikt nikomu nie przeszkadzał, Kate odniosła wrażenie, że nie je sama, ale w towarzystwie przynajmniej trzydziestu innych osób. Czas zleciał w mgnieniu oka i już trzeba było gonić do pracy.

Z żalem porzuciła Coven Garden i szybkim krokiem ruszyła w stronę Trafalgar Square. Jack ziewnął na jej widok.

– Wygląda na to, że dopiero co wstałeś – zakpiła Kate.

– To prawda. Wczoraj wieczorem świętowałem urodziny dawnego kolegi z pracy. Przedstawię cię kiedyś. Phil jest najbardziej roztargnioną osobą na świecie i najlepszym z przyjaciół. Spodoba ci się.

– Chętnie go poznam. Jak dotąd rozmawiam głównie z tobą i z Jane. Nie licząc właścicielki mojego B&B, z którą chętnie jem śniadanie.

– Co takiego? Mieszkasz w B&B?

– Tymczasowo, przypominam ci, że pracuję dopiero od wczoraj. Mam trochę oszczędności, ale na hotel nie wystarcza. Dzisiaj zwiedziłam Coven Garden, przespacerowałam się po pobliskich ulicach. Najbliższe dni zamierzam spędzić na zwiedzaniu miasta, ale za jakieś dwa tygodnie zajmę się szukaniem małego pokoiku. Wiesz, jadę dobrą godzinę metrem, w obie strony daje to ponad dwie godziny transportu dziennie. Nie skarżę się, ale przyjemniej byłoby mieszkać bliżej centrum. Czy to tylko wrażenie, czy rzeczywiście jest mało klientów?

– Poczekaj, jeszcze chwilkę i zaczniesz biegać w tę i z powrotem z talerzami w rękach. – Jack się roześmiał.

Ukradkiem przypatrywał się Kate przez całe popołudnie i wieczór. Nigdy nie zdarzyło mu się spotkać równie żywej i przyjemnej dziewczyny. Uwijała się między stolikami, zupełnie jakby pracowała tutaj od wieków. Jej uśmiech zdawał się zaraźliwy, w pubie panowała wesoła atmosfera. Jack ziewnął po raz kolejny i stwierdził, że musi przedstawić Kate Philowi.

Wieczorem zmęczenie malowało się na wszystkich twarzach. Jane ledwie trzymała się na nogach, Jack spał na stojąco. Kate również marzyła o łóżku. Pozostawała podróż

metrem. Tym razem droga wydała się dłuższa. „Może powinnam zająć się szukaniem pokoju trochę wcześniej?” – myślała Kate. Szybko odrzuciła ten pomysł, i tak nie będzie mogła sobie pozwolić na opłacanie pokoju przed otrzymaniem pierwszej pensji. „Zobaczymy, nie trzeba się zniechęcać. Jutro czeka mnie kolejny dzień i zwiedzanie miasta” – pomyślała zachwycona. Natychmiast poczuła przypływ energii. Londyn był cudowny.

Po dobrze przespanej nocy Kate obudziła się pełna optymizmu. Śniadanie z właścicielką B&B zajęło jej trochę więcej czasu. Z zapałem opowiedziała o swoich wrażeniach, Coven Garden był dla niej najpiękniejszym targiem na świecie, a The Chandos – najmiłym z pubów. Niemalże tanecznym krokiem opuściła pensję i szybko udała się na stację metra. Przez całą drogę zastanawiała się, dokąd się udać. Opuszczając metro, natknęła się na Jacka.

– Hej, Kate, jak się masz? Nadal pełna energii?

– Wyobraź sobie, że nie zmieniłam się od wczoraj – rzuciła Kate, przybierając jeden ze swoich uroczych, zaraźliwych uśmiechów. – A ty co tutaj robisz? Pilnujesz metra?

– Czekam na ciebie, rzecz jasna. Pomyślałem sobie, że może przyda ci się przewodnik. Nie jestem rodowitym londyńczykiem, ale mieszkam tutaj już od dobrych dziesięciu lat. Tata pracuje w banku, przeniesiono go do filii w Londynie i z nim całą naszą rodzinę.

– Aha, i nie miał ci za złe, że nie poszedłeś jego drogą? No wiesz, w tym przypadku rodzice rokują nadzieję, że ich latorośle również zrobią karierę...

– Na początku tak, studia nie pociągały mnie ani trochę, nie znoszę matematyki, na samą myśl o pracy w zamkniętym biurze przechodzą mnie ciarki. To jak, zgoda na wspólną wycieczkę?

– Chętnie. Jeszcze nie zdecydowałam, co chciałabym dzisiaj zobaczyć.

– A może Buckingham Palace? Nie pada, zmiana warty jest o jedenastej. Przy okazji przejdziemy się parkiem. Zaliczyłaś już jakiś park? Wiesz, że w Londynie ich nie brakuje.

– Nie, znam jedynie nazwy... – Kate wybuchnęła śmiechem. – Czasami mi się wydaje, że od lat znam na pamięć plan Londynu. Żeby udać się pod Buckingham Palace, trzeba przejść przez Green Park, nie myłę się?

– Jestem pełen podziwu. – Rozbawiony Jack z trudem zachował powagę.

Ta dziewczyna była doprawdy niesamowita. Zupełnie różna od znanych mu dotąd młodych dziewczyn. Coraz mniej miał ochotę na zapoznanie jej z Philem. „Czyżbym był zazdrosny!?” Myśl ta wprawiła go w osłupienie, a przecież była bliska prawdy. Nie miał czasu na zgłębienie przepełniających go uczuć. Nie przestając rozprawiać, Kate już kierowała się w stronę Green Parku. Minęli popularny Piccadilly Circus. Kiedy zbliżyli się do znanego sklepu Fortnum & Mason, Kate zwolniła zauroczona piękną wystawą.

– Jesteś jak wszyscy turyści – zażartował natychmiast Jack.

– Nie podoba ci się? W życiu nie widziałam piękniejszej wystawy... Dzisiaj nie mam czasu, ale jutro rano wpadnę tutaj.

– Może lepiej poczekać na pierwszą pensję? Wnętrze jest równie kuszące jak ta wystawa – sprecyzował Jack – ale rzeczywiście warte zobaczenia.

– Zastanowię się. Tymczasem w drogę, nie chcę przegapić zmiany warty.

Green Park był jeszcze szary. Pozbawione pączków drzewa kołysały się na lekkim wietrze. Pomimo dość pochmurnej pogody nie brakowało spacerowiczów. Kate rozglądała się dokoła.

– Wrócimy na wiosnę, kiedy zazielenią się drzewa, zakwitną kwiaty. Najbardziej lubię to miejsce latem. Trawnik zmienia się wtedy w gigantyczny teren na piknik. Jest naprawdę fajnie.

– Wyobrażam sobie – szepnęła Kate zachwycona. – Wiesz, tutaj jest chyba jeszcze piękniej niż w okolicy naszego pubu. Lubię moją pracę. Gdybym tylko mogła znaleźć jakiś mały, maciupęcki pokój tutaj, koło parku.

– Spójrz tylko na te budynki. Nawet sobie nie wyobrażam, ile pensji trzeba by poświęcić, żeby wynająć mieszkanie z widokiem na park – skomentował Jack.

Na chwilę zapanowało milczenie. Kate upajała się widokiem. Była szczęśliwa; praca zajmowała jej dużo czasu, ale mogła sobie pozwolić na zwiedzanie miasta. Jack przyglądał się jej ukradkiem, rozmyślając nad tym, czy powinien przedstawić jej propozycję, która chodziła mu po głowie już od wczorajszego wieczoru. Znali się od tak niedawna... Chłopak obawiał się reakcji Kate. Nie bardzo wiedział, czy dziewczyna dobrze go zrozumie, a zwłaszcza czy mu zaufa. Od kilku lat wynajmował małe mieszkanie położone na Stamford Street. Należało wprawdzie przejść przez Tamizę, ale było to znacznie bliżej centrum niż wynajmowany przez Kate pokój w B&B. Jack miał do dyspozycji salon z małą kuchnią, niewielki pokój i jeszcze mniejsze biuro. Mógłby zaproponować je Kate. Komputer zmieści się w jego pokoju. Dzielnica była przyjemna, a do pracy Jack chodził na piechotę. Spacer trwał około trzydziestu minut i dobrze mu robił, przynajmniej oddychał nieco przed zamknięciem się na cały dzień w gwarnej barze.

W milczeniu dotarli przed ogrodzenie Buckingham Palace. Otaczała je gromada turystów, niemal klejąc się do metalowych prętów. Jack znalazł miejsce dla Kate. Sam pozostał nieco z tyłu. Nieraz już miał okazję uczestniczyć w zmianie warty. Kate spoglądała przed siebie z otwartymi ustami i roziskrzonymi oczyma. Obojętna na otaczający ją gwar turystów, nawoływania, krzyki i śmiech nie spuszczała wzroku z wartowników. Wreszcie wybiła jedenasta. Rozpoczął się prawdziwy spektakl, który każdego dnia bez względu na pogodę przyciągał setki ludzi. A było na co popatrzeć. Kate czuła się dumna. Nie wyobrażała sobie życia w innym kraju. Tutaj mieszkała królowa! Powiewająca na wietrze flaga oznaczała obecność w pałacu monarchini Elżbiety II. Czerwono-czarne uniformy wartowników defilowały przed oczyma Kate. Rozbrzmiewała muzyka fanfar. Kate czuła się, jakby znalazła się w innym świecie. Spektakl zakończył się zbyt szybko jak na jej gust. Turyści rozeszli się gromadkami. Kate mogła teraz przespacerować się wzdłuż ogrodzenia. Milczała nadal, a Jack nie ośmielał się przerywać ciszy. Wreszcie dziewczyna westchnęła i przywołała na usta swój uroczy uśmiech. Teraz była sobą.

– Dzięki za towarzystwo. Warto było poświęcić czas, jak myślisz? Ależ ze mnie głuptas, pewnie już oglądałeś zmianę warty dziesiątki razy.

– No niezupełnie, może dwa albo trzy razy. Za to często bywam w Green Parku.

James Park też jest przyjemny. Lubisz wiewiórki? Nawet o tej porze roku biegają po alejkach. Szkoda, że nie mamy niczego do jedzenia. *À propos*: nie jesteś głodna? Ja chętnie przekąsiłbym co nieco przed pracą.

– Tak, ja również. Po drodze nie brakuje możliwości, widziałam co najmniej dwa Starbucksy. Nie mamy czasu na zjedzenie czegoś porządniejszego. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe i że nie będziesz głodny przez całe popołudnie – dorzuciła, spoglądając wreszcie na Jacka.

– No coś ty, przypominam ci, że czekałem przed metrem jak wierny pies. Dlaczego miałbym żałować? – zażartował Jack.

Kate po raz pierwszy poczuła się zażenowana. Spuściła oczy i poczerwieniała nieco. Szybko zapanowała nad sobą, chociaż serce biło jej w piersiach.

– W podzięce za towarzystwo zapraszam cię na kanapkę i kawę do Starbucksa. Romantycznie, co?

– Nie ma wątpliwości – roześmiał się Jack.

Zawstydzenie dziewczyny nie uszło jednak jego uwadze. Może był to dobry znak, może on również nie był jej obojętny? Jack miał teraz prawdziwy mętlik w głowie. Znali się zaledwie od trzech dni, a już trudno mu było obejść się bez niej. Dobry humor, energia, pełen wdzięku uśmiech tej dziewczyny zmuszały go do skupienia wszystkich myśli na jej osobie. Czy w takiej sytuacji powinien zaproponować Kate wspólne mieszkanie? Nie chciał psuć ich przyjaźni, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że kolejne tygodnie jazdy metrem do i z pracy znacznie zmniejszą siły najzwinniejszej ze znanych mu kelnerek.

Kate rozprawiała teraz z wesołością o wszystkim i o niczym. Starła się ukryć własne skrępowanie. Od rana zdawała sobie sprawę, że Jack nie spuszczał z niej oczu. Ale dlaczego? Nie spostrzegła tego wcześniej. Był miły, znali się krótko. Ufała mu, ale wolała zachować dystans. A przecież... wyjątkowo miło było przebywać w jego towarzystwie. Dlaczego nic nie mówił? Kate czuła się zbита z tropu, a nie zdarzało się to często. Paplała jak nigdy dotychczas.

Wreszcie dotarli do Starbucksa. Kate zamówiła dwie kawy i duże kanapki. Jack wypatrzył wolny stolik. Kiedy tylko usiedli, zaczął rozmowę:

– Chciałbym ci coś zaproponować... Ale przyznaję, że nie bardzo wiem, od czego zacząć.

– Od początku – odparowała Kate, uśmiechając się od ucha do ucha. – Przepraszam, zamieniam się w słuch.

– Od początku... No dobrze. Obiecuj mi, że się nie obrazisz.

Kate zaczerwieniła się ponownie. W popłochu myślała, że powinna coś odpowiedzieć, ale po raz pierwszy zupełnie nie wiedziała co. Wreszcie uniosła oczy.

Jack uśmiechał się przyjacielsko.

– Wyglądasz na wystraszoną albo zażenowaną. Kate, znamy się od trzech dni, rozumiem twoją reakcję. Mogę zacząć? – zapytał z pełnymi ustami.

Kate odetchnęła. „Ale ze mnie głuptas – pomyślała. – Wyobrażam sobie Bóg wie co, może chodzi o pracę, może Jack chce mi coś poradzić, może...”

– Słuchasz mnie, Kate?

– Tak, tak... No, lepiej będzie, jeśli powtórzysz to, co powiedziałeś.

– OK. Skup się, nie jest mi łatwo. Myślałem o twoich podróżach metrem... Dwie godziny dziennie to dużo. Nie jestem pewien, czy wytrzymasz jeszcze kilka tygodni, do wypłaty. No i szukanie mieszkania może okazać się trudniejsze, niż sobie wyobrażasz.

– A co proponujesz? – Kate uśmiechała się teraz, odprężona. „Miałam rację, wyobraźnia spletała mi figła, Jack chce mi pomóc”.

– Znalazłem wyjście, ale nie wiem, czy będzie ci odpowiadało. Będę szczery, obawiam się nawet, czy nie przyjmiesz źle mojej propozycji.

– Intrygujesz mnie...

– Wiesz, mam nieduże mieszkanie, ale za to wyjątkowo dobrze położone. Możemy przespacerować się jutro przed pracą, pokażę ci, gdzie mieszkam. Co ty na to?

– Zgoda na spacer, wspomniałeś o propozycji.

Jack spuścił oczy i wymamrotał ledwie słyszalnym głosem:

– Mieszkanie nie jest duże, ale wystarczające dla dwojga...

Kate zrozumiała wreszcie zakłopotanie nowego przyjaciela. Najwyraźniej proponował jej, żeby zamieszkali razem! Chyba nie był poważny... po trzech dniach znajomości! Z trudem połknęła resztkę kanapki i podniosła się gotowa do wyjścia. Jack siedział bez ruchu. Nie ośmielił się odezwać, reakcja młodej dziewczyny nie wróżyła niczego dobrego. Przez chwilę trwali w milczeniu, wreszcie Kate odezwała się słabym głosem:

– Chodź, musimy się pospieszyć, za pół godziny zaczynamy pracę.

Nie czekając, Kate skierowała się ku wyjściu. Jack zerwał się z krzesła i podążył za nią. Przez chwilę szli zapatrzeni przed siebie. Wesoła i pełna entuzjazmu natura Kate nie pozwalała jej boczyć się zbyt długo. Nie ma co dramatyzować, Jack nie wygląda na zabójcę ani nawet na podrywacza. Proponuje jej wspólne mieszkanie, kierując się zwykłym współczuciem. Z pewnością ma rację, trudno będzie wytrzymać kilka tygodni w podobnym rytmie. Dwie godziny podróży metrem są naprawdę męczące. Nie mylił się, chętnie zamieniłaby je na codzienny półgodzinny spacer. W dodatku mieszkanie najwyraźniej znajdowało się w centrum, nie mogła marzyć o lepszym rozwiązaniu. Zbliżali się. „Jeszcze kilka kroków i będziemy na miejscu” – pomyślała Kate. Mijali słynny kościół St Martin-in-the-Fields, kiedy Kate zatrzymała się gwałtownie i stanęła twarzą w twarz z nowym przyjacielem. Uśmiechnęła się do niego.

– Przemyślałam sprawę. Bardzo to miłe z twojej strony. Przystaję na propozycję. Pod jednym warunkiem.

– ?

– Zwrócę ci moją część czynszu za te kilka tygodni, kiedy tylko będzie to możliwe. Z trudem dochodząc do siebie, Jack wybąkał uspokojony:

– No pewnie. W takim razie jutro rano czekam na ciebie przed wyjściem z metra.

– Powinieneś zmienić pracę. – Kate parsknęła teraz śmiechem. – Byłbyś całkiem niezłym przewodnikiem.

Jack, który miał czas się opanować, roześmiał się z wyraźną ulgą.

– Może masz rację. W takim razie przewodnikiem dla młodych, ładnych dziewcząt.

– Nie strasz mnie, bo zmienię zdanie – odparowała Kate, puszczając do niego oko.

– Miałaś okazję wstąpić do tego kościoła? Pracujemy tuż obok i kilkakrotnie już

skorzystałem ze sposobności, żeby posłuchać koncertu muzyki poważnej, za to nigdy jeszcze nie znalazłem czasu na jeden z wieczorków jazzowych, które organizuje znajdująca się w krypcie kawiarnia.

– Zaradzimy temu, Jack. O kościele słyszałam, jeszcze nie znalazłam czasu na wejście. Sam powiedziałeś: mamy bardzo blisko... Może dlatego jeszcze tutaj nie byłam? – dodała Kate, uśmiechając się promiennie.

Popołudnie minęło szybciej niż zwykle. Klienci przychodzili i odchodzili, jedli, pili piwo, dyskutowali. Wieczorem nie brakowało rodzin. Kate uwielbiała zerkać na bawiące się przed kominkiem dzieci. Jane, która potrzebowała wolnego popołudnia, wyjątkowo pracowała rano. Kate miała więc okazję do nawiązania nowej znajomości; Beth była nieco starsza od niej i trochę mniej rozmowna. Bardzo szybko jednak polubiła wesołą Kate. zaproponowała jej nawet przechadzkę po mieście, kiedy tylko będą miały wolny dzień.

Droga powrotna okazała się smętna. Całe szczęście, że Jack ośmielił się wystąpić ze swoją propozycją. Praca w pubie była raczej męcząca i chociaż Kate chętnie zajmowała się obsługą klientów, wieczorem nie czuła nóg. Może powinna była zrezygnować ze swoich porannych przechadzek po Londynie... Nie, co to, to nie. Zbyt długo marzyła o tej szansie. Z każdym dniem miasto podobało się jej coraz bardziej, a przecież zobaczyła tak niewiele. Jutro czeka na nią nowy spacer, tym razem po drugiej stronie Tamizy. Na samą myśl o tym Kate drżała z niecierpliwości. Tymczasem miała jedynie ochotę na ciepły posiłek i miękkie, pachnące świeżą pościelą łóżko.

Przy kolacji Kate opowiedziała swojej gospodyni o minionym dniu, nowej przyjaciółce i napomknęła o planach przeprowadzki. Camila Jones, pulchna, żwawa blondynka, troszczyła się o swoich pensjonariuszy jak matka o własne dzieci. Od pierwszych chwil spodobała się jej wesoła Kate. Kobieta nie miała w zwyczaju wtrącać się do prywatnego życia swoich gości. Przy kolacji poruszano rozmaite tematy, często osobiste, a nawet – w niewielkim gronie biesiadników – intymne. Pani Jones doradzała, kiedy pytano ją o zdanie. Nie lubiła jednak narzucać swojej opinii. Wysłała więc Kate do łóżka, życząc jej dobrej nocy, i sama zebrała brudne talerze. Układając naczynia w zmywarce, Camila rozmyślała. Kate była dla niej jak własna córka. Równie miła dziewczyna szybko zdobywała przyjaciół, może więc ten Jack nie miał złych intencji? Czy należało ostrzec Kate, czy aby ona, Camila, miała do tego prawo? Wstawiając wodę na herbatę, nie przestawała się dręczyć. Jak zareagować? Do końca życia nie przebaczy sobie, jeśli coś złego przydarzy się tej młodej dziewczynie. To prawda, że Kate wydawała się trzeźwo patrzeć na życie, miała swoje cele i niestrudzenie dążyła do ich realizacji. Camila długo siedziała w kuchni, herbata wystygła już dawno, a ona wciąż jeszcze nie zdołała podjąć zadowolającej decyzji. Kiedy zegar wybił północ, podniosła się wreszcie. Trudno, jutro rano porozmawia z Kate.

Nazajutrz dziewczynę obudził miły zapach świeżej kawy i herbaty dolatujący z kuchni. Zerknęła na budzik. Dochodziła siódma. Po niespełna kwadransie umyta i uczesana Kate zapinała ostatnie guziki niebieskiego sweterka i łapiąc płaszcz, zbiegła po schodach. W jasnej kuchni kilku turystów kończyło śniadanie. Kate uśmiechnęła się i pomachała do wychodzącej właśnie pary Irlandczyków. Młodzi spędzali kilka dni urlopu w angielskiej stolicy. Każdego wieczora wymieniali z Kate wrażenia z wizyty. Miasto

podobało się im bardzo, w dodatku potrafili opowiadać. Z powodzeniem mogli przekonać każdego z obecnych przy stole gości, że właśnie w tym, i w żadnym innym mieście świata, powinno się spędzać wszystkie urlopy. Camila już stawiała przed Kate talerz ze śniadaniem, kiedy ta ostatnia podniosła na nią zdziwione oczy. Talerz wypełniony był po brzegi: smażony bekon, jajecznica, kielbaski, fasolka w sosie pomidorowym, pieczarki i chrupkie grzanki wydzielały kuszący zapach.

– Gdzie się podziały moje tosty z konfiturą? – zapytała z uśmiechem Kate.

– Wspominałaś o długim spacerze. Powinnaś zjeść trochę więcej, w przeciwnym razie zasłabniesz w pracy.

– Dziękuję, wszystko wygląda pysznie – odparła Kate z pełnymi ustami.

Gdy tylko ostatni goście podnieśli się i opuścili kuchnię, Camila przysiadła obok pensjonariuszki. W rękach trzymała gorący kubek z kawą.

– Tak sobie myślałam: ten Jack jest pewnie bardzo miły, ale tak naprawdę nie znasz go zbyt dobrze. W razie gdybyś zmieniła zdanie, zawsze znajdzie się tutaj wolny pokój.

Wzruszona Kate spontanicznie ucałowała Camilę w policzek.

– Wiem... Ja też trochę się boję. Przemyślałam to. Jack ma rację, na dłuższą metę nie wytrzymam tej trasy metrem. Zobaczę, jak wygląda to mieszkanie i czy rzeczywiście jest miejsce dla dwojga. Opowiem pani wieczorem. Muszę już iść, ucieknie mi metro.

To mówiąc, Kate narzuciła płaszcz i chwytając torebkę, rzuciła się ku wyjściu, skąd ręką przesłała całusa w stronę nie do końca przekonanej pani Jones.

Jack już czekał przed wyjściem ze stacji metra. Na jego widok serce mocniej zabiło w piersi Kate. Czy powinna czegoś się obawiać, czy Jack jest szczery, czy jego propozycja ma jedynie przyjacielski charakter? Chłopak uśmiechał się do niej. Po chwili wahania Kate odpowiedziała tym samym.

– Dokąd idziemy, kapitanie?

– Sama zobaczysz. Po drugiej stronie Tamizy również nie brakuje ładnych dzielnic. No chodź, mamy dobre pół godziny drogi. Liczyłem na trochę wiatru, chmury i mgła nie są sprzymierzeńcem spacerowiczów.

Rzeczywiście, pogoda była raczej pochmurna. Ołowiane chmury wisiały nad miastem, Kate nie spostrzegła jednak ani śladu mgły.

– Nie ma mgły – rzuciła zdumiona.

– Poczekaj, aż znajdziemy się nad brzegiem Tamizy. Wspominałem ci już, że mieszkam po drugiej stronie. Przejdziemy przez Coven Garden, a następnie przez Waterloo Bridge. Gotowa?

– Tak! – Kate uśmiechała się teraz jak zwykle.

Z natury była ciekawą i ufną osobą. Jej nowy znajomy był dobrym przewodnikiem. Z zalem przeszli obok słynnego targu. Kate opowiedziała o kawiarence, którą odkryła, przechadzając się po targu, o dużym stole, licznych turystach, o tym, jak bardzo spodobało się jej obcowanie z nieznanymi, kiedy zdecydowała się na przegryzienie czegoś przed podjęciem pracy. Jack słuchał, potakując. Ta dziewczyna zdecydowanie była kimś wyjątkowym. Jej entuzjazm był zaraźliwy. Lubił słuchać opowiadań Kate, nawet jeśli chodziło jedynie o to, w jaki sposób spędzała czas, od kiedy mieszkała w Londynie. On również lubił to miasto. Nie potrafił wyrażać swoich uczuć równie

spontanicznie, ale często w pełni zgadzał się ze spostrzeżeniami dziewczyny.

Wreszcie dotarli do mostu. Zatrzymali się na chwilę. Zdumiona Kate z miejsca zrozumiała, że Jack miał rację. Tamizę otaczała szara mgielka.

– Nic się nie martw, nie zabraknie ci okazji do podziwiania widoku obu brzegów. Wbrew temu, co mówi się o Londynie, mieszkamy tutaj również słoneczne dni.

– Z pewnością masz rację – potwierdziła z zapalem młoda dziewczyna. – Chodźmy, szkoda tracić czasu.

W milczeniu przeszli przez most. Po raz pierwszy od kilku dni Kate czuła się zagubiona. Napięcie rosło w miarę jak zbliżali się do mieszkania Jacka. Chłopak najwyraźniej to wyczuwał, bo po chwili wahania złapał Kate za rękę. Nie miał pojęcia, co myślała, niemniej poczuł się szczęśliwy; Kate nie cofnęła dłoni. Nie zastanawiając się dłużej, Jack podjął rozmowę:

– Dochodzimy do mojej ulicy: Stamford Street. Mieszkam zaraz za agencją wynajmu domów Franck Harris & Co. Łatwo trafić. – Mówiąc to, Jack szperał po kieszeniach w poszukiwaniu kluczy. – Gotowa?

– Tak. – Kate uśmiechnęła się nieśmiało, podnosząc wreszcie głowę.

Szybko znaleźli się na pierwszym piętrze. Jack otworzył drzwi i gestem zaprosił towarzyszkę do wejścia. Maciupeńki przedpokój z trudem mieścił wieszak na ubrania i niewielką szafkę na obuwie. Weszli do największego pokoju służącego zarazem jako jadalnia i salon. Jasnobezowe ściany pokrywała niezliczona ilość przepięknych, oprawionych lub nie, zdjęć Londynu. Kanapa, stół, kilka krzeseł, mała biblioteczka i niski mebel, na którym królował telewizor okazałych rozmiarów, stanowiły całe umeblowanie. Pomieszczenie momentalnie przyciągnęło uwagę Kate ze względu na piękne zdjęcia. Zafascynowana wpatrywała się w nie błyszczącym wzrokiem. Nie miała czasu zareagować, ponieważ Jack już zachęcał ją do dalszych oględzin. Kolejny pokój był bez wątpienia sypialnią. Starannie posłane łóżko wypełniało całą przestrzeń. Malutki stolik nocny wciśnięty był w kącie obok wychodzącego na ulicę okna. Szafa otwierała się tylko, tylko... Najważniejsze, że była i pozwalała na ułożenie ubrań. Ściany pokoiku pomalowane były na łososiowy kolor. Ciemniejsze, pomarańczowe zasłonki zdobiły okno. Jedno jedyne zdjęcie nad łóżkiem stanowiło całą dekorację. Tym razem zachwycona Kate zbliżyła się do łóżka. W milczeniu wpatrywała się w piękną panoramę Tamizy i kilku widocznych na niej mostów, w tym słynnego Tower Bridge. Fotografie wykonano latem, albo może wczesną jesienią. Wody Tamizy pobłyskiwały w promieniach słońca. Jack uśmiechał się teraz. W głębi duszy miał nadzieję, że ukryta przez niego pasja fotografa zainteresuje nową przyjaciółkę i stanie się dobrym tematem do rozmowy. Najwyraźniej się nie pomylił.

– Powiedz, Jack, te zdjęcia... Jesteś ich autorem?

– Fotografia jest moją pasją, od kiedy tylko pamiętam. Ja również uważam, że Londyn jest pięknym miastem i prawdziwym rajem dla miłośników zdjęć. Jeśli chcesz, mogę cię nauczyć albo zabrać ze sobą na kolejny spacer, jak tylko znajdę okazję. Zwykle nie ruszam się bez aparatu fotograficznego. W tym sezonie nie jest to łatwe... Chodź, zostały dwa pomieszczenia.

Po drugiej stronie największego z pokoi była mała kuchenka. Liliowe ściany, szary

bufet, malutki stolik i dwa taborety, ciemnofioletowe story zdobiące okienko.

– Sama widzisz, nie jest to pałac... Ale wystarczy dla dwojga. A teraz najważniejsza część wizyty: twoje przyszłe królestwo. Oczywiście, jeśli się zgodzisz. Oto moje biuro...

Kate weszła do prawdziwej „dziurki”. Przy oknie stało biurko, a na nim komputer. Pomalowane na żółty, wesoły kolor ściany były puste, podobnie jak reszta pomieszczenia. W oknie brakowało firanek. Młoda dziewczyna spojrzała na Jacka pytającym wzrokiem.

– Zamierzasz oddać mi swoje biuro?

– Wymierzyłem, biurko jest małe, mogę wcisnąć je do największego pokoju. Co ty na to? – rzucił chłopak, nie kryjąc niecierpliwości. – Nie spiesz się z odpowiedzią, ale naprawdę myślę, że to dobry pomysł. Wprawdzie to jedynie marne osiem metrów kwadratowych, ale zawsze to lepsze niż pokój wynajęty w B&B... Przynajmniej moim zdaniem.

Kate zastanawiała się gorączkowo. Jack miał rację. Dzielnica była przyjemna, do pracy tylko niecałe pół godziny, a w razie niepogody kilka minut metrem. „Jak miło z jego strony, że o mnie pomyślał... Dlaczego akurat o mnie? Może pani Jones miała rację”. Już miała otworzyć usta, kiedy chłopak ponownie ujął ją za rękę i zaprowadził do kuchni, wskazując jeden z taboretów.

– Zaparzę herbatę. Z samego rana zrobiłem zakupy u chińczyka. Lubisz? Potem porozmawiamy.

Sprawnie krzątał się po kuchni. Trzy minuty później zdumiona Kate siedziała przy nakrytym stole. Ciepła herbata i aromatyczne chińskie dania dodały jej odwagi. Z pełnymi ustami uśmiechnęła się do przyjaciela.

– Wiesz... Naprawdę miło z twojej strony, że się o mnie troszczysz. Przyznaję, że dzielnica jest fajna, do pracy niedaleko, pokoik wystarczająco duży dla mnie. Tyle tylko że...

– Kate – przerwał Jack. – Rozumiem twoje opory. Propozycja jest szczerą. Od samego początku cię polubiłem. Nie mam złych zamiarów, jeśli cię to niepokoi.

– W takim razie mam wyjątkowe szczęście, że na ciebie trafiłam. – Odprężona wreszcie Kate puściła do niego oko.

Jack westchnął głośno i z tak wyraźną ulgą, że młoda dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

– Wygląda na to, że oboje niepokoił się bez potrzeby. Zgoda, chętnie skorzystam z twojej propozycji. Ale na czym będę spała? Nie mam ani grosza na zakup łóżka, nie wspominając już o jakichkolwiek meblach...

– Nie bardzo wiem, czy zdołasz wcisnąć dużo mebli do twojej dziurki, ale znalazłem wyjście co do spania. Sąsiadka z drugiego piętra zgadza się pożyczyć nam materac. Mam trochę pościeli, nie brzmi to zbyt zachęcająco, ale na początek powinno wystarczyć. Co ty na to?

Uśmiechnięta twarz Kate stanowiła wymarzoną odpowiedź. Dziewczyna się zgadzała i Jack nie posiadał się z radości. Wreszcie będzie mógł poznać ją lepiej, a wtedy może, być może... Nie, nie chciał zapeszać głupimi życzeniami. I tak już od kilku dni śniła mu się ta uśmiechnięta twarz, słyszał wesoły głos, oczyma wyobraźni widział Kate,

energiczną, miłą, zwinną... I widział siebie u jej boku.

[1] B&B – *Bed and breakfast* (ang. łóżko i śniadanie) – rodzaj zakwaterowania turystycznego w Wielkiej Brytanii, Irlandii oraz innych krajach anglosaskich. Nazwa przypomina znaczeniem polskie powiedzenie „wikt i opierunek”.

2.

Cathy przeciągnęła się i zerwała z łóżka. Zerknęła na budzik. Dochodziła siódma trzydzieści. Znowu zasnęła. W dodatku miała taki dziwny sen. Ta dziewczyna pracująca w londyńskim pubie, przechadzki po mieście, jej nowy przyjaciel...

Cathy nie przypominała sobie wszystkich szczegółów. „Muszę opowiedzieć o tym Jeanowi. Zwykle nie pamiętam, o czym śniłam, a tym razem...” Nie namyślając się dłużej, zbiegła po schodach. W pośpiechu zjadła śniadanie i równie szybko umyła się, ubrała i pobiegła w stronę budynków gospodarczych. Jean kończył właśnie dojenie. Na odgłos otwierających się drzwi podniósł głowę. Cathy uśmiechała się do niego. Jean poczuł, że ściska mu się serce. Tak bardzo kochał żonę. Ostatnimi czasy nie uśmiechała się często, a przecież kiedy się poznali, oczarował go właśnie jej uśmiech.

Jean był przystojnym mężczyzną. Miał piękne zielone oczy i gęstą, kasztanową czuprynę. Wysoki i szczupły podobał się dziewczynom. Tak, miał powodzenie. Uśmiechnięta i pełna energii Cathy zdobyła jego serce. Łączyła ich miłość do wsi i pragnienie życia na łonie przyrody, podczas gdy ich przyjaciele wybierali duże miasta. Zgodnie zajęli się wyszukaniem odpowiedniego gospodarstwa, przystali na zakup krów. Cathy z zapalem zajęła się ogrodem, lubiła karmić kury i prosięta. W odpowiedzi na nieprzyjemny zapach dolatujący z chlewika marszczyła nos i wybuchała śmiechem. Była wymarzoną małżonką dla młodego rolnika. Miała w sobie coś, co przyciągało wszystkie znające ją osoby. Tak, Jean był dumnym mężem. Z biegiem czasu nowy zawód wciągnął go na dobre, stał się prawdziwą pasją. Podczas gdy Cathy wczytywała się w amerykańskie kryminały, on prenumerował kilka czasopism poświęconych rolnictwu. Długi dzień pracy nie pozwalał mu na częste czytanie, ale wieczorem starał się poświęcać przynajmniej kilka minut na lekturę. W *La France Agricole*[1] zawsze można znaleźć interesujące artykuły, a Jean lubił śledzić ułatwiające pracę rolników nowości czy postępy w dziedzinie agrotechniki. To prawda, że póki co jego gospodarstwo nie zajmowało się uprawą, ale w przyszłości – kto wie? Pasjonowała go produkcja w systemie ekologicznym. On, który tak kochał przyrodę, buntował się na samą myśl o tym, że można bezkarnie ją niszczyć, nadużywając sztucznych nawozów. Jeśli kiedykolwiek zdecyduje się na wprowadzenie upraw, z pewnością nie zapomni o ochronie przyrody. Jean potrafił godzinami rozprawiać na ten temat z nowymi przyjaciółmi. Cathy i jej promienny uśmiech szybko przyciągnęły im nowych znajomych z pobliskiego miasteczka. Romain umiał uważnie słuchać. Lubiał wieś i chociaż pracował w barze, doskonale rozumiał problemy, o których rozprawiał Jean. Zanieczyszczenie gleby, wód, powietrza stanowiło w obecnych czasach temat numer jeden. On również uważał, że kiedy o to chodziło, nikt nie powinien pozostać obojętny.

Wspominając przyjaciela, Jean się ocknął. Cathy przyglądała się mu uśmiechnięta.

– Jesteś zamyślony. Zła pogoda zaczyna działać na nas wszystkich – rzuciła, obejmując męża ramionami.

Przez chwilę trwali przytuleni, wsłuchując się w wyjący na zewnątrz wiatr.

– Nie zapowiadają zmiany, w każdym razie nie w najbliższym czasie. Może tym razem ty powinienesz wyrwać się na kilka godzin? Pracujesz tak ciężko...

Cathy uniosła oczy i napotkała pełne miłości spojrzenie Jeana. Odpowiedziała na nie namiętym pocałunkiem.

– Od razu mi lepiej – zażartował Jean, z trudem odsuwając się od małżonki. – Jest piątek, pamiętaj, że wieczorem jemy kolację z Romainem i jego rodziną. Nie mam czasu na wyjścia. Ale nie martw się, pogoda nie działa na mnie ani trochę. Nie lubię deszczu, nie bardzo wiem, co mogę zmienić. Decyzja należy do natury. Jeśli już chcesz komuś współczuć, nie zapomnij o naszych krowach. Pole przypomina bagno, na którym nie ma już ani źdźbła trawy. Nie tylko muszą zadowolić się suchą karmą, przy tej wilgoci mogą nabawić się reumatyzmu.

Cathy wybuchnęła śmiechem. Uspokoili się szybko i spostrzegła:

– Reumatyzmu może nie, ale mogą się poślizgnąć i złamać nogę. Czy to ja, czy rzeczywiście mamy dzisiaj wyjątkowo negatywne myśli? Lecę do kur, potem nakarmię prosięta i zajmę się obiadem. A ty skocz się przebrać i skorzystaj z okazji, żeby wypić coś ciepłego.

Cmoknęła męża w policzek i już jej nie było.

Jean z miejsca zdecydował, że zmiana ubrania i ciepła herbata dobrze mu zrobią. W kuchni ogień palił się w kominku. Przebrany, z wysuszonymi włosami i w dobrym humorze przysiadł przy stole z ciepłą filiżanką w rękach. Okienną szybę zalewały strugi deszczu, trzeba przyznać, że w tym roku zima zdawała się ciągnąć bez końca. Jean martwił się o zwierzęta. Zmęczone krowy dawały nieco mniej mleka, a biorąc pod uwagę obecne ceny skupu, zarobki malały z miesiąca na miesiąc. Nie bardzo wiedział, czy powinien porozmawiać o swoich kłopotach w banku. Jak dotąd bez problemu płacił comiesięczne raty, trudno było jednak przewidzieć przyszłość. Może powinni się zastanowić nad ewentualnym kupnem kilku hektarów ziemi i tak jak inni rolnicy w ich regionie zająć się uprawą zbóż oraz kukurydzy? Ale jak dadzą sobie radę sami, we dwoje? Praca na polu jest żmudna, wymaga dużo czasu, wysiłku i odpowiedniego wyposażenia. Z drugiej zaś strony ich gospodarstwo z pewnością stałoby się wówczas rentowne. „Muszę porozmawiać o tym z Cathy” – zdecydował, podnosząc się. Wstawił filiżankę do zlewu i ubrał się w pośpiechu. „Zerknę do chlewika, być może Cathy już skończyła. – W tym samym momencie usłyszał wesołe poszczekiwanie Jeta. – Aha, to pewne, jeśli pies biegnie w stronę kuchni, Cathy musiała być w pobliżu”. I rzeczywiście, przemoczeni i radośni pies i młoda kobieta wpadli do sieni.

– Wychodzisz? – zapytała zdumiona Cathy.

– Miałem zamiar zapytać cię, czy nie potrzebujesz czegoś z ogródka. – Jean się uśmiechnął.

– To miło z twojej strony. Owszem, przydałyby się główka kapusty i trochę marchwi. Dostyc mam ziemniaków. Myślałam, że duszona cielęcina i kapusta na gęsto będą odpowiednie na tę aurę.

– Już idę.

Po wyjściu męża Cathy wytarła psa, po czym zmieniła mokre do cna ubranie. Skarpetki nadawały się do prania. Wysuszyła włosy i przypomniała sobie o tym przedziwnym śnie. „Nie miałam czasu porozmawiać o tym z Jeanem”. Nadal odnosiła wrażenie, że to ona pracowała w pubie, zwiedzała Londyn, zachwycała się tym dużym

i gwarnym miastem. Zamyślona zbiegła do kuchni i stanęła na chwilę przed kominkiem, aby zagrzeć ręce. Leżący przed ogniem Jet z niechęcią ustąpił miejsca.

– No proszę – roześmiała się Cathy – wygląda na to, że wolisz kominek ode mnie.

Pochyliła się i z czułością pogłaskała psa po głowie. Jet nie otworzył oczu, ale za to przyjaźnie poruszył ogonem. To pewne, kochał swoją panią. Cathy ufała, że czuł się z nimi szczęśliwy, o ile psy mogły być szczęśliwe. Z pewnością za chwilę będzie chrapał w kuchennym cieple, wdychając zapachy gotującego się obiadu. „No właśnie: gdzie się podział Jean? Już powinien tu być z moją kapustą”. Cathy skierowała się ku oknu. Deszcz ani myślał przestać lać. Było ciemno. Wiatr dmuchał na całego. Nie będzie mogła zobaczyć, czy mąż jest jeszcze w ogródku. Trudno, zacznie od mięsa. Kiedy tylko zaszklila się cebula, kobieta dorzuciła do garnka pokrojoną cielęcinę i mieszając, rumieniła mięso. Po chwili dołała nieco wody, dorzuciła przypraw i przykryła garnek. Nadal ani śladu po mężu. Tym razem Cathy zmniejszyła gaz i założywszy gumki, zawołała psa. Jet zerwał się z miejsca. Jego czujność za każdym razem zadziwiała młodą kobietę.

– Szukaj pana – szepnęła Cathy, wychodząc z psem przed dom.

Jet pomachał ogonem i bez wahania pobiegł w stronę ciągnącej się wzdłuż ogródka ulicy. Najwyraźniej był zadowolony, uznał, że jego pani ma ochotę na zabawę, do której on, Jet, zawsze był skory i to bez względu na pogodę oraz porę dnia czy nocy. Był jeszcze młodym psem i potrzebował dużo ruchu. Przez strugi deszczu Cathy dostrzegła dwie sylwetki i samochód. „Kto to może być i dlaczego nie wchodzi do domu?” – zastanawiała się, zanim rozpoznała listonosza.

– Co robicie na tym deszczu? – zawołała, usiłując przekrzyknąć wyjący wiatr.

– Ach, Cathy, dzień dobry! – rzucił na powitanie Franck, ich listonosz. – Całe szczęście, że trafiłem na Jeana. Sama zobacz, moja przednia prawa opona złapała kaptur. Nawet przy pięknej pogodzie z trudem radzę sobie ze zmianą koła, a przy tym deszczu...

Jean podniósł się, skończył robotę. Franck wrzucił zniszczone koło do bagażnika i udał się w ślad za młodą parą do przytulnej kuchni. Chwilę później, nie zważając na pogodę, rozprawiali wesoło, popijając kolejną filiżankę herbaty. Znali się i lubili, od kiedy młodzi przejęli gospodarstwo. Franck był nieco starszy – lekko posiwiałe skronie, maciupęńkie zmarszczki wokół oczu i w kącikach ust nie pozostawiały miejsca na wątpliwości. Dawno już przekroczył czterdziestkę. Dwójka dużych, nastoletnich dzieci uczęszczała do liceum, dojeżdżając szkolnym autobusem do oddalonego o piętnaście kilometrów miasteczka. Jego żona, Caroline, pracowała jako sekretarka w miejscowej przychodni zdrowia. Pomimo dzielącej ich różnicy wieku, Cathy i Jean darzyli parę sympatią i chętnie zapraszali całą czwórkę, kiedy latem urządzali wieczorki pod lipą. Philippe i Clara również przychodzili do nich z chęcią. Oczywiście w ich wieku woleli towarzystwo innych nastolatków, niemniej młoda para była wesoła, pełna entuzjazmu i potrafiła przyjmować gości, czym z miejsca podbiła serca latorośli Francka.

Od słowa do słowa i temat rozmowy skupił się na najistotniejszym: ich pracy. Franck z ufnością spoglądał w przyszłość. Miał dobry zawód, lubił swoją pracę, pozwalała mu na zawieranie wielu znajomości, a nawet przyjaźni. Caroline również miała dobrą posadę. Nie skarżyli się. Nie byli bogaci, ale mogli pozwolić sobie na spłacenie rat

za dom, samochody, wykształcenie dzieci. Oboje lubili wieś, chociaż chętnie udawali się na wypad do pobliskiego Nantes. Lubili spacerować po centrum i nawet jeśli nie kupowali zbyt wiele, chętnie oglądali wystawy luksusowych sklepów przy ulicy Crebillon. Caroline korzystała z okazji i kupowała kilka kryminałów oraz parę paczek aromatyzowanej kawy – dwie przyjemności, a może dwa nałogi... Jak by nie było, Cathy chętnie rozmawiała z nią na temat ostatnich tytułów i wymieniała posiadane książki. Caroline z góry patrzyła na powieści zagranicznego pochodzenia; Connelly, Mankell, Indričason nie mieli jej zdaniem nic wspólnego z wyjątkowo dobrą lekturą autorstwa Francka Thillieza czy Maxima Chattama. „Ale z ciebie patriotka” – śmiała się Cathy. Caroline zaciekle broniła swojego zdania, twierdząc, że trudno było połapać się w polarach rodem ze Skandynawii. Tak, tak, były interesujące, ale nawet Cathy nie mogła zaprzeczyć, że wszystkie te obce nazwiska z trudem dawały się zapamiętać. Nie ma to jak rodzima lektura. Cathy pożyczała więc zakupione przez nią tomy, które pochłaniała jednym tchem, nawet jeśli jej zdaniem Maxime Chattam mógł podobać się raczej nastolatkom. Kiedy rozprawiały na temat przeczytanych książek, małżonkowie wymykali się ukradkiem. Mieli inne tematy. Od niedawna praca zdecydowanie była numerem jeden. Kryzys i wzrastające bezrobocie niepokoiły mieszkańców małego miasteczka. Dopijając herbatę, z przyzwyczajenia poruszyli bolący temat. Nie spuszczać oczu z uwijającej się przy garnkach Cathy, Jean zwierzył się Franckowi. Niepokoiły go stale spadające ceny mleka, zastanawiał się nad przyszłością gospodarstwa. Może należało rozwinąć je i zająć się uprawą zboża lub kukurydzy?

– Rozmawiałaś z sąsiednimi rolnikami? – zainteresował się Franck.

– Nie znam ani jednego – przyznał Jean po chwili wahania.

W oczach Francka malowało się szczere zdziwienie.

– Jak to? Chcesz powiedzieć, że od trzech lat nie udało ci się spotkać z żadnym z miejscowych rolników? To prawda, że wasze gospodarstwo leży trochę na uboczu, ale dziwię się, że nigdy nie rozmawialiście z innymi gospodarzami, chociażby kiedy robicie zakupy w miasteczku. Musieliście natknąć się przynajmniej na jednego z nich.

Tym razem Cathy włączyła się do rozmowy:

– Masz rację. Na zakupy chodzę zwykle sama i jestem pewna, że widziałam innych rolników. Romain pokazał mi dwie lub trzy osoby. Nigdy nie zdobyłam się na odwagę, żeby z nimi porozmawiać. Nikt nie zwrócił się do nas pierwszy.

– Kiedy przejęliśmy gospodarstwo – dorzucił Jean – myślałem, że któryś z kolegów po fachu skontaktuje się z nami. Nic. Może nie leży to w zwyczaju miejscowych ludzi.

– Nic podobnego – zaprzeczył żywo Franck. – Macie przecież wielu przyjaciół, tutejsi mieszkańcy są gościnni i chętnie przyjmują do swojego grona nowo przybyłych. Byłem pewien, że obcujecie z innymi rolnikami. Oboje z Caroline chętnie spotykamy się z małżeństwem w naszym wieku. On prowadzi niewielkie gospodarstwo rolne oparte wyłącznie na uprawie kukurydzy oraz dużej ilości zbóż. Ona pielęgnuje olbrzymi ogród i sprzedaje własne warzywa. Otwarli sklepik przy domu. Dwa razy w tygodniu można kupić u nich świeże, piękne warzywa. Caroline poznała ją właśnie w ten sposób. Sprzedają taniej niż mały supersam w miasteczku, a warzywa są doskonałe. Szybko stały się sobie bliskie. Porozmawiam z żoną – dorzucił, wstając. – Pójdę już. Dziękuję za

pomoc, Jean. Zadzwoń do was.

Franck ucałował Cathy, uściskał dłoń Jeana i zakładając kaptur, rzucił na odchodnym:

– Dziwne. Naprawdę dziwne... Byłem przekonany, że znacie wszystkich rolników w obrębie co najmniej dziesięciu kilometrów.

Kiedy tylko zamknęły się drzwi sieni, młodzi spojrzeli na siebie pytająco.

– Nic z tego nie rozumiem – stwierdził Jean. – Jak by nie było, pięknie pachnie ta kapusta. Jestem głodny jak wilk – dorzucił, chwytając Cathy w ramiona.

Młoda kobieta przytuliła się całym ciałem. Na chwilę zapomnieli o problemach, o deszczu, o sąsiadujących z nimi rolnikach.

– Przypali mi się obiad. – Cathy uśmiechnęła się wreszcie. Z trudem uwolniła się z uścisku męża. – Dlaczego nigdy nie rozmawiałeś ze mną o przyszłości naszego gospodarstwa?

– Sam nie wiem – przyznał Jean. – Zastanawiam się od niedawna. Mamy jeszcze dużo do spłacenia za dom, zakup kilku hektarów dorzuci nam wydatków.

– No tak, ale być może nie będziemy mieli wyboru. Ja również dużo o tym myślę ostatnimi czasy.

Cathy nakryła do stołu. Przez chwilę dyskutowali o ich przyszłości, szybko dochodząc do wspólnego wniosku, że najlepiej będzie poradzić się przyjaciół, a nawet porozmawiać z doradcą w banku. Młoda kobieta przypomniała sobie nagle o dziwnym śnie. Już otworzyła usta, żeby opowiedzieć o wszystkim Jeanowi, gdy rozległ się dzwonek telefonu. Jean podniósł się i odebrał. Rozmawiał krótko. Kiedy usiadł do stołu, miał tak poważną minę, że Cathy zupełnie zapomniała o Londynie, pracy w pubie i uśmiechniętej twarzy Kate.

– Coś się stało? – zapytała z niepokojem.

– W zasadzie nic – odparł niejasno Jean. – Franck i Caroline będą z nami na kolacji dzisiaj wieczorem. Romain przewiduje dwie osoby więcej. Wiem tylko tyle, że dotyczy to okolicznych rolników i... nas dwojga.

Oślupiała Cathy wpatrywała się w mężczyznę, nie dowierzając własnym uszom.

– Nie mógł ci wyjaśnić? Będziemy myśleć o tym przez całe popołudnie.

– No właśnie. W dodatku miał taki dziwny głos. Niepojęte...

Zmieniając nagle temat, dorzucił:

– *À propos* popołudnia: co masz w planach? Przy tej pogodzie nie ma mowy o pracy w ogródku. Jeśli nie masz nic przeciwko, koniec końców chyba wybiorę się do miasteczka. Wróć, żeby nakarmić krowy, i zajmę się dojeniem.

– Dobrze. Obiecałam Romainowi, że przyniosę ciasto, a będzie nas dwie osoby więcej. Na szczęście kury nic sobie nie robią z tej deszczowej pogody, jaj nam nie brakuje.

Cathy uśmiechnęła się ponownie. Zdumiony, ale szczęśliwy, Jean pomyślał, że żona ma najpiękniejszy uśmiech, jaki kiedykolwiek widział. Najwyraźniej wczorajsza wyprawa do miasteczka przywróciła jej dobry nastrój. Ubrał się ciepło, ucałował nadal prezentujące czarujący uśmiech policzki i wyszedł na deszcz.

Popołudnie minęło szybko. Po powrocie z miasteczka Jean zajął się zwierzętami. Cathy przebrała się i zapakowała ciasto. Kiedy byli gotowi, za oknem szarówka ustąpiła

miejsca nocy. Deszcz ustał nagle, pozostawiając niemiłe wrażenie silnej wilgoci. W milczeniu dojechali do domu Romaina, gdzie już czekały na nich obie pary przyjaciół.

Kolacja przebiegła w radosnej atmosferze, a uśmiechnięta Cathy była zdecydowanie najpiękniejszą kobietą obecną przy stole. Ciasto zdobyło ogólne uznanie biesiadników i Jean był z tego bardzo dumny. Wreszcie Emma, żona Romaina, podała kawę. Franck westchnął głośno i rzucił:

– Spędziliśmy miły wieczór. Żałuję, ale muszę poruszyć teraz mniej sympatyczny temat.

Pięć par oczu wpatrywało się w niego z napięciem.

– No, mów wreszcie – popędził go Jean. – Dowiedziałeś się czegoś o innych rolnikach, tak? Wygląda na to, że będzie to dla nas niemiła wiadomość i z góry przyznaję, że nie rozumiem dlaczego, przecież ich nie znamy.

– No właśnie i wiem dlaczego. Sami rozumiecie, że mój zawód pozwala na nawiązanie wielu kontaktów.

– Powinieneś raczej powiedzieć, że twój zawód czyni cię gadatliwym jak baba – stwierdziła Caroline, wywołując wybuch śmiechu wszystkich zgromadzonych gości.

– To też prawda – przyznał z humorem Franck. – Po południu musiałem dostarczyć kilka paczek. Przy okazji doinformowałem się tu i ówdzie. Miałem rację. Miejscowi rolnicy z reguły nie są niemili, mają nawet zwyczaj zapraszać nowo przybyłych na lampkę wina czy kawę i ciasto. Słyszałem o tym, tym bardziej byłem zdziwiony, że nie znacie ani jednego z nich. Udało mi się wypytać kilku klientów. Podobno nie jesteście mile widziani, ponieważ poprzedni gospodarze byli wyjątkowymi sknerami, stale prowadzili o coś wojnę, a to inni sprzedawali jaja zbyt drogo, a to zanieczyszczali ich pola... Tak, tak, gospodarstwo miało niegdyś kilka hektarów pól sprzedanych przez właścicieli. Podobno te sknery nie chciały kupić maszyn, a ich sąsiedzi tak ich nie lubili, że nie zgadzali się na pożyczanie im sprzętu. Po jakimś czasie takiego współżycia farmę zaczęto omijać z daleka. Nawet inni sąsiedzi zaprzestali jakichkolwiek kontaktów z jej mieszkańcami. Płacicie za cudze błędy. Wygląda na to, że miejscowi gospodarze mogą okazać się równie gościnni, co zawzięci – zakończył Franck.

Oslupienie malujące się przez chwilę na twarzach obecnych szybko zamieniło się w gwar. Rozmawiali teraz wszyscy naraz, przekrzykując się i gestykulując. Jedyne Cathy trwała w bezruchu. Zdając sobie sprawę z nieoczekiwanej reakcji swojej żony, Jean uniósł rękę, gestem prosząc przyjaciół o ciszę. Tym razem wszyscy spoglądali na młodą kobietę. Cathy uśmiechnęła się do nich i rzuciła:

– Teraz już rozumiem i nie zamierzam się poddać. Polubią nas, kiedy tylko poznają.

Pozostali zebrani wybuchnęli głośnym śmiechem. To była Cathy, którą tak dobrze znali i lubili.

Żegnając się, każde z nich myślało, że jeśli ktokolwiek mógł zmienić obecną sytuację, tym kimś była z pewnością małżonka Jeana.

Kładąc się do łóżka, Cathy od razu przytuliła się do męża. Czuła nadchodzący sen. Spędzili miły wieczór. Już miała plany na najbliższe dni. Nie było wątpliwości, uda się jej podbić serca sąsiadujących z nimi rolników. Wspólnie łatwiej będzie stawić czoła przyszłości. Myśl ta odprężyła ją z miejsca. Gdy usypiała, przypomniała sobie, że miała

porozmawiać o czymś ważnym z Jeanem. Tylko o czym?

*

Był cudowny wiosenny poranek. Pierwsze promienie słońca budziły Kraków, błakając się po opustoszałych jeszcze ulicach Starego Miasta. Rozbudzone gołębie spokojnie czyściły piórka, czekając na rzadkich przechodniów i pierwsze okruchy obwarzanków. Sukiennice jeszcze spały. Nieliczni piesi pojawiają się niedługo, będą to bez wątpienia spieszący do pracy krakowianie, a może odważni amatorzy sportu fundujący sobie małą przebieżkę przed pracą. Nieco później, może około dziewiątej, na ulice wtargną turyści. Ci, którzy przyjechali na jeden dzień pierwszym rannym pociągami, oraz szczęśliwcy spędzający w tym czarownym mieście cały swój urlop.

Kasia pojawiła się na Grodzkiej przed owym tłumem. Szła szybkim krokiem. Po raz pierwszy od czasu studiów udało się jej wstać równie wcześnie. Nie można powiedzieć, że czuła się wypoczęta, niemniej kierowana ciekawością nie odczuwała jeszcze zmęczenia po nieprzespanej nocy. O dziewiątej miała spotkać się na rynku z byłym kolegą ze studiów. Rafał opuścił Kraków zaraz po obronie pracy magisterskiej. Wracał po trzech latach nieobecności i Kasia radowała się na samą myśl o tym, że niedługo go zobaczy. Był miłym chłopakiem, zawsze się lubili. Oczywiście spędzali czas w gronie całej bandy kolegów i koleżanek, rzadko wychodząc razem do kina czy kawiarni. Po zniknięciu Rafała Kasia poczuła dziwną pustkę. Nie miała wprawdzie czasu na kino ani kawiarnię, ale brakowało jej miłego towarzystwa dawnego kolegi. Podniecona myślą, że zadzwonił do niej, kiedy tylko pojawił się ponownie w ich ukochanym mieście, zastanawiała się teraz, skąd ta nagła chęć powrotu i dlaczego Rafał chciał się spotkać właśnie z nią. Wybrała tak wczesną godzinę, ponieważ zawsze wzruszały ją wiosenne poranki. Lubiała budzącą się do życia przyrodę: pierwsze pączki na rosnących na Plantach drzewach, pierwsze mleczki i stokrotki na trawnikach okalających Wawel. Niedługo kolory zastąpią szarość długich zimowych dni. Za każdym razem było to magiczne, napawało ją bezgranicznym optymizmem i dodawało energii do pracy.

Dotarła wreszcie do rynku. Z daleka rozpoznała Rafała stojącego obok Adasia. Roześmiała się na ten widok. Na rynku zwykle gościł taki tłum, że najłatwiej było umówić się pod ulubionym pomnikiem krakowian oddającym cześć znanemu poecie Adamowi Mickiewiczowi. Adaś dopiero co został wymyty, jak każdego roku na wiosnę. Nieopuszczające rynku gołębie brudziły odchodami mury okalających budynków, chodniki i, rzecz jasna, pomnik.

Usłyszawszy pospieszne kroki, Rafał odwrócił się w stronę dziewczyny.

– Bałeś się, że cię nie znajdę? – zapytała z humorem Kasia.

– Niezupełnie, chyba brakowało mi tego pomnika, miasta, nawet tych okropnych gołębi.

Tym razem młoda dziewczyna wybuchnęła śmiechem. Rafał nie lubił gołębi. Stale dokarmiane przez turystów ptaki nie obawiały się nikogo. Bez najmniejszego skrępowania siadały na ramionach lub głowach przechodniów w oczekiwaniu na okruszki. Któregoś dnia Rafał stał się ofiarą niemiłego incydentu, w wyniku którego jego nowy podkoszulek zdobyły przez resztę dnia wilgotne plamy. Jak sam stwierdził, gołębie

musiały pomylić go z drzewem. Wydarzenie to wryło się w pamięć większości kolegów z jego roku, zwłaszcza tych, którzy spędzili w jego sąsiedztwie cały wykład – plamy nie tylko były wilgotne, wydzielaly również niemiłą woń.

– Jestem pewna, że gołębie będą szczęśliwe, wreszcie wróciłeś do Krakowa – rzuciła z zapalem.

Rafał przyglądał się jej natarczywie. Jak mógł wyjechać i zostawić tę dziewczynę? Krótka, jasna czuprynka i niebieskie oczy o wiecznie zdziwionym spojrzeniu prześladowały go przez trzy lata nieobecności. Trzy długie lata, w ciągu których bezskutecznie szukał pracy w swoim zawodzie. Nie było to łatwe na prowincji. Drukarni było mnóstwo, pracy niewiele, kandydatów zawsze za dużo. Nieliczne zlecenia nie wystarczały na zakup ani nawet wynajem mieszkania, więc Rafał musiał liczyć na pomoc rodziców. Lubił Krosno. Tam się urodził, tam mieszkała cała jego rodzina, tam miał wielu przyjaciół z czasów dzieciństwa. Kraków był miłym wspomnieniem. Studenckie lata to z pewnością najszczęśliwszy okres jego życia.

Przyglądając się teraz Kasi, Rafał zdał sobie sprawę, dlaczego po wyjeździe z Krakowa bezpowrotnie ulotniło się gdzieś owo uczucie szczęścia. A on myślał, że brak pracy miał z tym coś wspólnego... Ale z niego głupek. Wpatrzony w niebieskie oczy poczuł się nagle wyjątkowo dobrze. Zrozumiał, czego tak naprawdę mu brakowało. Rzecz jasna, nie zerwał kontaktu, pisywał do Kasi i paru innych kolegów ze studiów kilka razy w roku: na święta, imieniny i od czasu do czasu, żeby nie dać o sobie zapomnieć. Koledzy odpisywali rzadko, przeprasząc, usprawiedliwiając się brakiem czasu, nawałem pracy. Kasia odpowiadała zawsze, czasami krótko, czasami nieco rozleglej. Opisywała długie noce spędzone na pracy, brak snu, odczuwane zmęczenie. Co jakiś czas wspominała o satysfakcji z uprawianego zawodu.

Kiedy się poznali, osiem lat temu, oboje byli pełni zapalu i nadziei na przyszłość. Przyjechali do Krakowa, on z Krosna, ona z Ustronia, ponieważ jak większość młodych osób mieszkających w południowych regionach Polski marzyli o studiach na UJ-cie. Wybrali edytorstwo współczesne, oboje lubili czytać i każdego miesiąca z przyjemnością pochłaniali kilka tomów rozmaitych autorów krajowych i zagranicznych.

Kasia od samego początku nie ukrywała swoich planów. Pragnęła zostać tutaj, w Krakowie. Nie знаła tu nikogo, ale to miasto przyciągało ją jak magnes. W Ustroniu zostawiła matkę i starszą siostrę z rodziną. Dwie siostrzenice miały dzisiaj siedemnaście i piętnaście lat. Kasia widywała je jedynie na święta, kiedy udawało się jej wyrwać i spędzić trzy lub cztery dni w Ustroniu. Doskonale zdawała sobie sprawę z niepokoju matki, która w milczeniu spoglądała na sińce pod oczami swojej najmłodszej pociechy. W Krakowie miała wiele możliwości pracy, przyjmowała wszystkie propozycje, stale obawiając się, że kiedyś ich zabraknie. Po roku mogła wynegocjować kredyt i zakupić małe mieszkanie. Dużym plusem tej miniaturki, jak nazwała je Julka, starsza siostra Kasi, było jej położenie: wystarczyło przejść mostem Grunwaldzkim, a już było widać Wawel, skąd kilka kroków dzieliło od Starego Miasta. Kasia była bardzo dumna z tego zakupu. Julia przyjeżdżała rzadko, ale co roku udawało się jej wyrwać na weekend z mężem. Oczywiście Kasia za każdym razem proponowała im gościnę, ale nie mogła poświęcić swoim gościom zbyt wiele czasu. Pierwszej nocy przerażona siostra

stwierdziła, że światło gasło w pokoju Kasi około trzeciej lub czwartej rano. Po krótkiej rozmowie zrozumiała, a przynajmniej zdawała się rozumieć, motywację młodszej siostry. Tak trudno było wyrobić sobie nazwisko. Kasia była pełna energii, kiedy wytyczała sobie cel, dążyła do niego, nie zważając na przeszkody. Pragnęła zostać doskonałą redaktorką, jedną z tych, którą wyrywają sobie znane wydawnictwa. Najpierw jednak należało dowieść swoich umiejętności. Nie miała wyjścia – musiała pracować jak najwięcej. Podpisywała więc całą masę kontraktów, akceptując za każdym razem coraz krótszy czas na realizację zleconej pracy. Dawała sobie radę, chociaż czasami było trudno. Kraków kusił licznymi atrakcjami. Nie brakowało tu spektakli, kin, kabaretów. Kasia nie poddawała się, pewna, że kiedyś znajdzie na to wszystko czas. Jedynym momentem zniechęcenia był ów dzień, kiedy dowiedziała się o wyjeździe Rafała.

Teraz znowu był przed nią, starszy o trzy lata, ale równie pociągający. Czy jej się zdawało, czy rzeczywiście nie spuszczał z niej wzroku? Musiała coś powiedzieć, wszystko jedno co, byle ukryć własne zakłopotanie.

– Przykro mi, że zerwałam cię z łóżka o tak wczesnej porze, nie mam zbyt dużo czasu... – rzuciła wreszcie, uśmiechając się. – Zlecenie do oddania na jutro – dorzuciła w pośpiechu.

– Rozumiem – odparł spokojnie Rafał. – Kawiarnie są jeszcze zamknięte, przejdziemy się chwilę. Może w stronę Wawelu, co? Wkrótce powinniśmy znaleźć jakiś kącik, żeby wypić herbatę.

– Chętnie. No, mów... Co robisz w Krakowie? Wczoraj wieczorem byłeś taki tajemniczy. Jeszcze trochę, a spędziłbyś mi sen z oczu – zażartowała Kasia.

„Gdyby tylko mogła być to prawda” – pomyślał Rafał, z trudem zdobywając się na spokojną odpowiedź.

– Nie jestem jeszcze pewien, ale mam ochotę spróbować swoich sił tutaj, w Krakowie. W mojej okolicy mam niewiele zleceń. Trudno z tego żyć.

Kasia poczuła nagły przypływ gorąca. Nie było co się oszukiwać, najwyraźniej decyzja Rafała napawała ją szczęściem. Energicznej z natury Kasi trudniej było zachować spokój. Teraz również dała upust przepelniającym ją uczuciom:

– Świetnie! Będziemy mogli na nowo żyć jak za czasów naszych studiów. Druga młodość to jest dokładnie to, czego było mi potrzeba! – dokończyła z humorem. – Jeśli chciałeś wiedzieć, czy można znaleźć tutaj jakąś pracę, odpowiedź brzmi: tak. Nawet całą masę, ale nie łudź się, często są to krótkie kontrakty, małe zlecenia... Trzeba przyjmować ich całą masę i pracować, pracować... Moja siostra zamarła, kiedy dowiedziała się, ile czasu spędzam przed ekranem komputera! Potem zrozumiała i solennie obiecała, że kupi mi okulary na najbliższe imieniny.

Rafał wyszukał wreszcie malutką kawiarenkę, która właśnie się otwierała. Bez wahania skierowali się ku wejściu. Zamówili dwie herbaty i makaroniki, które Kasia kochała równie mocno, jak sam Kraków.

Rozmowa potoczyła się jak dawniej, za czasów studenckich. Żadne z nich nie miało wrażenia, że do niedawna dzieliły ich trzy lata rozłąki. Pełna zapału Kasia opowiadała o swojej ostatniej korekcie, o olbrzymiej liczbie literówek, które doprowadzały ją do obłędu, zwłaszcza około trzeciej nad ranem, kiedy sen zmuszał ją do kapitulacji. Rafał

wyznał, że z żalem opuścił swoje rodzinne miasto i swoich bliskich. Z drugiej zaś strony ze zwykłą sobie szczerością stwierdził, że brakowało mu Krakowa. „Krakowa i ciebie...” – dodał w myślach.

Godzina zleciała szybciej niż zwykle. Kasia podniosła się z przepaszającym uśmiechem na ustach.

– Muszę lecieć... Zadzwoń, kiedy tylko będziesz mógł. Gdzie mieszkasz?

– Na razie w hotelu. Przyjechałem wczoraj po południu. Mam cały dzień na szukanie czegoś do wynajęcia. Przez te trzy lata udało mi się odłożyć trochę pieniędzy, tylko dlatego, że rodzice pomogli mi, jak tylko było ich na to stać. Nie uda ci się wyrwać na kolację?

Kasia zmarszczyła brwi. Tak bardzo chciała zjeść kolację z Rafałem. Kontrakt kontraktem, nie może zawieść. Chyba że udałoby się jej skończyć pracę w ciągu dnia.

– Nie bardzo wiem... Kusząca propozycja, ale nie jestem pewna, nie mogę obiecać.

Widząc jej zakłopotanie, Rafał wpadł na pomysł:

– A może przyniosę kebaby z frytkami, zwiedzę twoje mieszkanie? Jeszcze go nie widziałem, a stale brakowało ci czasu na wysłanie zdjęć...

– Dobry pomysł – odparła z ulgą Kasia. – Zadzwoń. Lecę już, pa!

Po chwili wahania cmoknęła Rafała w policzek i szybkim krokiem oddaliła się w stronę Wawelu.

Oszołomiony chłopak przyglądał się znikającej pełnej wdzięku sylwetce. Nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo brakowało mu energii i radości życia, którymi tryskała ta dziewczyna. Jakim cudem nie uświadomił sobie tego wcześniej? Nagle optymistycznie spojrział na przyszłość. Nawet poszukiwania mieszkania go nie zniechęcały, chociaż dobrze wiedział, że niełatwo będzie znaleźć coś wolnego niedaleko centrum i za małe pieniądze. Nie dysponował dużą sumą, powinien jednak być spokojny przez kilka miesięcy. Ocknął się dopiero wtedy, gdy jasna czuprynka Kasi znikła za horyzontem.

Ruszył w stronę rynku. Personel małego hoteliku „Pod Różą” z pewnością będzie mógł poinformować go o znajdujących się w pobliżu agencjach wynajmu mieszkań. Miał przed sobą całe popołudnie. Spotkanie z Kasią wprowadziło go w dobry humor. Nie powinien tracić czasu, jeśli chciał znaleźć najlepsze kebaby w całym centrum.

Kasia wróciła do domu i pospieszyła do komputera. Optymistyczna i pełna zapału znalazła ostatni tekst, nad którym ślęczała większą część nocy. Od pierwszej strony praca usiana była błędami. Najgorsza była ortografia. Chyba po raz pierwszy od trzech lat Kasia trafiła na równie marne dzieło. Autor to pewnie dobry, a nawet wyśmienity, chemik, ale w dziedzinie ortografii był prawdziwą nogą. Pracowała bez wytchnienia, z krótką przerwą około czternastej. Wypiła herbatę, zjadła przygotowaną w pośpiechu kanapkę i wróciła przed ekran. Ani się spostrzegła, kiedy minęła osiemnasta trzydzieści. Zadzwoiła komórka. Na małym ekranie wyświetlił się numer Rafała. Zerknęła na komputer i z westchnieniem odebrała połączenie. Dobrze – będzie czekała na niego około dwudziestej. Super – cieszyła się na myśl o kebabach. Tak, była szczerą, nie będzie musiała głowić się nad kolacją. Rozmowa zakończyła się szybko. Młoda dziewczyna wróciła do pracy.

Punkt dwudziesta rozległ się dzwonek u drzwi. Kasia spojrziała na ekran i ze

zdziwieniem stwierdziła, że pozostał jej tylko jeden rozdział. Dwadzieścia marnych stron do poprawki. Zmęczona i senna podniosła się z fotela i skierowała ku wejściu.

Kiedy w drzwiach pojawił się uśmiechnięty Rafał z pachnącymi frytkami i ciepłymi jeszcze kebabami, Kasia się odprężyła. Gestem zaprosiła kolegę do wejścia, wskazując malutką kuchnię. Przsiedli przy stoliku i z apetytem zjedli przyniesione przez gościa wiktuały. Kasia zrobiła herbatę. Poczwała się lepiej.

– Nie przeszkadzam ci? – zapytał zaniepokojony Rafał.

– Nie, skądże, jestem tylko trochę zmęczona. Wypijemy herbatę i pokażę ci resztę mieszkania. Trzy minuty wystarczą na zwiedzenie – zażartowała. – Ale, ale – nie powiedziałaś mi, czy udało ci się coś znaleźć. W samym centrum jest drogo, a dalej trudno o małe mieszkania. Wszyscy szukają czegoś niedużego i taniego.

– Na razie nic nie przypadło mi do gustu. – Rafał usiłował zażartować.

Kasia czytała w starym przyjacielu jak w otwartej książce. Od razu zrozumiała, że mieszkania były zbyt kosztowne, że marne oszczędności Rafała nie mogły wystarczyć na opłatę czynszu, światła, gazu. Nie podjęła jednak tematu, postanawiając pomyśleć nad nim w spokoju. Teraz, w obecności przyjaciela, nie potrafiła się skupić. Podniosła się i pokazała gościowi resztę mieszkania. Było maciupieńkie, ale jej własne i wyjątkowo dobrze położone. Kasia z dumą wyjaśniła, jak udało się jej przekonać bank do udzielenia niezbędnej pożyczki.

– Przygotowałam całą paczkę kontraktów podpisanych przez pierwszy rok po studiach. Była tak okazała, że nawet jej nie otworzyli – śmiała się. – Mama obiecała, że w razie czego pomoże mi spłacać, a oddam jej pieniądze, kiedy tylko będę mogła. Nie było potrzeby.

– Wygląda na to, że w Krakowie nie brakuje pracy. Może powinienem zacząć od tego, a dopiero później zająć się poszukiwaniem mieszkania? – zastanawiał się głośno Rafał.

Kasia przemilczała te zwierzenia. Zmęczona, ale szczęśliwa, że wreszcie się odnaleźli, nawet nie zdała sobie sprawy, że usypia. Oparta na łokciu drzemała teraz na siedząco przy kuchennym stole. Rafał przeniósł ją do pokoju i przezornie ułożył na kanapie. Nie obudziła się. Usiadł obok niej. Wszystko wskazywało na to, że pracowała ponad siły. W dodatku zawsze wkładała całą energię w każdy nowy projekt. I obojętne, czy chodziło o wykłady, przygotowywane w tajemnicy urodziny jednej z koleżanek z uniwerku, czy zwykłą wycieczkę w góry. Podziwiał ją za to, ale nigdy dotąd nie zdał sobie sprawy, do jakiego stopnia brakowało mu jej entuzjazmu i bezgranicznej energii. „No, może nie takiej znowu bezgranicznej”. – Uśmiechnął się, spoglądając na śpiącą na kanapie przyjaciółkę. Co powinien zrobić? Nie może zostawić jej samej. Czy powinien ją obudzić? Zastanawiał się gorączkowo. Nigdy nie umiał podjąć szybkich decyzji. Szkoda mu było budzić zmęczoną Kasię, z drugiej zaś strony nie wiedział, ile pracy zostało jej do zrobienia do jutra rana. Wreszcie postanowił, że pozwoli jej pospać godzinę, a następnie obudzi ją, żeby się z nią pożegnać. Nawet nie poczuł ogarniającego go znużenia. Cały dzień biegał po Krakowie. Wszystkie oglądane mieszkania były za drogie. Owszem, przewidywał tego rodzaju trudności, wahał się przed wyjazdem. Wszelkie wątpliwości rozwiały się tego ranka, kiedy zobaczył zbliżającą się Kasię. Podjął dobrą decyzję: musi

zostać w Krakowie, zostać przy niej. W dodatku jeden fakt nie ulegał wątpliwości – to duże miasto oferowało wiele możliwości pracy w ich zawodzie, a Rafał nadal marzył, że kiedyś zostanie rozchwytywanym redaktorem.

Zamyślony nie zwrócił uwagi na mijający czas. Kiedy się ocknął, dochodziła północ. Kasia się poruszyła. Oddychała głęboko i spokojnie. Rafał podjął decyzję. Wstał delikatnie, zamknął na klucz drzwi wejściowe i usiadł przed komputerem. Otworzył ostatni dokument i zabrał się do pracy. Nawet jeśli Kasia zechce rzucić okiem na poprawki, nie będzie potrzebowała dużo czasu. Miał jedynie nadzieję, że nie obrazi przyjaciółki, która tak bardzo potrzebowała snu.

Kiedy skończył, dochodziła druga rano. Ani się spostrzegł, a zmorzył go sen. Usnął na siedząco, przed komputerem, z głową opartą na biurku.

Kasia obudziła się pierwsza. Przeciągnęła się, ze zdziwieniem stwierdzając, że spędziła noc na kanapie w dużym pokoju. Potrzebowała kilku chwil, żeby przypomnieć sobie o wieczorze spędzonym z Rafałem. Na samą myśl o przyjacielu zerwała się zawstydzona. „Usnęłam w obecności Rafała, ale ze mnie gąska... Nawet się nie pożegnaliśmy... No, i nie skończyłam pracy”. Gorączkowo zerkając na przegub prawej ręki, sprawdziła godzinę. Dochodziła szósta trzydzieści. Tym razem poczuła powracającą energię i szybkim krokiem weszła do pokoiku służącego jej za sypialnię i biuro. W progu zamarła... Przed komputerem spał Rafał. Zbliżyła się na palcach i popatrzyła na ekran. Z miejsca zrozumiała, w czym rzecz: Rafał pozwolił jej się wyspać i skończył poprawki. Nie namyślając się dłużej, Kasia wyciągnęła rękę i czule musnęła czuprynę młodego mężczyzny. Czowała się wypoczęta i szczęśliwa jak nigdy dotąd. Rafał najwyraźniej zamierzał zostać z nią na dłużej, w tym mieście, a może w tym mieszkaniu... Nie pozwoli mu wyjechać drugi raz. Delikatnie pocałowała śpiącego przyjaciela w policzek. Tym razem z trudem udało się jej zachować spokój. Musiała zebrać całą swoją energię, żeby w ciszy skierować się do łazienki. Nie dostrzegła uśmiechu, który pojawił się na twarzy Rafała. Chłopak usłyszał zbliżającą się do niego Kasię, ale nie ośmielił się poruszyć, nie bardzo wiedząc, jak dziewczyna zareaguje na widok włączonego komputera. Z ulgą oddał się pieszczotom. Musi jej powiedzieć... Zrozumiał teraz, dlaczego tutaj wrócił.

Zerwał się z fotela i żeby dodać sobie odwagi, zdecydował się włączyć wodę na herbatę i poszperać w kuchni w poszukiwaniu chleba, masła i jakichkolwiek innych produktów mogących posłużyć do przygotowania śniadania. Nagle ujrzał przyszłość oczyma pełnymi optymizmu.

[1] Popularny tygodnik o tematyce rolniczej.

3.

Silny wiatr i ulewny deszcz obudziły Cathy wcześnie rano. Jean dopiero co opuścił łazienkę, zdawało się jej, że słyszy dolatujące z kuchni odgłosy krzątającego się męża. W pośpiechu narzuciła szlafrok i zbiegła po schodach. Siedzący przy stole Jean odwrócił się zaskoczony.

– Już nie śpisz? Jest wcześnie, źle się czujesz?

– Wprost przeciwnie – rzuciła radośnie Cathy, obejmując mężczyznę ramionami. – Jestem pełna sił i energii. W dodatku od tak dawna nie jedliśmy razem śniadania.

To mówiąc, naląła gorącej wody do stojącej na stole filiżanki i wrzuciła do niej torebkę zielonej herbaty. Usiadła obok męża i z zapalem zajęła się smarowaniem kromek dla dwóch osób. Nie posiadając się ze zdziwienia, Jean łapczywie chwycił gotowe kanapki i zjadał je z apetytem. Cathy rozprawiała radośnie o tym i owym. Nagle wyprostowała się i gwałtownie odsunęła krzesło.

– Zupełnie zapomniałam. Muszę ci coś powiedzieć... Jeśli masz pięć minut. A może zaczniemy pracę i porozmawiamy w trakcie? Powiedz: co wolisz?

– Chętnie zostałbym tutaj cały dzień, za to krowy nie będą tego samego zdania – rzucił Jean. Podniósł się, chwycił żonę za rękę i przyciągnął do siebie. Na długą chwilę zapomnieli o czekających zwierzętach. Cathy z trudem odzyskała zmysły. Zadyszana uśmiechnęła się, mówiąc:

– Biegnę się ubrać. Przygotuj je do dojenia, zaraz będę gotowa.

I już jej nie było.

Jean czuł się równie szczęśliwy, jak w dniu, kiedy Cathy zgodziła się go poślubić. Trzy lata później kochał ją tak samo mocno i czuł, wiedział, że młoda kobieta odwzajemniała jego uczucia.

Ubrany, zapięty aż pod szyję, wyszedł na dwór. Powitał go ulewny deszcz. Kałuże pokrywały całe podwórko, woda płynęła strumieniem wzdłuż ogródka, nieustający wiatr chłostał drzewami okalającymi dom. Jean z trudem i niemalże po omacku dotarł do obory, gdzie zwierzęta spędzały noc zimą. Zaczął przygotowywać krowy do dojenia. Najpierw należało dokładnie umyć wymiona, pozbywając je bakterii. Cathy pojawiła się tak szybko, jak obiecała. Schwyciła rulon papierowych ręczników jednorazowego użytku i zajęła się wycieraniem wymion. Potem wspólnie przystąpili do ich dezynfekcji. Wreszcie mogli rozpocząć dojenie. Cały sprzęt został wyczyszczony i zdezynfekowany poprzedniego wieczora. Małżeństwo starannie umyło ręce i zabrało się do pracy. Wtedy Cathy powróciła do tematu podjętego przy śniadaniu.

– *À propos* naszej wcześniejszej rozmowy. Muszę ci opowiedzieć moje ostatnie sny.

– Sny?! – roześmiał się Jean.

– Poczekaj, aż ci opowiem, były naprawdę dziwne...

W kolejne pół godziny zwierzęta zostały wydojone i nakarmione, a Cathy opowiedziała o Londynie, o stale uśmiechniętej Kate, o Krakowie i energicznej, zmęczonej pracą Kasi.

Nie zważając na ulewny deszcz, w milczeniu zaprowadzili krowy na pole,

nakarmili prosiaki i kury. Kiedy wreszcie znaleźli się ponownie w ciepłej, a zwłaszcza suchej, kuchni, Cathy wstawiła wodę na herbatę.

– Co ty na to?

– Wygląda na to, że marzysz o podróżach – zażartował Jean. – Londyn, Kraków...

– Wszystko to było takie realne, zupełnie jakby chodziło o mnie. A przecież nigdy nie byłam w Londynie i muszę przyznać, że nie wiem, gdzie dokładnie leży Kraków.

– W Polsce, kochanie – rzucił pasjonujący się geografią Jean.

– No tak, dobrze, ale w której części? Na wschodzie, zachodzie, południu? Nie wiem, a przecież jeszcze widzę rynek i ten pomnik, u stóp którego Kasia spotkała się z Rafałem. Po raz pierwszy w życiu miałam równie dziwne sny. Te dziewczyny nosiły moje imię: Cathy, Kate, Kasia. Co ty na to? Naprawdę dziwny zbieg okoliczności. I prawdę mówiąc, czuję się jakaś inna, trudno mi ocenić, żywsza, pełna energii, radosna. Jestem zupełnym przeciwieństwem tej okropnej pogody – dodała z uśmiechem.

Wysuszeni i rozgrzani przez chwilę jeszcze rozmawiali o nocnych emocjach Cathy, po czym zmienili temat. Jean się niepokoił. Nie bardzo wiedział, co myśleć o tej historii związanej z byłymi właścicielami farmy. Cathy miała gotową odpowiedź.

– Najlepiej będzie, jeśli sami się do nich zwrócimy. Miałam właśnie ochotę odwiedzić parę domów po południu. Nie znają nas i nie mogą lubić. Jestem pewna, że szybko zmienią zdanie, kiedy się przedstawimy. Pojedziesz ze mną?

– Nie wiem, miałem zamiar sprawdzić, czy ten wiatr nie uszkodził ogrodzenia, krowy mogą być w niebezpieczeństwie. Nie mogę pozwolić, żeby przechadzały się po ulicy. Chyba że moje towarzystwo jest niezbędne.

– Nie, dam sobie radę. Nic się nie martw. Ale najpierw obiad. Co powiesz na zupełną jarzynową i pieczonego kurczaka?

– Super. Lubię jedno i drugie. W tym czasie zerknę na rachunki. Będę w biurze.

Cathy już obierała marchewkę, cebulę, pory i kilka ziemniaków. Wkrótce zupa gotowała się na kuchni, a smakowicie pachnący kurczak piekł w elektrycznym piecyku. Teraz mogła poświęcić chwilę na czytanie pożyczonego od Caroline kryminału, ale szybko porzuciła lekturę. Nie mogła pojawić się u obcych ludzi z gołymi rękami. Upiecze ciasto, może ułatwi jej ono zadanie. Ufała, że wszystko pójdzie jak z płatka. Przecież chodziło jedynie o nieporozumienie. Wystarczy wyjść sąsiadom naprzeciw, pokazać się ze swojej najlepszej strony, zdobyć ich zaufanie. Powinno się udać, a wspólnymi siłami łatwiej będzie stawić czoła trudnej sytuacji ekonomicznej. „Muszę dać im do zrozumienia, że liczymy na ich doświadczenie, a w zamian oni mogą liczyć na naszą pomoc i energię” – dumiała, mieszając składniki na ciasto.

Kiedy Jean pojawił się w kuchni, uśmiechnięta Cathy postawiła przed nim talerz gorącej zupy jarzynowej. Kurczak był kruchy i smaczny jak zwykle. Młody mężczyzna już czuł napływającą do ust ślinę na myśl o pysznym cieście, ale Cathy podniosła się, skierowała w stronę lodówki i wyjęła z niej dwa jogurty owocowe. Na widok pytającego spojrzenia męża wybuchnęła głośnym, zaraźliwym śmiechem.

– Ciasto jest dla naszych nowych przyjaciół, łakomczuchu. Obiecuję, że następne będzie tylko dla ciebie – dorzuciła zalotnie.

– Naprawdę masz zamiar odwiedzić sąsiednich rolników w taką pogodę?

– No właśnie tak będzie najlepiej, nie mogą pracować na polu. Jestem prawie pewna, że zastanę ich w domu. Nie martw się, zabiorę Jeta w razie gdyby okazali się groźni – zażartowała.

Wczesnym popołudniem małe clio ostrożnie jechało zalaną deszczem ulicą. Cathy prowadziła uważnie. Ulewa była tak silna, że wycieraczki nie nadążały zbierać wody strumieniami płynącej po przedniej szybie. Jet nie spał. Siedział na tylnym siedzeniu i wydawał się pilnować swojej pani. Pierwsza zagroda oddalona była o dobre dziesięć kilometrów. Trzy kolejne przylegały do niej. „Powinno mi się udać odwiedzić cztery domy za jednym zamachem” – myślała nadal pełna dobrej woli Cathy.

Wreszcie za zakrętem pojawił się pierwszy dom. Było to nadzwyczaj duże gospodarstwo, o wiele większe od ich własnego domu i wyjątkowo źle utrzymane. Chwasty rosły wzdłuż całej drogi prowadzącej na podwórko. Cathy zastanawiała się, jakie robiły wrażenie, kiedy była ładna pogoda, skoro ona dostrzegła je nawet przy tym ulewnym deszczu. Na piętrze kilka okiennic zdawało się trzymać tylko, tylko. Z bramy wjazdowej odchodziła farba. Olbrzymia obora również nie była w lepszym stanie. Dachówka z pewnością wymagała wymiany, bo na naprawę było zbyt późno. Młoda kobieta zastanawiała się, jak można było żyć w równie niechlujnym otoczeniu. Trudno, teraz już nie miała wyjścia; gospodarze z pewnością dostrzegli jej samochód. Chyba że byli nieobecni. „Ale ze mnie głuptas – skarciła się w myślach. – Przecież nie będę rozmawiała z domem, jego właściciele są z pewnością bardzo mili i zbyt biedni, żeby utrzymać posiadłość w dobrym stanie”.

Chwyciła plastikową torbę z ciastem i pozostawiając samochód pod nadzorem psa, wyszła na zewnątrz. Przez chwilę stała niezdecydowana. Strugi deszczu nie pozwalały jej na rozejrzenie się dokoła. Wreszcie dostrzegła drzwi. Zapuka tutaj, zdecydowała, a potem będzie, co będzie. Wyciągnęła rękę i już miała zastukać do drzwi, kiedy pojawiła się w nich pokaźna postać mężczyzny w średnim wieku. Musiał mieć około pięćdziesięciu lat. Był wysoki, raczej przy kości i lekko posiwiasty. Włosy w nieładzie opadały mu na ramiona, a zbyt obszerny rozpinany sweter zwisał smutnie, uwypuklając okrągły brzuch.

Cathy uśmiechnęła się i przedstawiła:

– Dzień dobry, jestem nową właścicielką farmy *L'Espoir*[1]. Nie znamy się jeszcze i pomyślałam sobie, że skorzystam z deszczowej pogody, żeby przedstawić się kilku sąsiadom. Mogę wejść?

Mężczyzna cofnął się bez słowa i gestem zaprosił przybyszkę do środka.

– Dziękuję. – Cathy uśmiechnęła się ponownie. – Mój mąż był zajęty, ale następnym razem chętnie spotka się z innymi rolnikami. Bardzo nam brakuje towarzystwa osób wykonujących ten sam zawód – ciągnęła radośnie, nie zważając na stale milczącego gospodarza. – Nie przeszkadzam panu? – zapytała wreszcie grzecznie.

W odpowiedzi usłyszała jedynie mruknięcie i kolejny gest nakazał jej pójść w ślad za nowym znajomym.

Cathy ścisnęła mokrą torbę z ciastem, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi. Korytarz był w równie złym stanie, co podwórko. Tapeta odklejała się od ścian, podłoga nie wyglądała na zbyt czystą, całość była bardzo ciemna. Zdumiona Cathy zdała sobie sprawę, że w żyrandolu brakuje żarówek. Nie ośmielając się odezwać, szła nadal,

ale czuła się teraz nieco mniej pewna siebie. Wreszcie znaleźli się w dużej kuchni. Przy stole siedziała przeraźliwie chuda kobieta. Wystające kości policzkowe nadawały jej makabryczny wygląd. Natychmiast obrzuciła wchodzących wrogim spojrzeniem. Mężczyzna odezwał się wreszcie:

– Nasza nowa sąsiadka – rzucił krótko, wskazując na Cathy, która zamarła w progu. Kobieta podniosła się i wskazała najbliższe krzesło.

– Niech pani siada. Pijemy kawę.

Zabrzmiało to jak zaproszenie, więc Cathy odzyskała głos. Nie bacząc na pokrywające krzesło okruchy, a nawet resztki pożywienia, odpowiedziała z uśmiechem na ustach:

– Chętnie się napiję. Przyniosłam ciasto – dorzuciła, wyciągając przed siebie mokrą torbę. Położyła ją na stole i rozpakowała nieco pokruszony wypiek. – Oj, tak mi przykro, pokruszyło się...

Kobieta bez słowa postawiła na stole filiżankę o wątpliwej czystości. Nalała kawy, chwyciła nóż i ukroiła trzy kawałki ciasta.

Cathy odzyskała głos i energię.

„Nie są zbyt rozmowni, ale nie są niemili. Muszę pokazać się od jak najlepszej strony”. Nie przejmując się milczeniem domowników, Cathy opowiedziała o swoim gospodarstwie, o tym, jak bardzo dumna była ze swojego ogródka. Wspomniała o Jeanie troszczącym się o krowy jak o własne dzieci. Zapewniła, że kocha wieś, ich nowy dom, zwierzęta, trudny zawód rolnika. Wreszcie wspomniała o trudnościach finansowych, o pojawiających się wątpliwościach, o tym, jak bardzo szczęśliwi byliby, gdyby tylko mogli podzielić się troskami ze znajomymi rolnikami. Niestety nie znali ani jednej pary posiadającej gospodarstwo rolne. A przecież mieli wielu przyjaciół w miasteczku, znajomych, z którymi miło spędzali czas. Zakończyła wywód, podkreślając, że chętnie zaprosiłaby ich oboje na kawę. Uśmiechnęła się i spojrzała wreszcie na dwójkę nowych znajomych. Nie poruszyli się. Wypili kawę, zjedli ciasto, ale nadal się nie odzywali. Na nowo ogarnął ją sceptycyzm, kiedy kobieta podniosła się powoli.

– Zobaczysz się. Ciasto było dobre. Własnej roboty.

– Tak. – Cathy się rozpromieniła. – Zrobiłam je specjalnie na dzisiejsze popołudnie.

– Nie widzimy wielu sąsiadów – dorzuciła kobieta. – Odprowadzę panią.

Jak we śnie Cathy zapakowała resztę ciasta w ciągle mokrą torebkę i podążyła za gospodynią. Nie zwracając uwagi na ciemny korytarz, z satysfakcją rozmyślała o udanej wizycie. W progu uśmiechnęła się do milczącej gospodyni i pożegnała ją serdecznie, zupełnie jakby znały się od dawna. Skrzypiące drzwi zatrzasnęły się wreszcie tuż przed nosem Cathy i młoda kobieta ponownie znalazła się na ulewnym deszczu. Pobiegła do samochodu.

Jet siedział, nadal czujnie rozglądając się dokoła. Nie ośmielił się nawet zająć siedzenia kierowcy. Na widok Cathy podniósł się i z radością zamachał ogonem. Młoda kobieta pogłaskała głowę wiernego przyjaciela, położyła torebkę z resztą ciasta obok siebie i uśmiechnięta ruszyła w dalszą drogę. Deszcz przybrał na sile. Widoczność stała się jeszcze gorsza. Jedynie wiatr był mniej porywisty. Zima zdawała się nie ustępować. Mimo to Cathy czuła się pełna werwy. Dwa dni temu była przygnębiona i pełna obaw,

a teraz tryskała energią. Co się stało? Sama nie bardzo rozumiała. Znowu była dawną Cathy, tą młodą i radosną dziewczyną, która zauroczyła Jeana od pierwszego spojrzenia. Strugi deszczu sprawiły, że jechała nieco po omacku i w ostatniej chwili dostrzegła kolejne gospodarstwo.

Tym razem domek był nieduży. Przylegające budynki gospodarcze najwyraźniej służyły jedynie w celu przechowywania sprzętu rolniczego. Prawdopodobnie gospodarze zajmowali się tylko uprawą. Podwórko było czyste, dobrze utrzymane. Cathy zatrzymała samochód, chwyciła torbę z resztą ciasta i w pośpiechu ruszyła ku drzwiom wejściowym. Zapukała. Ulewa zagłuszała wszelkie odgłosy, uniemożliwiając zorientowanie się, czy ktoś był w domu. Zapukała powtórnie. Cisza. Nieustępliwa Cathy zadzwoniła. Drzwi uchyliły się wreszcie. Zdumiona kobieta dostrzegła przez szparkę małą dziewczynkę. Musiała mieć sześć, może siedem lat.

– Dzień dobry – odezwała się Cathy wesoło. – Jesteś sama?

– Nie, mama poprosiła, żebym zobaczyła, kto przyjechał. Nie znam pani.

– To prawda. Właśnie dlatego tutaj jestem. Mieszkam w posiadłości oddalonej o dobre dziesięć kilometrów. Nie przedstawiłam się jeszcze najbliższym sąsiadom i pomyślałam sobie, że dzisiaj wszyscy będą w domu ze względu na pogodę. Może zawołasz mamę?

– Proszę wejść. Na imię mi Carla. A pani?

– Jestem Cathy. Cieszę się, że mogłam cię poznać. Czemu nie jesteś w szkole?

– Byłam przeziębiona, mama wołała, żebym została jeszcze w domu. Tak naprawdę – dodała po cichu – jestem w pełni formy, ale przy tej ulewie cieszę się, że mogłam sobie poczytać – dorzuciła z uśmiechem.

– Carla? Z kim rozmawiasz? – rozległ się nagle zaniepokojony głos. Na schodach wiodących na piętro pokazała się niska sylwetka. Na widok Cathy kobieta przybrała surowy wyraz twarzy i spokojnie zeszła po schodach.

– Dzień dobry – rzuciła Cathy z uśmiechem na ustach. – Jestem...

– Wiem, kim pani jest – ucięła kobieta. – Nie spodziewałam się wizyty.

– Tak, wiem – odparła natychmiast Cathy, przyjmując przepaszający ton głosu. – Zdecydowałam się skorzystać z tej okropnej pogody, trudno pracować na polu przy takim deszczu.

– To prawda – potwierdziła nieznajoma. Tym razem spojrzała na niespodziewanego gościa nieco przyjaźniej. – Skoro już tu pani jest, proszę wejść. Z góry uprzedzam, że nie mogę poświęcić pani dużo czasu.

– Tak, oczywiście, rozumiem – rzuciła w pośpiechu Cathy. – Mogę przyjechać innym razem. Nie chciałabym przeszkadzać...

– Dziesięć minut teraz czy później nie sprawią różnicy – stwierdziła gospodyni, prowadząc Cathy do małej jadalni.

Gestem wskazała jedno z krzeseł i usiadła obok. Carla stała w progu niezdecydowana. Jej matka spostrzegła wreszcie obecność małej i zwróciła się do niej łagodnym tonem:

– Idź do swojego pokoju, kochanie. Potrzebujesz jeszcze odpoczynku. Za chwilę przyniosę ci podwieczorek, zgoda?

Najwyraźniej zawiedziona Carla odwróciła się na pięcie i znikła z pola widzenia. Gospodyni natychmiast przybrała surowy wyraz twarzy, zwracając się do gościa suchym tonem:

– Czemu zawdzięczam pani wizytę?

Cathy czuła się wytrącona z równowagi. Ta kobieta tak bardzo różniła się od poprzednich gospodarzy, nie była jednak bardziej przyjacielska.

– Chciałabym się przedstawić. Mieszkamy tutaj od tak dawna, a nie znamy jeszcze ani jednego rolnika.

Cisza. Najwyraźniej gospodyni nie zamierzała ułatwić jej zadania. Cathy uniosła głowę i odważnie kontynuowała:

– Pomyśleliśmy, że przyjemnie byłoby poznać ludzi, którzy pracują w tym samym zawodzie, borykają się z takimi samymi problemami... Choćby po to, żeby porozmawiać, wspólnie poszukać wyjścia z trudnych sytuacji. Jeśli pani pozwoli, chętnie wrócę z mężem, nie mógł się dzisiaj urwać.

– Nie ma potrzeby. Nie utrzymujemy bliskich stosunków z sąsiadami i nie sądzę, że ulegnie to zmianie w najbliższym czasie. To wszystko?

– Tak – wybąkała zdumiona Cathy. – Wszystko...

– W takim razie nie zatrzymuję pani dłużej.

Kobieta podniosła się z krzesła. Cathy odruchowo ruszyła za nią i chwilę później znalazła się na deszczu, nie bardzo wiedząc jak i kiedy. Automatycznie dotarła do samochodu, zniechęcona opadła na siedzenie i oparła głowę o kierownicę. Ocknęła się, czując ciepły język Jeta na policzku. Pies witał swoją panią, jakby nie widzieli się od wieków. Cathy odzyskała nieco energii. Rozmyślając, pogłaskała czule psa. Odwiedziła dwa gospodarstwa. Jak dotąd nikt jej się nie przedstawił, a rozmowa ograniczyła się do niezbędnego minimum. W torebce nadal miała dużą porcję ciasta. Nie podda się. Z pewnością powiedzie się jej lepiej w kolejnej posiadłości. Zdecydowana wycofała samochód i ruszyła w drogę.

Dwa kolejne domostwa leżały blisko siebie i najwyraźniej dzieliły duży ogród rozciągający się między nimi. Cathy zaparkowała i na nowo poczuła rozpierającą ją energię. Przecież nie wróci z niczym. Tutaj musi jej się udać. Schwyciła torebkę z ciastem i podążyła w stronę wejścia. Ledwie zapukała do drzwi, kiedy usłyszała ciężkie kroki. Nie spodziewała się jednak podobnego widoku: przed nią stała młoda, ładna i bardzo, bardzo otyła kobieta, która z miejsca zaprosiła ją do wejścia:

– Proszę, proszę, nie ma co zwlekać na dworze przy podobnej pogodzie!

– Prawda? – potwierdziła uradowana Cathy. – Wiem, nie spodziewała się pani mojej wizyty, ale...

– Wprost przeciwnie, zrobiłam kawę i już od pół godziny czekam na pani ciasto. Z tego, co słyszałam, jest całkiem niezłe. – To mówiąc, wybuchnęła śmiechem. – Szkoda, że nie widzi pani własnej miny. Bernadette zadzwoniła do nas zaraz po pani wyjeździe.

Cathy zrozumiała wreszcie, że pierwsza „niema” gospodyni miała na imię Bernadette i że była rozmowna, jeśli tylko chciała.

Usiadła przy filiżance kawy i kolejnym kawałku ciasta. Poczowała się różnie.

– Na imię mi Julia – powiedziała nowa znajoma. – Zastanawiałam się, czy

kiedykolwiek zdobędzie się pani na odwagę, żeby do nas wpaść.

Tym razem Cathy poczuła się zaintrygowana.

– Czekala pani na moją wizytę?

– Czekać, nie czekałam. Na pani miejscu nie wytrzymałabym dłużej. Prawdę mówiąc, nie mogłabym mieszkać na fermie, którą wszyscy omijają z daleka, nie znając powodu podobnego zachowania.

– Widzi pani, jak dotąd byliśmy tacy szczęśliwi i zajęci nowym gospodarstwem, że nawet nie przyszło nam do głowy, że nie znamy tutejszych rolników. Mamy sporo przyjaciół w miasteczku. Praca zabiera nam dużo czasu. Ostatnio często myślimy o przyszłości naszego gospodarstwa i niepokoi nas ona. Choćby z tego powodu chętnie podyskutowalibyśmy z innymi rolnikami. Stąd moja wizyta. Julia, jeśli pani pozwoli, będę szczerą. Słyszeliśmy plotki, że dawni gospodarze naszej fermy nie byli tu zbyt mile widziani. Ale my nie jesteśmy tacy sami! Chętnie podzielimy się sprzętem, pomożemy w pracy, zaprzyjaźnimy się z wami. Nie chce mi się wierzyć, że odrzuciliście nas z powodu nieprzyjemnego zachowania osób, których nie znaliśmy.

– A szkoda, bo jest to szczerą prawdą. Nikt nie lubi waszej farmy. Były z nią same kłopoty. Leży na uboczu, zapomnieliśmy o niej i tyle. Moim zdaniem trudno wam będzie wpłynąć na zmianę sytuacji.

– Julio, nie zechciałaby nam pani pomóc? – zapytała błagalnie Cathy.

– Nie bardzo wiem – odparła Julia, łakomie połykając ostatnie okruszki swojej porcji ciasta. – Bernadette miała rację, ciasto jest bardzo dobre.

Cathy postanowiła skorzystać z sytuacji.

– Mogę przyjechać innym razem i pokazać pani parę innych przepisów. Lubię piec, jest to jeden z licznych talentów otrzymanych w spadku po mojej mamie.

Julia zdawała się nie słyszeć. Zerwała się z krzesła i już proponowała Cathy drugą kawę. Nie chcąc urazić nowej znajomej, ta ostatnia przystała na propozycję, chociaż wyraźnie czuła, że przez długi czas nie będzie mogła spojrzeć na ten aromatyczny napój, od którego zawsze wolała herbatę. Gorączkowo zastanawiała się, jak mogłaby nawiązać do tematu, kiedy Julia odezwała się ponownie:

– Cathy, wiem, co pani czuje, ale tutejsi mieszkańcy są specyficzni, zabobonni, zbyt przezorni czy ja wiem... Sami musieliśmy wkupić się w ich łaski. Trwało to kilka miesięcy, ale udało się nam. Ma pani rację, czasy są ciężkie, dobrze jest trzymać się razem. Ja nie mam nic przeciwko temu, ale dopóki nie przekona pani innych rolników...

Rozmowa zesła teraz na zupełnie inne tematy: ostatnie filmy, książki, które zdaniem Julii warto było przeczytać, butiki, w których można było kupić niezłe sukienki dla tęgich dam, proste i znane przepisy na zimowe dania, pobliskie Nantes, do którego Julia lubiła jeździć z mężem. Ani się spostrzegły, a kuchenny zegar wybił godzinę siedemnastą.

Cathy podniosła się podbudowana nadzieją. Tu przynajmniej nie straciła czasu. Julia mogła być miłą towarzyszką. W każdym razie nie była wrogo nastawiona. Po chwili wahania Cathy zaproponowała nowej znajomej resztkę ciasta. Propozycja została przyjęta z entuzjazmem. Wkrótce Julia odprowadziła swojego gościa do drzwi.

– Powodzenia – rzuciła na odchodnym.

Cathy westchnęła i uśmiechając się do kobiety, narzuciła kaptur i pobiegła do samochodu. Sąsiedzi Julii mieszkali tak blisko, że równie dobrze mogła zostawić samochód i udać się do nich na piechotę. Czy aby nie było zbyt późno na wizytę? „Skoro już tu jestem, najlepiej będzie, jeśli zrobię to, co zamierzałam”. Cathy ponownie przykryła głowę porządnie już przemoczonym kapturem i ruszyła w stronę ostatniego domostwa. Tym razem wiodła ją ciekawość: co czeka ją za tymi drzwiami? Budynek był średniej wielkości i wydawał się opuszczony. Większość okiennic była zamknięta, w żadnym z okien nie paliło się światło, nic nie wskazywało na obecność właścicieli. Cathy nacisnęła dzwonek. Za drzwiami natychmiast rozległy się pospieszne kroki.

– Nikogo nie ma w domu! – usłyszała. Młoda kobieta nie posiadała się ze zdumienia.

– Dzień dobry, przyjechałam tylko na chwilę, żeby się przedstawić. Mieszkam kilka kilometrów stąd. Moje gospodarstwo nazywa się *L'Espoir*. Mogę wejść? Jestem przemoczona i zziębnięta do szpiku kości.

– Nikogo nie ma w domu! – powtórzył ten sam głos, po czym rozległ się dźwięk oddalających się kroków.

Oszołomiona Cathy wybuchnęła śmiechem. A to dopiero, po trzech poprzednich wizytach nie spodziewała się podobnego obrotu sprawy. Odwróciła się i zataczając się od śmiechu, skierowała kroki ku zaparkowanemu nieco dalej samochodowi. Tym razem Jet nawet nie podniósł głowy. Popołudnie spędzone w pojeździe znużyło go wreszcie i Cathy ze wstydem pomyślała, że nawet nie zaproponowała mu, żeby rozprostował łapy i skorzystał z okazji, aby załatwić swoje psie potrzeby. Wyciągnęła dłoń i delikatnie pogłaskała zwierzę. Jet otworzył oczy, ziewnął, zamachał ogonem, po czym usiadł na swoim siedzeniu, rozprostowując zeszywniałe łapy. Cathy otworzyła tylne drzwi. Jet nawet się nie zawahał. Smyknął w stronę ogródka, uważnie obwąchując każdy napotkany krzaczek, po czym zniknął za budynkami gospodarczymi. Młoda kobieta ufała wiernemu przyjacielowi, spokojna czekała więc w samochodzie na powrót psa. Jet pojawił się wreszcie przemoczony do suchej nitki, ale najwyraźniej zadowolony z oględzin.

– Co ty na to, przemili właściciele, prawda? – Cathy uśmiechnęła się, włączając silnik. – Nie spodziewałam się tak miłego przyjęcia – dorzuciła.

Deszcz padał nadal, wczesny wieczór utrudniał widoczność. Kobieta skupiła teraz całą uwagę na prowadzeniu samochodu. Kiedy w oddali ukazał się jej dom, odprężyła się i z właściwą sobie energią już myślała o kolacji. Jean pewnie zajmował się karmieniem krów. Może będzie miała czas, żeby pomóc przy dojeniu...

Cathy zaparkowała auto. Kiedy tylko znalazła się w domu, starannie wytarła przemoczonego psa, zmieniła ubrania, umyła ręce i chwyciła czajnik. „Trochę herbaty dobrze mi robi, muszę się rozgrzać”. Popijając napar, przyszykowała kolację. Nakryła do stołu, zgotowała wodę na makaron i wyjęła z szafki gotowy sos pomidorowy z mięsem. Resztki zupy jarzynowej powinny wystarczyć na zaspokojenie głodu. Kiedy wszystko było gotowe, narzuciła suchą kurtkę i pobiegła pomóc mężowi.

Jean już zaczął dojenie. Na widok żony przybrał tak uradowaną minę, że Cathy się roześmiała.

– Nie mów, że niepokoiłeś się aż do tego stopnia. Sam widzisz, nikt nie zrobił mi

krzywdy. Za to mam co opowiadać. Nie, nie... – Ucięła, widząc, że Jean otwiera usta. – Dowiesz się przy kolacji. Najpierw ci pomogę. Jak na dzisiaj dosyć mam wilgoci, chętnie spędzę resztę wieczoru przed kominkiem. A ty, przypuszczam, że nie zmarnowałaś popołudnia?

Jean przyznał, że czas bardzo mu się dłużył pod nieobecność żony. Owszem, udało mu się skończyć wszystkie przewidziane prace: naprawił zniszczone ogrodzenie i pomimo złej pogody obszedł całe pole, upewniając się co do stanu reszty drewnianych barier. Przemoczony i zziębnięty myślał o żonie przez cały czas. Nie powinien był pozwolić jej pojechać samej, przecież nie znali tych rolników. Nie można było przewidzieć ich zachowania ani wymagać, żeby byli zachwyceni niezapowiedzianą wizytą intruza. Jediną pociechę Jeana stanowił Jet, pod jego obecność Cathy była bezpieczna.

Młoda kobieta słuchała zwierzeń męża, nie przestając się uśmiechać. Pracowała energicznie, z trudem powstrzymując się od opowiedzenia o swoim „przeziębieniu” popołudniu. Skończyli wreszcie i trzymając się za ręce, pobiegli do domu. Przy stole Cathy nie wytrzymała dłużej. Rozprawiała z humorem, od czasu do czasu parszkając śmiechem. Nie zwróciła uwagi na wytrzeszczone oczy męża, na rysujące się w nich zdziwienie. Dopiero kiedy odsunął od siebie talerz z nietkniętym makaronem, Cathy spoważniała.

– Nie smakuje ci? Jesteś zmęczony, a ja paplam i paplam. Zrobię herbatę, napijesz się?

– Chętnie.

Jean podniósł się również, wstawił naczynia do zmywarki i ustawił na stole filiżanki i cukierniczkę.

Przy herbacie wrócili do tematu.

– Nie wiem, jakim cudem udaje ci się uśmiechać – zauważył Jean. – Ci ludzie najwyraźniej są wrogo nastawieni. Podziwiam twoją energię i dobry humor.

– Pomyśl tylko: w pierwszym domu nie udało mi się dowiedzieć, jak nazywają się właściciele, za to wypiliśmy kawę i zjadłam ciasto, w dodatku pochwalono mnie, a raczej moje zdolności kulinarne. W drugim zapoznałam się z małą dziewczynką, której matka grzecznie wyprosiła mnie za drzwi. W trzecim spędziłam kilka miłych chwil, Julia jest pulchną łakomczuszką, a jestem pewna, że mogłabym się z nią zaprzyjaźnić, gdyby tylko chciała. Z czwartego domu zapamiętałam jedynie drzwi wejściowe, ponieważ nikt nie chciał mi otworzyć i to pomimo ulewnego deszczu. Jaka szkoda, że nie mam zdolności literackich, wyszłaby z tego niezła powieść. Jestem przekonana, że możemy wkupić się w ich łaski – dodała, ponownie wybuchając śmiechem. – Jean, myślę, że jedynie wspólnymi siłami możemy wybrnąć z kłopotów. Nie sądzę, żeby obecny kryzys ominął naszych sąsiadów. Oni również będą potrzebować wsparcia i przyjaznych rad. Wrócę tam. Musi mi się udać.

Tym razem uśmiechnęli się oboje. Cathy zebrała filiżanki, włączyła zmywarkę i już miała udać się do łazienki, kiedy Jet uniósł głowę i zawarczał krótko. Jean zerknął przez okno. Na dworze było teraz zupełnie ciemno. W oknie błysnęły światła samochodu.

Młodzi spojrzeli na siebie zdziwieni.

– Czekasz na kogoś? – zapytała Cathy.

– Skąd. Mam ochotę na ciepły prysznic i pachnącą pościel. Nawet nie wiem, czy wytrzymam pięć minut dłużej z otwartymi oczami.

Ledwie skończył mówić, a rozległo się głośne pukanie do drzwi.

Cathy zareagowała pierwsza. Z Jetem u boku zbliżyła się i uchyliła drzwi, za którymi ukazała się Julia ciągnąca za sobą wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę, który musiał być jej małżonkiem.

Rozradowana Cathy ucałowała chłodne policzki nowej znajomej i zaprosiła parę do środka. Jet obwąchiwał nowo przybyłych, machając ogonem. Zbliżył się Jean. Ucałował Julię i wyciągnął rękę do jej towarzysza.

– Na imię mi Jean. Bardzo mi miło.

– Martin – wybąkał w odpowiedzi mężczyzna.

Julia puściła oko do Cathy i powiedziała:

– Przemyślałam sprawę. Przyznaję, że Martin jest tutaj z przymusu albo może tylko dlatego, żeby sprawić mi przyjemność. Zgadzam się z tobą, Cathy, nie powinniśmy zwracać uwagi na głupie plotki. Nie możecie ponosić odpowiedzialności za niemiłe zachowanie poprzednich właścicieli. To dziecinne i zupełnie niepoważne. Pomożemy wam przekonać innych rolników. Prawda, Martin?

– No tak, chociaż nie będzie to łatwe – odpowiedział spokojnie mężczyzna.

Jean stał jak skamieniały. Cathy ocknęła się pierwsza i zaprosiła nieoczekiwanych gości do kuchni. W mgnieniu oka na stole pojawiły się filiżanki i kruche ciasteczka. Kilka minut później obie pary siedziały pograżone w rozmowie. Aż trudno było uwierzyć, że nie znały się kilka godzin wcześniej. Cathy się nie pomyliła. Julia była miłą towarzyszką, energiczną, wesołą, pewną siebie kobietą. Martin pozostawał w cieniu swojej małżonki, ale był rozmowny, zakochany w swoim zawodzie i z łatwością podjął z Jeanem konwersację na ten temat. Czas zleciał szybko. Wreszcie Julia zerknęła na kuchenny zegar i nie ukrywając się, ziewnęła na całego. Rozstali się jak starzy przyjaciele. Martin solennie obiecał, że wróci, kiedy tylko będzie mógł. Nie miał zwierząt, pasjonowała go uprawa kukurydzy, zboża oraz lucerny, którą sprzedawał na paszę. Ostatnio również interesował się modną od kilku lat quinoą[2]. Chętnie podzielił się swoim doświadczeniem z Jeanem. Cathy i Julia padły sobie w objęcia. Tak, były przyjaciółkami. Z pewnością zobaczą się wkrótce, choćby po to, żeby wymienić się przepisami na ciasta i zdecydować, w jaki sposób przekonają innych rolników, że dobrze byłoby trzymać się razem.

Po wyjściu gości Jean uśmiechnął się zmęczony. Podszedł do żony i objął ją.

– Wygląda na to, że wygrałaś. Jak zwykle – dorzucił z dumą. Nie zwracając uwagi na zmęczenie, podniósł żonę i skierował się do pokoju.

Wtulona w ciepłe ramiona Jeana Cathy zapomniała o całym świecie. Czowała się taka szczęśliwa. Zmęczona emocjami usnęła, kiedy tylko wyszła spod prysznica.

*

Podolsk liczy ponad dwieście tysięcy mieszkańców i położony jest w obrębie obwodu moskiewskiego. Katia urodziła się tu czternaście lat temu. Tutaj spędziła całe dzieciństwo, dzieląc mały pokój w jednopiętrowym domu przy ulicy Bykovskaya numer

osiemnaście z młodszą siostrą Galią. Sąsiedni pokój zajmowali jej starsi bracia: Vladimir i Vadim. Matka Katii nie pracowała, czwórka dzieci i dom zajmowały jej cały wolny czas. Ojciec pracował za dwoje, spędzając całe dni w fabryce produkującej urządzenia i maszyny dla przemysłu lekkiego. Wychodził wcześniej, wracał późno. Katia nie widywała go często. Wychowała ją wiecznie zmęczona, zabiegana matka. Rodzina z trudem wiązała koniec z końcem, oszczędzając, na czym tylko było można. Dzieci nie miały dużo zabawek, nie wyjeżdżały na wakacje. Za to nie brakowało im przyjaciół i znajomych. Ciepła, rodzinna atmosfera panująca u państwa Ramieńskich działała jak magnes i dom stale był pełen gości. Przyjmowano ich skromnie, nigdy jednak nie zabrakło herbaty i domowego ciasta.

Latem mała Katia spędzała sporo czasu z braćmi na brzegu pobliskiej rzeki – Pachry. Vladimir i Vadim uwielbiali połów. Dziewczyna korzystała raczej z uroków natury i ciepłych słonecznych promieni. Tutaj zaczęła marzyć o lepszym życiu. Trzeba przyznać, że marzenia te podsycił wuj, brat matki – Borys. Katia uwielbiała Borysa, młodego kawalera, profesora muzyki. Borys zaś uwielbiał muzykę poważną, balet, operę i oczywiście bez trudu zaraził swoją pasją Katię, która od małego kręciła się i z gracją wirowała przy dźwiękach muzyki. W wolnych chwilach Borys uczył ją gry na pianinie. Mała Katia wołała jednak taniec. Dumnie unosiła główkę i wspinając się na palcach, wirowała bez końca. Była dobrą uczennicą, pilną, wytrwałą, ambitną. W mieście nie brakowało nauczycieli tańca, niemniej Katia nie ośmielała się rozmawiać o swoim marzeniu z matką, dobrze wiedząc, że prywatne lekcje kosztują zbyt dużo. Koncentrowała się na pracy w szkole i szybko stała się jedną z najlepszych uczennic.

Mijały lata. Katia wyrosła na wysoką, szczupłą nastolatkę. Długie warkocze przewiązane kolorowymi kokardkami zastąpił koński ogon albo, kiedy była sama, zręcznie upięty kok. Nie chodziła już nad rzekę, spędzała dużo czasu na czytaniu. W pobliskiej bibliotece nie brakowało powieści. Dziewczyna wybierała biografie znanych muzyków, aktorów, albumy o operze lub – jej ulubione – te zawierające zdjęcia ze spektakli moskiewskiego baletu Bolszoi. Jak większość nastolatek była skryta, nie powierzyła swoich marzeń nawet najlepszym przyjaciółkom. Pewnego letniego dnia Katia natknęła się w bibliotece na Borysa.

– Katia! – zawołał Borys na jej widok. – Co tutaj robisz? Jest taka piękna pogoda, powinnaś opalać się w parku albo nad rzeką, tymczasem przypominasz mola książkowego – stwierdził, rzucając okiem na trzymane przez dziewczynę tomy. – Ale, ale: czyż to nie zdjęcia moskiewskiego baletu?

– Tak – wybąkała Katia.

Borys z miejsca dostrzegł jej zmieszanie i dyskretnie zmienił temat. Po wyjściu z biblioteki zaprosił siostrzenicę na lody. Zręcznie manewrując wokół tematu, dowiedział się tego, co już podejrzewał. Dziewczyna była ambitna, ciężko jej będzie zrezygnować z marzeń i zaszyć się w Podolsku na resztę życia, już teraz przypominała usychającą roślinkę. Borys wyprostował się i rzucił prosto z mostu:

– No dobrze, najwyższy czas pomyśleć o twojej przyszłości. Skończyłaś czternaście lat, pójdziesz do liceum. Jesteś zdolna i ambitna, najlepiej byłoby, gdybyś mogła kontynuować naukę w Moskwie.

Katia rozpromieniła się na chwilę, ale szybko spuściła głowę.

– Sam wiesz, że nie będzie to możliwe. Nie chcę dręczyć mamy, i tak robi, co może. Szkoła w Moskwie, a nawet samo mieszkanie, przekraczają nasze możliwości.

– A ten album o balecie? Nie pożyczyłaś go przez przypadek, prawda?

– Prawda – przyznała Katia – co nie zmienia sytuacji – dorzuciła. – Tak bardzo chciałabym tańczyć, podróżować po całym świecie. Bolszoi jest bardzo znany. Niestety nigdy nie uczęszczałam na lekcje tańca, no i mam już czternaście lat... Wszystko przepadło.

– Nie mów tak – zaprzeczył Borys. – Katia, zastanówmy się. Jestem pewien, że coś da się zrobić. Daj mi kilka dni, mam w Moskwie znajomych. Nie widzimy się często, ale od lat jesteśmy w kontakcie telefonicznym, pisujemy do siebie. Podobnie jak mnie, pasjonuje ich muzyka poważna. Może znajda dla ciebie jakiś kącik.

Katia podskoczyła na krześle, odzyskując utraconą nadzieję.

– Nie rozwiąże to wszystkich problemów – dorzucił Borys. – Trzeba będzie znaleźć liceum, zapisać cię na przyszły rok szkolny, a co najważniejsze... potrzebne będą pieniądze na twoje utrzymanie, no i na lekcje tańca.

– Twoim zdaniem nie jestem za stara?

– Myślę, że większość dziewcząt zaczyna o wiele wcześniej, ale jesteś na tyle zdolna, że z pewnością nadrobisz zaległości. Nie ma co ukrywać, największym problemem będzie sfinansowanie naszych planów.

Katia zacisnęła pięści.

– Nie poddam się. Musimy znaleźć wyjście.

Borys uśmiechnął się do niej.

– I znajdziemy. Dla chcącego nic trudnego.

Przez kilka kolejnych dni Katia była tak roztargniona, że zaniepokoiła matkę. Natalia dobrze znała każde ze swoich dzieci. Od dawna już dostrzegała ogromne ambicje starszej córki, z dumą śledziła jej postępy w nauce, z niepokojem spoglądała na przynieszone do domu albumy o Bolszoju. Serce pękało jej na samą myśl o chwili, gdy trzeba będzie porozmawiać na ten temat. Zrozumiała, że nadszedł odpowiedni moment. Wczesnym wieczorem, cztery dni po spotkaniu z Borysem, Katia siedziała w ogródku. Była tak zamyślona, że nie usłyszała kroków zbliżającej się mamy. Drgnęła, kiedy Natalia pogłaskała ją po ramieniu.

– Nad czym tak rozmyślasz? – zapytała matka, doskonale znając odpowiedź, i gdy córka gorączkowo szukała wymówki, dodała: – Katia, jesteś moją córką, znam cię lepiej niż ktokolwiek inny na tym świecie, wiem, co cię gnębi.

Katia podniosła głowę, napotkała spojrzenie matki. Szare oczy patrzyły na nią z miłością, zrozumieniem i żalem. Nadszedł moment prawdy.

– Chciałabym tańczyć w balecie Bolszoi, w Moskwie. Od tak dawna o tym marzę. Rozmawiałam z Borysem, obiecał, że skontaktuje się ze mną w krótkim czasie. Wiem, nie będzie to łatwe. Nie poddam się, mamo.

– To również wiem. Jesteś ambitna i rzeczywiście bardzo zdolna. Znasz naszą sytuację, gdybym tylko mogła ci pomóc, dawno już zapisałabym cię na lekcje tańca. Życie nie zawsze pozwala nam na realizację marzeń. Wiem coś o tym.

Dziewczyna zamarła. Nigdy dotąd nie zastanawiała się, dlaczego było tak, jak było, dlaczego matka nie pracowała, dlaczego mieszkali w tym mieście, dlaczego było im tak trudno. „Ale ze mnie egoistka” – pomyślała ze wstydem, po czym szeptem zadała pytanie:

– Mamo, a ty? Jakie były twoje marzenia?

Natalia się uśmiechnęła.

– Chciałam pracować w szkole. Byłam zdolna i ambitna, zupełnie jak ty. Niestety nasza rodzina nigdy nie była bogata. Nie miałam za co wyjechać na studia do Moskwy, która jest przecież tak niedaleko. Podolsk pozostał moim miastem. Poznałam twojego tatę. Zakochałam się. Pobraliśmy się i na świat zaczęły przychodzić dzieci. Nie zrozum mnie źle; jestem szczęśliwa. Czasami jednak czegoś mi brakuje.

Matka uśmiechnęła się i ucisnęła dłoń córki.

– Nie bardzo wiem, jak ci pomóc. Nie mogę znaleźć zatrudnienia przy obecnym bezrobociu i z powodu braku wykształcenia. Mam jedynie maturę. W przyszłym roku Vladimir powinien pójść do pracy, tata spróbuje znaleźć mu miejsce w fabryce. Będzie nam lżej.

– Nie mogę czekać, mamo – odparła smutnie Katia – i tak już straciłam dużo czasu. Tancerki są młode, po trzydziestce zajmują się szkoleniem przyszłych talentów. Ten zawód wymaga zdrowia i energii. Nie mogę się poddać teraz, poczekajmy na Borysa, niedługo powinien dać mi znać – dodała.

Natalia z dumą pomyślała, jak dobrze było mieć tak ambitną córkę. „Nie ma wątpliwości, Katia znajdzie rozwiązanie. Chce tańczyć i będzie tańczyła. A jeśli jej się uda, będzie to znak, że jest silniejsza niż ja w jej wieku, bardziej zacięta, zdecydowana”. Wszystkie te cechy były tak niezbędne w obecnych czasach. Natalia raz jeszcze rzuciła okiem na rozmarzoną Katię i zniknęła w domu.

Borys pojawił się po tygodniu. Katia zbladła na jego widok, ale grzecznie zaprosiła go do kuchni i zaproponowała herbatę. Natalia była na zakupach. W domu ani żywej duszy. Rodzeństwo korzystało z wakacji i pięknej, słonecznej pogody.

– Mam nadzieję, że nie spędziłaś siedmiu dni w kuchni – zażartował Borys. – Słońce dodaje sił, a siły są niezbędne dla początkujących tancerek.

Katia czuła bijące na całego serce, nagle zrobiło się jej słabo. Szybkimi łykami wypila mocną czarną herbatę, do której dorzuciła drugą kostkę cukru.

– Mam same dobre wiadomości – rzucił wreszcie Borys. – Znajome małżeństwo z córką w twoim wieku chętnie przygarnie cię do siebie na przyszły rok szkolny. Dziewczyna jest zachwycona, jak każdej jedynaczce brakuje jej towarzystwa. Na imię ma Lena. Nie znam jej, ale jestem pewien, że jest równie miła, jak jej rodzice – zakończył z uśmiechem mężczyzna.

– Bardzo dobrze – odparła ostrożnie Katia – ale jakim cudem zapłacę za mieszkanie? No i co będę jadła? Wiesz, rozmawiałam z mamą, rodzice nie mogą mi pomóc.

– A teraz druga dobra wiadomość – ciągnął głuchy na jej słowa Borys. – Liceum, do którego będzie uczęszczała Lena, zgodziło się przyjąć cię na przyszły rok szkolny. Będziecie w tej samej klasie. Jest to państwowa szkoła, bezpłatna i położona jakieś piętnaście minut na piechotę od domu rodziców Leny. Odpada problem transportu.

– Dobrze się spisałeś – rzuciła spokojnie Katia – to rzeczywiście bardzo dobra wiadomość. Kolejny problem rozwiązany. Nie wydaje mi się jednak, że przeżyję, pijąc wodę z kranu... No i pozostaje najważniejsze: lekcje tańca.

– Ostatnia dobra wiadomość – kontynuował Borys, znów nie zważając na słowa Katii. – Jesteś gotowa? W liceum jest nauczyciel tańca, lekcje mają miejsce w sali gimnastycznej, wieczorem, po szkole. Taniec to jego pasja i nie dostaje wynagrodzenia za udzielane lekcje, które odbywają się w ramach klubu, podobnie jak wiele innych zajęć organizowanych przez tę placówkę. Równie dobrze możesz zapisać się na angielski.

Tym razem Katia skoczyła jak piłka, w mgnieniu oka zarzuciła ramiona na szyję Borysa i ucałowała go w policzki, po czym tanecznym krokiem przebiegła całą kuchnię i wreszcie opadła na krzesło zadyszana.

– I jesteś tego pewien?

– Jestem. – Borys się uśmiechnął. – Lena nie interesuje się tańcem, woli rysować, za to słyszała, że profesor jest bardzo miły i kompetentny. Zawsze to dobry początek, prawda?

– Oj, tak! – wykrzyknęła Katia. – Nie wiem, jak ci podziękować...

– Nie skończyłem – przerwał dumnie Borys. – Rodzice Leny ofiarowują ci nie tylko mieszkanie, stać ich na utrzymanie dodatkowej osoby. Są szczęśliwi, że Lena będzie miała przyjaciółkę. Tak bardzo pragnęli mieć więcej dzieci, los zdecydował inaczej.

– Jeśli dobrze zrozumiałam – odparła zaskoczona Katia – twoi znajomi przyjmują mnie jak własną córkę?

– Pojętna z ciebie dziewczyna – zażartował Borys.

– Borys, poważnie: jakim cudem zdołam się odwdziaczyć? Mieszkanie, posiłki, wszystko to ma swoją cenę.

– Oczywiście, masz rację. Nie zapominaj jednak, że będziesz w Moskwie, gdzie nie brakuje rodzin, którym dobrze się powodzi. Zawsze znajdzie się okazja na zarobienie kilku groszy, choćby pilnując dzieci czy nawet pomagając w utrzymaniu domu.

– Nie pomyślałam o tym. – Katia skoczyła ponownie. Już zerwała się z krzesła, najwyraźniej zamierzając ponownie rzucić się na szyję Borysa.

– Ratunku! Na pomoc! – krzyczał Borys, krztusząc się od śmiechu, po czym zerwał się z miejsca i rozpoczęła się gonitwa wokół kuchennego stołu.

Wróciła Natalia. Na widok córki biegnącej za Borysem zrozumiała, że ten miał dobre wiadomości. Bez chwili wahania porzuciła zakupy w progu i dołączyła do Katii. Tym razem mężczyzna musiał się poddać. Nieczęsto widywał siostrę i jej najstarszą córkę w podobnym nastroju. Kiedy się uspokoiły, Katia zaparzyła kolejną herbatę i opowiedziała matce wszystkie nowiny. Natalia nie posiadała się z radości pewna, że teraz ambitna Katia nie straci okazji, że niedługo zostanie znaną tancerką.

Reszta lata zleciała na przygotowaniach. Katia pisywała teraz do Leny, z którą od samego początku nawiązała bardzo serdeczne stosunki. Dziewczynki liczyły dni pozostałe do wyjazdu Katii do Moskwy. Spieszno im było zawrzeć prawdziwą znajomość.

Wreszcie wakacje miały się ku końcowi. Borys zaproponował, że zawiezie Katię do swoich znajomych. Natalia przygotowała walizkę. Vladimir, Vadim i Galia nie opuszczali siostry, chcieli nacieszyć się jej obecnością. Ostatniego wieczoru ojciec wrócił

z pracy wcześniej niż zwykle. Katia poczuła się wzruszona, tak rzadko zdarzało się im jeść razem kolację. Posiłek upłynął w radosnej atmosferze. Przed deserem ojciec wymknął się na chwilę i wrócił z małą paczuszką pod pachą.

– Dla ciebie – powiedział, podając Katii prezent.

Zaskoczona dziewczyna powoli otwierała pakunek, a rodzina nie spuszczała z niej wzroku. W kuchni panowała teraz cisza. Wreszcie Katia rozpakowała podarek. W jej oczach zakręciły się łzy. Na stole pojawiły się: tutu, baletki i rajstopy – kompletny strój do nauki tańca, wszystko to, o czym marzyła od dzieciństwa.

Ojciec zbliżył się, nieśmiało otarł łzy płynące po policzkach córki i przytulił ją do siebie. Wzruszenie malowało się teraz na twarzach całej rodziny. Każdy z obecnych doskonale zdawał sobie sprawę, jak dużym poświęceniem był podobny zakup.

Natalia podała kompot, na stole pojawiło się ulubione ciasto przysłej tancerki. Tym sposobem matka okazała swoją radość. Była tak dumna. Nie umiała dopiąć swego, nigdy nie została nauczycielką, za to jej Katia zrealizuje swoje marzenia. Sam ten fakt zblizni wreszcie stare rany Natalii.

To był niezapomniany wieczór. Rodzina rozprawiała wesoło do późnej nocy. Kiedy Katia wreszcie położyła się do łóżka, usnęła kamiennym snem. Wczesnym rankiem Natalia przygotowała śniadanie i zbudziła córkę.

– Już czas. Śniadanie gotowe, Borys zaraz będzie.

Katia przeciągnęła się i w pośpiechu udała do łazienki. Chwilę później ubrana i uczesana siedziała przy stole, pochłaniając kanapki. Matka zrobiła jej ulubione, te z kielbasą i jajkiem na twardo. Zapakowane resztki ciasta posłużą za drugie śniadanie, gdyby Katia i Borys byli głodni.

Nadszedł czas pożegnania i cała rodzina zgromadziła się wokół auta. Borys położył walizkę na tylnym siedzeniu. Katia uściskała matkę i rodzeństwo, po czym zajęła miejsce u boku kierowcy. Samochód ruszył natychmiast. Przez pierwsze kilka minut Borys milczał, dyskretnie zerkając na pasażerkę. Wreszcie odezwał się, usiłując ukryć wzruszenie:

– To twoja pierwsza podróż, nie mylę się?

– Aha – potwierdziła Katia.

– Jak dotąd nie zwróciłaś najmniejszej uwagi na krajobraz, a jest na co popatrzeć.

– Borys... A gdybym się pomyliła, gdybym zawiodła nadzieję moich rodziców, gdybym cię zawiodła...

– Rozumiem, że jest ci ciężko. Opuszczasz rodzinę i Podolsk, ale przecież nie na zawsze. Jednego jestem pewien: nie zawiedziesz nikogo, masz prawdziwy talent, Katia. No, otrząśnij się. Moskwa jest piękna, polubisz Lenę, nowe liceum, nowych znajomych. Jestem przekonany, że podjęliśmy dobrą decyzję.

– Sama nie wiem... – szepnęła w odpowiedzi Katia.

– No dobrze, sprzedamy twój nowy strój do tańca, zwiedzimy miasto i wieczorem będziemy w domu. Pasuje ci?

– Zastanowię się – rzuciła Katia, uśmiechając się lekko.

Borys dopiął swego. Nastolatka siedziała teraz wyprostowana, chociaż jeszcze zagubiona. Po chwili ciekawość zwyciężyła i w miarę jak zbliżali się do Moskwy,

dziewczyna zasypywała wuja coraz większą masą pytań. Borys odpowiadał, jak tylko mógł najlepiej. Sam dawno już nie był w Moskwie, często kontaktował się z przyjaciółmi, ale to nie to samo. Dojeżdżali do centrum, podniecenie ogarnęło ich na całego. W aucie nie było już wuja wiozącego ulubioną siostrzenicę, ale dwoje nastolatków na wakacjach. Zachwyceni nie mogli powstrzymać się od ochów i achów. Stolica nie miała nic wspólnego ze znanym im od dzieciństwa Podolskiem. Katię rozpieęła duma. Zdała sobie sprawę, że jako pierwsza z całej rodziny opuściła swoje miasto. Była jak mała ptaszyna, której wreszcie udało się wyfrunąć i porzucić ciepłe gniazdko. Wyobrażała sobie, że odczuwa podobną radość i podobne emocje. Serce waliło jej w piersiach. Borys przerwał jej rozmyślania:

– Rodzice Leny mieszkają niedaleko centrum, za chwilę będziemy mogli dostrzec Kreml i Plac Czerwony.

– Kiedy pomyślę, że tak niedawno były to jedynie marzenia... – rzuciła uśmiechnięta Katia. – Masz rację, Borys, będzie mi tutaj dobrze. Czuję to. Jestem absolutnie pewna, że pokocham to miasto. Trudno mi jeszcze uwierzyć, że niedługo zacznę lekcje tańca – dorzuciła, wzdychając.

– Dojeżdżamy, Katia – przerwał Borys. – Popatrz: to jest Plac Czerwony. Nie mogę podjechać bliżej, poprosisz Lenę. Możecie przespacerować się po placu jeszcze dzisiaj. No i zobaczycie z bliska Kreml. A teraz przygotuj się na niespodziankę.

– Nie bardzo wiem, co mogłoby mnie jeszcze zaskoczyć i sprawić większą przyjemność – roześmiała się Katia – ale jestem gotowa.

Zamilkła ponownie, napawając się widokiem ulic, przechodniów, budynków. Wszystko było tu takie inne: kolorowe, błyszczące, wysokie... pozostawiało niezapomniane wrażenia. Nagle Podolsk wydał się szary, niepozorny i Katia uświadomiła sobie, że czuje się nieswojo. Nie po raz pierwszy Borys odgadł, co gnębiło jego ulubienicę.

– Przestań się dręczyć, Katia. Jesteśmy przecież w stolicy, nie porównuj jej z naszym rodzinnym miastem. Zamknij oczy, powiem ci, kiedy będziesz mogła je otworzyć.

Katia z miejsca poddała się zabawie. Z całej siły zacisnęła oczy, z bijącym sercem czekając na sygnał Borysa.

– Możesz otworzyć, zbliżamy się. Popatrz na prawo.

Katia milczała zachwycona. Przed nią pojawił się Teatr Bolszoi. Rozpoznała go natychmiast, tyle razy wpatrywała się w fotografie znanej fasady, nie mogła się pomylić.

– Szczęśliwa? – zapytał wuj, kiedy budynek zniknął za ich plecami.

– Bardzo. Jaka szkoda, że mama, tata, Galia, Vladimir i Vadim nie mogą być teraz z nami – powiedziała dziewczyna z żalem.

– Zaprosisz ich na pierwszy spektakl, w którym będziesz tańczyła – odpowiedział Borys.

– Masz rację. Musi mi się udać. Chcę tańczyć w balecie Bolszoi... I postawię na swoim – dorzuciła z przekonaniem. – Powiedz: daleko jeszcze? Jestem głodna. Atakujemy ciasto czy czekamy, żeby podzielić się z Leną i jej rodzicami?

– Będziemy za kilka minut. Lena mieszka przy bulwarze Tsvetnoy. Ja też jestem

głodny, muszę się przyznać, że dzisiaj rano zdołałem wypić herbatę, ale nie byłem w stanie przełknąć śniadania. Wygląda na to, że udało ci się zarazić mnie emocjami, co nie zdarza mi się nigdy – dokończył radośnie. – Ale, ale – już jesteśmy, wystarczy znaleźć miejsce i zaparkować.

Katia w milczeniu wyglądała przez okno: kolorowe kwietniki, wysokie drzewa, pieszce alejki, ławki, szerokie ulice, wysokie domostwa... Znowu była pod urokiem tego miasta. Jej miasta, pomyślała z dumą.

Wreszcie Borys zatrzymał samochód. Wysiedli, rozprostowując nogi. Wuj zdążył schwycić walizkę, kiedy usłyszeli pospieszne kroki. Katia nie miała czasu, żeby się odwrócić. Poczowała, że obce dłonie zakrywają jej oczy. Rozradowana wykrzyknęła głośno:

– Lena!

Dziewczęta padły sobie w objęcia. Borys uśmiechał się tylko. W głębi duszy ufał, że nastolatki szybko się zaprzyjaźnią. Prowadzona od kilku tygodni korespondencja już je zbliżyła. Dźwignął walizkę i podążył za przyjaciółkami.

Państwo Bogdanow byli nieobecni, ich wakacje dobiegły końca, pracowali więc tego ranka. Mama Leny była lekarzem, ojciec zawodowym muzykiem. Lena spędzała dużo czasu sama, z tego też powodu szczególnie cieszyła się na myśl o tym, że wreszcie będzie miała kogoś bliskiego. Jak każda nastolatka Lena często odczuwała potrzebę zwierzeń. Miała mnóstwo koleżanek i kolegów, ale perspektywa mieszkania z dziewczyną w jej wieku od razu jej się spodobała.

Mieszkanie było przestronne, elegancko urządzone. Uszczęśliwiona Lena zaciągnęła Katię do jej nowego pokoju. Przybyła zatrzymała się w progu. Nigdy dotąd nie miała własnego kąta. W Podolsku musiała dzielić pokój z młodszą siostrą. Powoli zbliżyła się do dużego, wychodzącego na wschód okna. Musnęła delikatne firanki, pogłaskała ciężkie zasłonki z bordowego aksamitu. Odwróciła się i rozejrzała dokoła. Pokój był niewielki, ale za to przytulny i gustownie umeblowany. Było tu łóżko, stolik nocny i osłonięta bordowym abażurem lampka, przy ścianie stało okazałych rozmiarów biurko, a przy nim wygodny fotel. Przeciwległą ścianę zajmowały mała komódka oraz szafa. Podłogę krył połyskujący dębowy parkiet. Katia miała teraz wrażenie, że naprawdę jest na wakacjach.

Lena czekała w progu. W milczeniu obserwowała malujące się na twarzy nowej przyjaciółki mieszane uczucia. Wreszcie nieśmiało zbliżyła się i ujęła Katię za rękę.

– Chodź, pokażę ci moje królestwo i resztę mieszkania. Potem przekąsimy coś razem z Borysem. Musicie być głodni. Mama upiekła kurczaka, zjemy go na zimno z sałatką. Na deser będzie herbata i ciasto. Po południu, jeśli chcesz, pójdziemy na spacer, pozwiedzamy trochę. Co ty na to?

– Chętnie – rzuciła wesoło Katia.

Dziewczęta obeszły mieszkanie. Pokoje były przytulne, choć niezbyt duże. Katii szczególnie przypadło do gustu biuro rodziców Leny. Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko: po obiedzie i pożegnaniu Borysa przyjaciółki skierowały się prosto do stacji metra. Całe popołudnie zleciało na zwiedzaniu centrum miasta, wrażeniom nie było końca. Katia nie przypominała sobie nawet kolacji ani licznych pytań zadawanych przez rodziców Leny. Usnęła, kiedy tylko przyłożyła głowę do poduszki.

Obudziła się wczesnym rankiem, wypoczęta, szczęśliwa i pełna nadziei na przyszłość. Dwa kolejne dni zleciały jak w bajce. Lena pokazała przyjaciółce całą dzielnicę, ich przyszłe liceum, przedstawiła ją swoim najbliższym koleżankom dumna, że wreszcie będzie mogła dzielić z kimś swoje najskrytsze myśli. Jak każdej nastolatce trudno jej było zwierzać się stale nieobecnym rodzicom. Katia była tak sympatyczna, że Lena z miejsca wyczuła w niej bratnią duszę.

Pierwszego dnia roku szkolnego Katia była podniecona, z trudnością udało się jej usiedzieć spokojnie na krześle. W pośpiechu połknęła śniadanie, niecierpliwie poczekała na Lenę, po czym potulnie przystała na propozycję udania się do liceum na piechotę. Był piękny wrześnieowy poranek, jeden z tych słonecznych dni, kiedy mieszkańcy Moskwy z przyjemnością udają się do pracy spacerem. Katia odbyła drogę w milczeniu, potakując od czasu do czasu żywo rozprawiającej Lenie. Myślała tylko o jednym: kiedy wreszcie pozna profesora tańca i będzie mogła zacząć lekcje.

Dzień upłynął miło. Nowa placówka była przyjemna, przestronna i dobrze wyposażona. Katii podobał się nauczyciele, a zwłaszcza młoda wychowawczyni ich klasy – Marina. Program przewidywał zajęcia w rozmaitych klubach w czwartki wieczorem. „Nie ma wyjścia, trzeba będzie uzbroić się w cierpliwość” – dumiała Katia, usiłując skupić się na zadaniach z matematyki.

Wieczorem dziewczęta podzieliły się wrażeniami z rodzicami Leny. Panią Bogdanow zaniepokoił stan podniecenia Katii. Należało ją uspokoić i to jak najszybciej. Lena zdawała się nie dostrzegać niebezpieczeństwa. Trudno, Luba Bogdanow postanowiła porozmawiać z Katią. Bez zwłoki udała się do pokoju gościa tego samego wieczora i spędziła tam dobrą godzinę. Była lekarzem, wiedziała, jak podejść do sprawy, a jako mama Leny miała spore doświadczenie i wyostrzoną intuicję, kiedy chodziło o stan duszy nastolatka. Katia była w tym samym wieku, co córka Luby. Tego wieczora kobieta odkryła jednak, że w porównaniu z Leną ich gość miał większą aspirację i niezwykle silny charakter. Katia wykazywała dojrzałość, której brakowało większości młodych dziewcząt w jej wieku. Doskonale wiedziała, czego pragnie, i uparcie dążyła do celu. Luba umiejętnie skłoniła ją do zwierzeń. Kiedy była mowa o balecie, Katia zapomniała o reszcie świata, liczył się tylko taniec, nie chciała nawet słyszeć o innej przyszłości. Z rozmów z Borysem Luba dowiedziała się, że młoda dziewczyna jest bardzo zdolna i bez trudu osiąga doskonałe rezultaty w szkole. Co będzie, jeśli jej się nie powiedzie, jeśli nie będzie mogła nadrobić zaległości? Dziewczęta w jej wieku od dawna uczęszczały na lekcje tańca. Jak Katia zareaguje w razie porażki?

Po godzinie zwierzeń Luba opuściła pokój Katii jeszcze bardziej zaniepokojona. Czy powinna zadzwonić do Borysa? Nie, nie należało bez potrzeby niepokoić rodziców nastolatki. Pozostało jedno, jedyne wyjście: uzbroić się w cierpliwość i spokojnie poczekać do czwartku i pierwszej lekcji tańca.

Oczekiwany dzień wreszcie nadszedł. Wbrew obawom Luby Katia obudziła się spokojna, pomogła w przygotowaniu śniadania, sprzątnęła ze stołu. „Powinno być dobrze – myślała Luba – najwyraźniej Katia umie panować nad emocjami”.

Po skończonych zajęciach Katia udała się na salę gimnastyczną, podczas gdy Lena czekała przed jedną z klas na profesora plastyki. Na sali gimnastycznej już zgromadziło

się około piętnastu dziewcząt. Katia była jedyną nową uczennicą. Wreszcie pojawił się profesor. Był to wysoki, szczupły mężczyzna w średnim wieku o lekko posiwiałych skroniach. Dziewczęta otoczyły go, pokrzykując radośnie. Wszystko wskazywało na to, że nauczyciel cieszył się dużym powodzeniem... i autorytetem. Jednym gestem ręki nakazał ciszę.

– Witam was po wakacjach. Jestem pewien, że dobrze odpoczęłyście i że jesteście pełne sił i energii. Moment – czyżbym się mylił, czy rzeczywiście mamy kogoś nowego w naszym klubie? – To mówiąc, profesor uśmiechnął się do Katii.

Dziewczyna odpowiedziała uśmiechem.

– Tak, jestem nowa w liceum i w klubie, jeśli się pan zgodzi... Nigdy dotąd nie miałam możliwości chodzenia na lekcje tańca – rzuciła Katia jednym tchem, czekając na wyrok.

Na sali zapanowała cisza. Dziewczęta wpatrywały się w nową uczennicę szeroko otwartymi oczyma. Profesor lekko zmarszczył brwi, zupełnie jakby nad czymś się zastanawiał. Wreszcie wydał polecenie:

– Na co czekacie? Szatnia jest wolna, lekcja zaczyna się za pięć minut. Dotyczy to również ciebie. Jak ci na imię?

– Katia! – odparła uśmiechnięta nastolatka, chwytając torbę z zakupionymi przez ojca akcesoriami do nauki tańca.

Godzina minęła niepostrzeżenie. Dziewczęta ćwiczyły znane kroki, uważały na układ rąk, doskonaliły technikę palcówą i skoki. Katia starała się, jak mogła. Po kilku minutach profesor wezwał ją gestem.

– No dobrze, Katia. Myślę, że powinnaś zacząć od ćwiczeń przy drążku, który nie tylko pozwoli ci utrzymać równowagę, ale również nauczy przyjmować odpowiednią postawę ciała. Poproszę Olgę, żeby ci pomogła – dodał.

Przez pozostałe kilka minut lekcji Katia i Olga ćwiczyły przy drążku. Olga okazała się miłą i cierpliwą towarzyszką. Dziewczęta szybko przypadły sobie do gustu. Przebrały się ostatnie i właśnie wychodziły z szatni pogrążone w dyskusji, kiedy profesor zawołał do siebie Katię. Olga opuściła salę.

Katia dumnie podniosła głowę. Nie bardzo wiedziała, czego się spodziewać, ale nie zamierzała wykazać najmniejszej słabości. Musi być silna – jest silna i pewna, że może poradzić sobie równie dobrze, jak koleżanki, które ćwiczą już od kilku lat.

– Katia – odezwał się wreszcie profesor – postaram się nie zabrać ci zbyt dużo czasu. Nie mam również zamiaru cię zniechęcać. Jesteś zdolna, od razu to widać i myślę, że sama zdałaś sobie sprawę, że czeka cię dużo pracy, jeśli chcesz nadrobić spóźnienie. Decyzja należy do ciebie. Masz już czternaście lat, nie wiem, jakie są twoje plany, jeśli jednak marzysz o tym, żeby taniec stał się twoim zawodem, czeka cię sporo poświęceń. Nie ma co ukrywać, moim zdaniem spędzisz wiele godzin w tej sali. Klub zbiera się raz w tygodniu, mogę udostępnić ci salę na dwie dodatkowe godziny w tygodniu, powiedzmy, przez miesiąc, następnie zobaczymy, co to dało. Co ty na to?

– Dziękuję, dziękuję bardzo – rzuciła rozpromieniona Katia. – Nie zawiodę pana.

Tego wieczora przy kolacji cała rodzina Leny słuchała relacji Katii z jej pierwszej lekcji tańca. Luba odetchnęła z ulgą. Wszystko wskazywało na to, że sprawy przybrały

dobry obrót.

Minął miesiąc, zbliżała się ostatnia lekcja tańca, a wraz z nią rosło napięcie w domu Leny. Cała rodzina wspierała Katię, która tak ciężko pracowała. Dziewczyna uzyskała znakomite wyniki w szkole, trzy razy w tygodniu wracała późno po kolejnych lekcjach tańca. Sprawiała wrażenie najszcześniejszej nastolatki w całej stolicy.

Olga była dobrej myśli.

– Nic się nie martw – szepnęła na ucho przyjaciółce, kiedy przebierały się w szatni.

– Jesteś bardzo zdolna. Profesor zgodzi się ze mną, to pewne.

Tego wieczora Katia triumfowała po raz pierwszy: nie popełniła najmniejszego błędu w ćwiczeniach, wykonywała je z niesamowitą gracją. Profesor wezwał ją ponownie, ale tym razem rozmowa była krótka.

– Bravo! – zawołał na wstępie. – Nie straciłaś czasu. Jestem z ciebie dumny. Muszę nawet przyznać, że masz wrodzony talent do tańca. Przez kolejne lata w liceum powinnaś stać się dobrą tancerką.

– Cieszę się – odparła Katia. – Chciałabym nadal trenować trzy razy w tygodniu, ale nie wiem, czy będzie to możliwe...

– Nie widzę problemu. Osiągnęłaś doskonałe wyniki w nauce; sala pozostanie do twojej dyspozycji – odparł profesor, po czym pożegnał się w pośpiechu. Katia odniosła wrażenie, że chciał dorzucić coś więcej. Nie miała czasu zastanawiać się dłużej, Lena i Olga czekały na nią przy wejściu. Przyjaciółki z radością uściskały Katię, zapewniając ją, że niedługo stanie się gwiazdą rosyjskiego baletu.

– Zastąpisz Anastazję Wołoczkową – zapewniała Olga.

– Mam nadzieję – odparła z powagą Katia. – Tak bardzo chciałabym pracować w balecie Bolszoi. Nie ustąpię, musi mi się udać.

– No, no, masz niezłą ambicję – stwierdziła Lena. – Osobiście marzę o lodach, co wy na to?

Dziewczęta wybuchnęły śmiechem, kierując się do pobliskiej kawiarni. Kiedy tylko zasiadły przy stoliku, Katia spoważniała.

– Minął miesiąc, odkąd mieszkam w Moskwie. Jestem wdzięczna tobie, Lena, i oczywiście twoim rodzicom, którzy przygarnęli mnie do siebie i traktują jak własną córkę. Niemniej chciałabym zarobić trochę pieniędzy. Tylko jak się do tego zabrać? Borys wspominał mi o rodzinach, które szukają opiekunek do dzieci...

Olga uśmiechnęła się tylko.

– To żaden problem. Moja sąsiadka ma trójkę małych dzieci i często potrzebuje kogoś do pomocy w soboty lub niedziele. Próbowałam, ale to nie dla mnie, brak mi cierpliwości. Możesz wpaść do mnie w przyszłą sobotę, przedstawię cię i zobaczymy. Zastanów się, nie zostanie ci ani chwilki na odpoczynek, ani godzinki na wypad do kina czy kawiarni, już nie mówię o chłopcach.

Dziewczęta roześmiały się ponownie.

– Obejdę się bez kina, kawiarni i chłopców – rzuciła Katia z uśmiechem. – Bylebym tylko mogła tańczyć...

[1] *L'espoir* – z francuskiego nadzieja.

[2] Quinoa – komosa ryżowa, znana również pod nazwą ryż peruwiański, chociaż

z wyglądu przypomina raczej kaszę jaglaną. Można podawać ją w zastępstwie kasz lub ryżu.

4.

Świtało. Chłód i wilgoć nadal królowały na zachodzie Francji. Ciemne, ołowiane chmury mknęły gnane wiatrem. Ani skrawka jasnego nieba na horyzoncie. Deszcz wreszcie ustał. Otwierając okiennice, Cathy pomyślała, że zapowiadał się pochmurny, ale za to w miarę suchy, dzień. Zwierzęta będą zadowolone, wprawdzie pola od dawna przypominają moczary, ale za to po raz pierwszy od dobrego tygodnia nie pada. Wiejący nadal silny zachodni wiatr powinien wysuszyć nieco ziemię. „Nie tylko ziemię” – dodała w myślach Cathy. Nie ma na co czekać, najwyższy czas zmienić pościel. Nie zwlekając, Cathy umyła się, zjadła śniadanie, po czym zajęła się praniem. Po dwóch godzinach przysiadła wreszcie z filiżanką herbaty. Dom był czysty, pranie powiewało na wietrze, nakarmione kury i prosięta korzystały ze zmiany pogody i przechadzały się, gdacząc i chrząkając od czasu do czasu. Pojawił się Jean. On również cieszył się faktem, że wreszcie nie padało. Nalał sobie herbaty i przysunął krzesło w stronę żony.

– Co za piękny pochmurny dzień – zażartował, muskając jej usta.

Cathy przedłużyła pocałunek i przytuliła się do męża.

– Tak, jest wyjątkowa pogoda. Wreszcie mogłam powiesić pranie na dworze, a Jet został w ogródku. Mam ochotę na mięso w sosie i ryż. Zrobię też rosół i może jakieś ciasto.

– Brzmi zachęcająco – odparł Jean. – Jak spędziłaś noc?

Cathy dobrze zrozumiała, o co pytał. Bez chwili wahania opowiedziała swój kolejny sen. Jean słuchał uważnie, nie przerywając i potakując od czasu do czasu. Tym razem Cathy zadała pytanie:

– Co o tym myślisz? Zaczynam niecierpliwie czekać na każdą noc – dodała żartobliwie. – Katia... Mam wrażenie, że znowu jest to odpowiednik mojego imienia.

– Chyba tak, w dodatku tym razem przeniosłaś się we śnie aż do Moskwy. Ale z ciebie szczęściara. – Jean się uśmiechnął. – Przyznaję, że nie wiem, co oznaczają te sny, nie są jednak ani nieprzyjemne, ani koszmarnie.

– Masz rację, może za dużo czytam. Nie mówmy już o tym. Muszę skoczyć na zakupy. Co planujesz na dzisiejsze popołudnie, może uda ci się wyrwać do miasteczka?

– Chętnie. Zaraz sprawdzę, czy potrzeba karmy dla kur oraz paszy dla prosiąt. Powinniśmy mieć nawet chwilkę na odwiedzenie Romaina. Jak myślisz?

– Bez wątpienia! I tak mnie korci, żeby opowiedzieć mu o wczorajszym dniu i moich wizytach.

Po obiedzie Jean pozwolił sobie na krótką drzemkę. Cathy popijała herbatę, kończąc swój ostatni kryminał. „Trzeba będzie przewidzieć mały wypad do Nantes. Może Julia zechce pojechać ze mną któregoś popołudnia? Tak miło byłoby spędzić czas na zakupach nowych ubrań i książek”.

Chcąc nie chcąc, Cathy przypomniała sobie swój ostatni sen. Jak dotąd nigdy nie przykładła najmniejszej wagi do tego, o czym śniła. Po raz pierwszy jednak jej sny wydały się godne uwagi. Rzecz jasna nie zamierzała zwierzać się nikomu. Rozmawiała o nich jedynie z mężem. Uświadomiła sobie nagle, że chętnie posłuchałaby kobiecej opinii na ten temat. „Jestem pewna, że Julia byłaby zachwycona, gdybym się zwierzyła.

Nie, znamy się dopiero od wczoraj, co będzie jeśli uzna mnie za dziwaczkę? Ciekawe, co powiedzieliby na to Romain i jego żona? Nie, to też nie jest najlepszy pomysł... Mnie samej trudno jest cokolwiek zrozumieć. Za każdym razem jestem świadkiem jakiegoś wydarzenia w życiu moich imienniczek, nie wygląda na to, że istnieje między nimi jakikolwiek związek. Katia jest młodsza od Kasi i Kate, uczęszcza do liceum. Kasia i Kate dopiero zaczynają pracę, jednej i drugiej powodzi się raczej dobrze. Doprawdy nic z tego nie rozumiem. Ale, ale – która jest godzina?”

Cathy zerknęła na zegarek. Dochodziła czternasta trzydzieści. Zerwała się na równe nogi i czule pogłaskała Jeana po głowie.

– Hej, koniec spania, leniuchu. Czas na zakupy.

Jean przeciągnął się i otworzył oczy.

– Przyśniło ci się coś ciekawego? – zapytała zaintrygowana Cathy.

– Absolutnie nic, w każdym razie nie przypominam sobie niczego godnego uwagi.

A nawet gdyby, nie mogę porównywać się z tobą, prawda?

– No, owszem. Jestem nie do pobicia. Chociaż kto wie, może od jutra zaczniesz miewać równie dziwne sny jak ja – dorzuciła z uśmiechem. – Póki co jedźmy już. O tej porze będą kolejki.

Młodzi przygotowali się szybko. Popołudnie było równie szare, jak poranek, nadal bez kropli deszczu. Dotarli do miasteczka, zanim się spostrzegli. Droga upłynęła im na rozmowie, planach na przyszłą sobotę, niedzielę, na najbliższe letnie wakacje. Cathy marzyła o słońcu. Jean nie miał nic przeciwko, chociaż lubił plaże Bretanii. To prawda, że było tam raczej chłodno, ale za to bez trudu można było znaleźć wolne miejsce o obojętnie której godzinie. Oboje lubili wybrzeże ciągnące się od Perros-Guirec po Saint-Malo.

Bretania była pięknym regionem, przyciągała coraz więcej turystów. Jedynym jej mankamentem była niepewna pogoda. Można było trafić na piękny słoneczny tydzień albo na długie deszczowe dni. Żadnemu z nich nie marzyło się Lazurowe Wybrzeże, zbyt odległe, zbyt drogie, przyciągające całą masę podróżnych. Zgodnie twierdzili, że takie wakacje nie miały nic wspólnego z prawdziwym wypoczynkiem. Może dla odmiany powinni wyjechać do jakiegoś dużego miasta, pozwiedzać trochę? Choćby do Paryża. Cathy nie знаła stolicy. Jean bywał tam od czasu do czasu. Jego rodzice lubili miasta, chętnie spędzali urlop, zwiedzając Paryż, Lyon, Marsylię, Bordeaux, i zabierali ze sobą dzieci. Może właśnie dlatego Jean tak bardzo pragnął osiedlić się na wsi? Była to decyzja, której nie żałował i której nie potrafił wyjaśnić swoim kolegom ze szkoły. Rodzice również nie kryli zdziwienia, stwierdzając wreszcie, że pragnęli jedynie szczęścia syna, że nic innego się nie liczyło. Chciał być rolnikiem, proszę bardzo... Chętnie przyjadą na wieś od czasu do czasu, mimo że wolą miasto. Rodzina Cathy nie była zaskoczona decyzją zakupu gospodarstwa rolnego. Od wczesnego dzieciństwa córkę pasjonowały zwierzęta, pola, lasy, krótko mówiąc: przyroda. Wybór zachodniej części Francji wydał się im zagadkowy, ale nie zamierzali dyskutować o tym z młodymi. Odwiedzali ich, kiedy tylko nadarzała się okazja. Spędzili z nimi zresztą ostatnie święta Bożego Narodzenia. Niezapomniany pobyt, podczas którego słońce nie pokazało się ani na dwie minutki. Cathy spokojnie wytłumaczyła im, że zdarza się to po raz pierwszy od trzech lat – zima

zwykle jest ciepła, przeplatają się podczas niej słoneczne i deszczowe dni. Święta minęły w radosnej, rodzinnej atmosferze i nikt już nie wspominał o brzydkiej pogodzie. Po wyjeździe rodziców Cathy nabrała jednak pewności, że nigdy więcej nie pojawią się u nich o tej porze roku. Rozumiała to i nie miała im za złe. Nie zabraknie czasu na wizyty przez resztę roku.

Cathy skończyła zakupy i zgodnie z umową skierowała się do baru, gdzie miała spotkać się z Jeanem. Romain ucieszył się na jej widok.

– Siadaj. Jak widzisz, mam trochę klientów, ale zaraz będę wolny. Pijesz herbatę?

– Tak. – Cathy się uśmiechnęła. – Nie spiesz się, i tak czekam na Jeana.

– Co takiego? Udało ci się namówić go na wypad do miasteczka?

– Aha – potwierdziła młoda kobieta. – Mam swoje sposoby – dodała wesoło.

Romain oddalił się już. W barze nie brakowało ludzi. Zostały jedynie trzy wolne stoliki. Od razu rzucał się w oczy fakt, że okoliczni mieszkańcy korzystali ze zmiany pogody: robili zakupy, spotykali znajomych. Młoda kobieta ze zdziwieniem dostrzegła siedzącą trzy stoliki dalej Bernadette. Rolniczka, odwrócona do niej plecami, z ożywieniem dyskutowała z obcą Cathy osobą. W każdym razie był to kolejny dowód, że Bernadette jest równie rozmowna, jak Julia, pod warunkiem, że ma na to ochotę. Cathy rozglądała się dyskretnie. Wielu z obecnych знаła jedynie z widzenia, niektórzy pozdrawiali ją w sklepie, chociaż nigdy nie miała okazji porozmawiać z nimi dłużej. Kilka osób widziała po raz pierwszy, może mieszkały nieco dalej albo były tutaj jedynie przejazdem, z wizytą u znajomych. W każdym razie Romain był zadowolony. Gdyby tylko podobne dni zdarzały się przynajmniej dwa, trzy razy w tygodniu...

Cathy dopijała herbatę, cierpliwie czekając na męża. Jean pojawił się wreszcie, przyjaźnie skinął na Romaina i usiadł obok Cathy, rzucając:

– Natknąłem się na Julię i Martina. Zostało im jeszcze kilka zakupów do zrobienia, ale zaraz tu będą. Zaprosiłem ich na herbatę.

– Dobry pomysł – pochwaliła z miejsca Cathy. – Jest dużo ludzi, chętnie pokażę się w towarzystwie innych rolników.

– No właśnie, i przy okazji możemy przedstawić im Romaina.

To mówiąc, Jean uśmiechnął się porozumiewawczo do żony i wygodnie sadowiąc się na swoim krześle, z ciekawością rozejrzał się po sali.

– Chyba jeszcze nigdy nie widziałem tutaj tylu klientów naraz – skomentował.

– Tak. Romain wygląda na najszcześliwszego właściciela baru w całym regionie. Nie odwracaj się, trzy stoliki dalej siedzi Bernadette.

– Niema gospodyni, która polubiła twoje ciasto?

– Masz dobrą pamięć – potaknęła Cathy. – Tak, ona, we własnej osobie. Nie wyobrażałam jej sobie w barze.

– Mogłaś trafić na zły dzień, każdy ma prawo do złego humoru – rzucił przekornie Jean.

Cathy zdawała się nie dostrzegać naigrywań męża. Rozmyślała teraz półgłosem:

– Nie, ona nie była w złym humorze. Mam wrażenie, że raczej grała starannie wybraną rolę i nie wydaje mi się, że sama ją wybrała.

– Chcesz przez to powiedzieć, że ktoś z miejscowych rolników dyktuje

postępowanie swoim sąsiadom?

– Mam takie przeczucie. Tyle że nie wiem kto. W każdym razie nie Bernadette.

Ach, zobacz, już są.

– O kim mówisz?

– Julia i Martin zbliżają się do baru. Idą zupełnie, jakby bali się otworzyć drzwi.

Jean wstał i spokojnym krokiem zbliżył się do wyjścia, gestem zapraszając nowych znajomych. Już po chwili siedzieli razem przy herbacie. Julia najwyraźniej była szczęśliwa, że mogła spotkać się z Cathy. Nie zwracając uwagi na klientów, rozmawiała i śmiała się głośno. W przeciwieństwie do żony Martin natychmiast przybrał spokojny, cichy ton głosu. Z pewnością wolałby szeptać Jeanowi na ucho.

Sala powoli pustoszała. Romain mógł wreszcie poświęcić trochę czasu parze przyjaciół i ich nowym znajomym. Przedstawił się i usiadł obok Jeana. Rozmowa potoczyła się gładko. Romain, przyzwyczajony do klientów, bez trudu przeskakiwał z tematu na temat. Nawet oporny i nieśmiały Martin nie mógł oprzeć się naturalnej otwartości właściciela lokalu.

Kiedy się rozstali, Romain był pewien, że zyskał nowego klienta, a może nawet przyjaciela, kto wie? Julia i Cathy umówiły się na sobotnie popołudnie, zgodnie zauważając, że zbliżająca się wiosna zachęca do zakupów, a one potrzebowały nowych spódniczek i sukienek. Mężczyźni uśmiechali się tylko. Jean zastanawiał się, czy Martin również myślał, że obie panie były dowodem na to, że przeciwieństwa naprawdę się przyciągały. Julia była pulchna, a Cathy szczuplutka. Długie, kasztanowe włosy Cathy kontrastowały z jasną, krótko przyciętą fryzurką Julii. Łączyło je jedno: zielone i szare oczy błyszczały radością życia.

Wieczorem Cathy wróciła do drażliwego tematu obrażonych sąsiadów.

– Jutro wpadnę do Julii z ciastem czekoladowym, może zechce udać się ze mną do swoich najbliższych sąsiadów, wiesz, tych, którzy nawet nie otwarli drzwi.

Jean zaśmiał się krótko.

– Nie wiem, czy i tym razem nie odejdziesz z kwitkiem, ale za to będziesz w dobrym towarzystwie. Jestem pewien, że Julia nie odmówi kawałka ciasta czekoladowego. O ile dobrze pamiętam, obiecałaś, że kolejny placek będzie wyłącznie dla mnie.

– Nie mylisz się, ale tak chciałabym rozwiązać wreszcie ten niedorzeczny problem z sąsiadami. Martin zajmuje się tylko uprawą, a z tego, co zrozumiałam, on również z niepokojem patrzy w przyszłość. Kryzys dotyka nas wszystkich, Jean. Nie ma co czekać, musimy połączyć energię i doświadczenie z innymi rolnikami, jesteś tego równie świadom, jak ja.

– Jak zwykle masz rację, kochanie.

– Jean – zaczęła Cathy z wyrzutem. – Nie lubię, kiedy zgadzasz się z każdym moim słowem, i dobrze o tym wiesz.

– Wiem – roześmiał się Jean. – Często mi to powtarzasz. Przysięgam ci, że tym razem masz absolutną rację. Co dwie głowy, to nie jedna, może wskórasz coś z Julią.

– Musi nam się udać – potaknęła Cathy. – Zresztą nie ustąpię, dopóki nie spotkam się z jej sąsiadami.

Cathy podniosła się z krzesła.

– Jestem zmęczona. Kładziemy się?

– Zmęczona czy niecierpliwa?

– O czym mówisz? – zdziwiła się Cathy.

– Zostało ci tylko kilka stron książki. Myślałem, że uda ci się skończyć po obiedzie.

Najwyraźniej ucięłaś sobie drzemkę, tak jak ja.

– Dobrze wiesz, że nie przepadam za poobiednią drzemką, chyba że jest bardzo gorąco. Zimą wolę czytać. Ale ostatnio sama nie wiem, czuję się jakaś inna, bardziej roztargniona, rozmarzona może... No, chodź już.

Popędzając męża, Cathy weszła w ślad za nim na piętro. Usypiając, pomyślała, jak miło będzie spędzić sobotnie popołudnie na zakupach z Julią. Chwilę potem oddychała spokojnie, pochrapując lekko od czasu do czasu.

Za to Jean jeszcze nie spał. W żaden sposób nie mógł się pozbyć natarczywie powracającej myśli: co będzie, jeśli w tym roku gospodarstwo nie przyniesie oczekiwanych dochodów... Bank nie poczeka, mają raty do spłacenia. Tak bardzo chciał wierzyć, że uda się im rozwiązać ten problem. Ceny skupu mleka zdawały się spadać z dnia na dzień. Nie chciał niepotrzebnie martwić żony, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że nowa pożyczka przeznaczona na zakup ziemi przejdzie im koło nosa. Nie mieli wystarczających dochodów, żeby otrzymać zgodę banku. Dopóki Cathy była zajęta problemem z sąsiadami, mógł zachować tę informację dla siebie. Nagle poczuł się zawstydzony. Nie lubił ukrywać przed nią najmniejszych choćby szczegółów związanych z ich przyszłością. Czuł się wytracony z równowagi i po raz pierwszy w życiu nie potrafił się zdecydować. Trapiła go myśl o tym, że nie umiał zapewnić swojej rodzinie przyzwoitych warunków do życia. Owszem, mieli swój dom. Nie można było również zaprzeczyć faktowi, że domostwo owo było co do joty zgodne z ich marzeniami. Z drugiej zaś strony nie skończyli jeszcze spłacać pożyczki, w razie potrzeby będą mogli oddać dom pod hipotekę, gorzej z gruntem. Jean dowiedział się już, że ustanowienie hipoteki na grunty to zwykle problem. Naprawdę nie wiedział, jakim cudem wybrną z obecnej sytuacji.

Zatroskany kręcił się i wiercił na wszystkie strony, starając się nie obudzić żony. Ciekawe, co przyśni się jej tej nocy. Na samo wspomnienie o ostatnich snach Cathy Jean odprężył się wreszcie i zapadł w niespokojny, przerywany sen.

Obudził się wcześniej i zmęczony usiadł na łóżku. Cathy nadal spała, kiedy zszedł do kuchni i nastawił wodę na herbatę. Zamyślony otworzył okiennice i zerknął na dwór. Ranek budził się ponury. Nie padało i to było najważniejsze. Ziemia potrzebowała słońca. Martin wspomniał wczoraj, że trudno będzie zająć się wiosennymi uprawami przy podobnej, zbyt wilgotnej, pogodzie. Posadzone roślinki zgniją w szybkim czasie. Jean nie usłyszał zbliżających się kroków ani odgłosu wrzącej w czajniku wody. Ocknął się dopiero, kiedy Cathy objęła go czule i ucałowała w plecy.

– Nad czym tak dumasz? – zapytała uśmiechnięta.

– Myślałem o niekończącej się złej pogodzie – przyznał Jean. – Ludzie mają jej dosyć, zwierzęta i rośliny również.

Zasiedli przy stole. Cathy już miała otworzyć usta, kiedy dostrzegła ciemne sińce

pod oczami męża.

– Wyglądasz na zmęczonego – zauważyła, usiłując ukryć ogarniający ją niepokój.

– Źle spałem. Zdarza się, utnę sobie drzemkę po obiedzie i wszystko będzie dobrze – zapewnił Jean.

– *À propos*: ja spałam wyjątkowo dobrze i nie pamiętam, o czym śniłam – dodała zawiedziona Cathy. – Może już koniec z moją podróżą po Europie. Jaka szkoda, te sny były wyjątkowo interesujące, chociaż nie udało się nam zrozumieć, jakie tak naprawdę miały znaczenie. Ale, ale – muszę się pospieszyć. Zaraz po śniadaniu nakarmię kury i prosięta, a potem zajmę się obiadem i zadzwonię do Julii. Jeśli się zgodzi, upiekę ciasto czekoladowe i ruszymy na podbój jej sąsiadów. We dwie będzie nam różniej i nie ukrywam, że liczę na jej energiczny i miły charakter. A ty co planujesz? Oprócz poobiedniej drzemki rzecz jasna.

– Pojadę z tobą – odparł Jean. – Jeśli tylko zechcesz na mnie poczekać – dorzucił po chwili. – Drzemka będzie nieodzowna, muszę trochę odpocząć.

– I zamierzasz udać się z nami z wizytą do sąsiadów Julii?! – wykrzyknęła zdumiona Cathy.

– Skądże. Ani myślę – odparł spokojnie Jean. – Chętnie porozmawiam z Martinem. Jestem pewien, że obejdziecie się bez naszego towarzystwa.

– Tak też myślałam – usłyszał w odpowiedzi. – Chodź, pomogę ci przy dojeniu.

Wkrótce krowy udały się na pastwisko, kury i prosięta kończyły posiłek, a Cathy dyskutowała przez telefon z Julią, od czasu do czasu zerkając na gotujący się obiad. Nie pomyliła się – przyjaciółka gotowa była towarzyszyć jej tego popołudnia. Cathy obiecała, że przywiezie ze sobą świeżo upieczone ciasto czekoladowe. Popołudniowa drzemka dodała sił Jeanowi. Uspokojona Cathy zapakowała wypiek, zawołała psa i chwilę później cała rodzina – bo Jet oczywiście był członkiem ich rodziny – jechała w stronę domu Julii i Martina.

Młode kobiety ucałowały się radośnie i natychmiast rozpoczęły pogawędkę. Jean i Martin wymknęli się na dwór.

– Pożyczę ci gumki – rzucił Martin, kiedy tylko znaleźli się na zewnątrz. – Nie pada, może obejdziemy posiadłość, jeśli cię to interesuje.

– Chętnie – odparł z zapalem Jean. – Lepiej będzie, jak znikniemy z pola widzenia, nasze panie gotowe byłyby zaprosić nas do towarzystwa. Przyznaję, że wizyta u nieznanym i nieprzyjaźnie nastawionych rolników nie kusi mnie zbytnio. Chociaż rozumiem intencje Cathy.

– No właśnie – dodał z uśmiechem Martin. – Wyprawa w teren będzie idealną wymówką.

Mężczyźni założyli kalosze i rozprawiając bez ustanku, udali się na obchód posiadłości. W kuchni, za szybą, Cathy i Julia dusiły się ze śmiechu.

– Jak myślisz, naprawdę sądzą, że niczego nie zrozumiałyśmy? – zapytała Julia.

– Jestem pewna, że Jean nie miał najmniejszej ochoty towarzyszyć nam w wizycie – odparła Cathy, uśmiechając się do rozmówczynie. – Co do twojego męża, znam go od kilku dni, ale nie mam wątpliwości: on również szukał pretekstu, żeby wymknąć się z domu.

– Jak by nie było, same damy sobie radę – stwierdziła z przekonaniem Julia. – Chodźmy już, nie mogę dłużej znieść zapachu twojego ciasta.

Cathy ostrożnie ujęła torbę z plackiem i podążyła za Julią. Kobiety obeszły ogród, zbliżając się do wejścia sąsiedniego domostwa.

– Powiedz, Julia: uprawiacie wspólnie ogród? – zaciekała się Cathy.

– Tak. Chociaż każdy sadi od strony swojego domu, a na wiosnę wspólnymi siłami doprowadzamy do porządku porośnięte mchem alejki. Przekopujemy grządki, sadzimy.

– Trudno mi sobie to wyobrazić, jeśli wezmę pod uwagę, że wasi sąsiedzi nawet nie otworzyli mi drzwi. Mam nadzieję, że twoja obecność utemperuje ich humor – dorzuciła Cathy.

– Zobaczymy – odparła Julia. – Są raczej samotnikami, nie spotykają się z wieloma osobami, ale nigdy nie zamknęli mi drzwi przed nosem. Jesteśmy. Mam ochotę zadzwonić, co ty na to?

Nie czekając na odpowiedź, Julia nacisnęła dzwonek.

Zgodnie z przewidywaniami Cathy drzwi otworzyły się szeroko. Ukazała się w nich niska kobieta o krótkich, ciemnych, usianych nieco siwymi pasmami włosach. Natychmiast zwróciła się do Julii:

– Ach, to ty, dzień dobry. Wejdz, proszę.

– Nie jestem sama – wybąkała Julia, której po raz pierwszy brakowało słów. – Chciałabym przedstawić wam naszych nowych znajomych. Oni również są rolnikami, przejęli farmę *L'Espoir*. Cathy upiekła ciasto, możemy wejść?

Kobieta pokręciła głową.

– Mieszkańcy tej farmy nie są mile widziani, sama wiesz.

Zwracała się jedynie do Julii, nie patrząc nawet na stojącą obok Cathy.

– Marie, posłuchaj: czas skończyć z głupimi przesadami. Nie znacie ich, dajcie im przynajmniej szansę.

– Próbowaliśmy, możesz mi wierzyć, próbowaliśmy przez całe lata. Wynikły z tego jedynie kłopoty.

– Marie, nie chodziło przecież o nowych właścicieli gospodarstwa. Cathy i Jean mieszkają tutaj od trzech lat. Nie ich wina, że zakupili właśnie *L'Espoir*. Naprawdę nie zamierzasz nas wpuścić? Gdzie się podziała twoja gościnność? – zirytowała się wreszcie Julia.

Marie najwyraźniej się zawahała. Przez chwilę panowała cisza. Trzy kobiety stały bez ruchu. Marie nie spuszczała oczu z Julii. W jej spojrzeniu błyszczała złość. Nadal zdawała się nie dostrzegać obecności nowej sąsiadki. Julia nie zamierzała się poddać. Udało się jej znieść spojrzenie rolniczki. Czekwała na jej reakcję.

Cathy nie wytrzymała wreszcie. Ona również nie była gotowa na najmniejsze ustępstwa. Musi jej się udać. Dlaczego miałoby płacić za błędy innych osób? Było to niesprawiedliwe i niedorzeczne.

– Skoro już tu jesteśmy, przedstawię się przynajmniej. To znaczy, jeśli pani pozwoli. Nazywam się Cathy. Jestem młodą mężatką. Mieszkam tutaj i zamierzam pozostać, mimo że nie podoba się to wszystkim sąsiadom. Tak bardzo chciałabym, żeby nie zroszczyła mnie pani źle. Nie możemy zmusić pani do polubienia nas, ale przecież

nie można nienawidzić kogoś, kogo się nie zna – dodała, unosząc dumnie głowę.

Marie drgnęła. Wreszcie odsunęła się nieco i gestem zaprosiła obie przybyłe do wejścia.

– Wygrałyście. Możecie wejść, ale tylko na kilka minut.

Julia i Cathy uśmiechnęły się do siebie porozumiewawczo.

– No, nareszcie – rzuciła wesoło Julia. – Od rana czekam, żeby spróbować ciasta czekoladowego, które upiekła Cathy. Jest wyjątkowo zdolna pod tym względem.

Marie zaprowadziła kobiety do pokoju stołowego. Kiedy usiadły, zaproponowała kawę i nie czekając na odpowiedź, wymknęła się do kuchni.

– Czy nikt nie pija tutaj herbaty? – zapytała szeptem Cathy. – Gdziekolwiek bym poszła, proponuje mi się kawę. Mam wrażenie, że mój żołądek nie wytrzyma tego długo.

Julia odpowiedziała, zniżając głos:

– W tym regionie rzeczywiście mało kto pija herbatę. Mężczyznom proponuje się lampkę wina, kobietom kawę. Już ci mówiłam, że tutejsi mieszkańcy są uparci. Nie zmienisz ich.

– Nie leży to w moich zamiarach – odparła cichutko Cathy. – Ale wyraźnie czuję, że niedługo nie będę mogła przełknąć ani jednego łyka kawy więcej, chociaż...

Cathy przerwała, słysząc szybkie kroki gospodyni.

Marie weszła z tacą w rękach. Stały na niej trzy filiżanki kawy i talerzyki deserowe.

Cathy poczuła się dumna. Nie było wątpliwości, Marie zamierzała spróbować jej wypieków.

– Pani męża nie ma w pobliżu? – zapytała z nadzieją Cathy. – Chciałabym poznać również jego.

Marie spojrzała na nią, po czym wstała i wyszła z pokoju.

Julia i Cathy wymieniły pełne obaw spojrzenia.

– Jak myślisz – wyszeptała Cathy – strzeliłam gafę?

– Nie bardzo wiem. – Julia się uśmiechnęła. – Zaraz się okaże. To ciasto wyjątkowo miło pachnie.

– Miejmy nadzieję, że uda się nam spróbować go razem z gospodarzami. Gdzie ona się podziała?

W korytarzu ponownie rozległy się kroki. Tym razem zbliżały się dwie rozmawiające półgłosem osoby. Rozmowa ucichła nagle i w drzwiach pojawiła się Marie, za którą kroczył przystojny, wysoki brunet.

– Oto Robert – powiedziała krótko Marie.

Cathy podniosła się natychmiast.

– Na imię mi Cathy. Dziękuję, że zechciał pan poświęcić nam chwilkę. Tak bardzo chciałabym poznać okolicznych rolników i wyjaśnić wreszcie od lat trwające nieporozumienie.

– Niech się pani nie trudzi. Marie wyjaśniła mi, w jakim celu pani do nas przyszła. I muszę przyznać, że dawno nie widziałem równie nieugiętej kobiety. Jeśli dobrze pamiętam, ostatnim razem została pani za drzwiami. Na pani miejscu byłbym wściekły i...

– Skądże znowu – przerwała Cathy, uśmiechając się do rolnika. – Szczerze mówiąc,

dostałam prawdziwego ataku śmiechu, kiedy tylko znalazłam się w samochodzie. Spodziewałam się niemiłego przyjęcia, ale nie zamkniętych drzwi.

Cathy roześmiała się wesoło. Marie i Robert wpatrywali się w nią z niedowierzaniem. Robert ocknął się pierwszy.

– Pójdę po kieliszek. Wolę trochę wina niż kawę, która powoduje u mnie refluks.

Marie już kroїła ciasto. Robert wrócił, trzymając w jednej ręce kieliszek pełny różowego wina, w drugiej otwartą butelkę.

– Mojej produkcji – powiedział z dumą.

– Naprawdę? Ma pan winnicę?! – wykrzyknęła z niedowierzaniem Cathy.

– Tak, tak, odziedziczyłem ją po ojcu, a on po swoim ojcu, moim dziadku. Tradycja jest w naszej rodzinie niezwykle ważna. Jak na ironię nie mamy chłopców, ale dwie dziewczyny. Jedna ani myśli zostać na wsi, marzy się jej kariera dziennikarki. Druga nie wie, co z sobą zrobić. Trudny wiek, trzynaście lat.

– Rozumie się – rzuciła Cathy – jest trochę za młoda na podjęcie poważnej decyzji. Czas szybko leci, kiedyś się zdecyduje. A lubi towarzyszyć panu, pracować przy zbiorze winogron? Czy ja wiem...

– Tak, i całkiem dobrze daje sobie radę.

– W takim razie to tylko kwestia czasu, proszę jej zaufać. Osobiście byłabym bardzo dumna, mogąc kontynuować rodzinną tradycję. Skoro już o tym mowa... Chętnie spróbowałabym pańskiego wina.

Robert odpowiedział szerokim uśmiechem.

– Idę po drugi kieliszek. Co ty na to, Julia? – zapytał, puszczając oko do sąsiadki.

– Kiedyś musisz się skusić.

Julia gwałtownie pokręciła głową.

– Dziękuję, wolę kawę i jeszcze jeden kawałek ciasta.

Robert ponownie zniknął w korytarzu. Z daleka słychać było jego śmiech.

Marie spojrzała na Cathy.

– Spodobała mu się pani – powiedziała, spoglądając na nią wyniośle. – Na pani miejscu nie przybierałabym zbyt rozradowanej miny, nie jesteśmy jedynymi rolnikami w tych okolicach, prawda? Bernadette i jej mąż nie dadzą się ułaskawić tak łatwo. To oni najbardziej ucierpieli z powodu ostatnich właścicieli państwa farmy.

Julia łapczywie pochłaniała drugą porcję ciasta. Robert wrócił z kieliszkiem, nalał do niego trochę wina i wyciągnął dłoń w stronę Cathy.

– Lubi pani różowe wino?

– Przyznaję, że nie jestem specjalistką w tej dziedzinie. Jeśli chodzi o alkohole, zwykle zdaję się na zdanie mojego męża. Oboje pochodzimy z Alzacji i mam zwyczaj picia białych słodkich win. – To mówiąc, uniosła kieliszek i umoczyła usta w jego zawartości. – Mniemam, jest dobre. Naprawdę, bardzo dobre.

Cathy piła małymi łydkami, od czasu do czasu sięgając po kawałek ciasta. Wreszcie kieliszek był pusty, a ona zdobyła się na odwagę.

– Dlaczego właściwie nikt nie lubił właścicieli naszej farmy?

Marie spojrzała na Roberta. Mężczyzna zdawał się nie dostrzegać błagalnego wzroku swojej małżonki. Rzeczywiście polubił Cathy. Po chwili wahania zaczął swoją

opowieść:

– Kiedy się sprowadzili, z miejsca nawiązaliśmy przyjacielskie stosunki. Wieczorki przy kominku, grill latem, wypady na połów, kiedy mieliśmy czas. Nie potrwało to długo. Kryzys zaczął dawać się we znaki, nasze dochody malały z dnia na dzień. Bernadette i jej mąż ucierpieli najbardziej, mają tak liczną rodzinę – piątkę dzieciaków do wychowania. Pewnie zwróciła pani uwagę na ich dom, który już od bardzo dawna wymaga remontu. Nawet nie wspominam o stodole i innych budynkach gospodarczych. Tak, im było najtrudniej. Musieliśmy sprzedać trochę sprzętu, zaczęliśmy dzielić jeden traktor, jedną kosiarkę... Tak było taniej. Za utrzymanie płaciliśmy wspólnie. Księgowością zajmował się właśnie uprzedni właściciel *L'Espoir*. Nie bardzo pamiętam, w jaki sposób i kto zdał sobie sprawę, że kantuje nas na całego. My płaciliśmy, a on nie. Za to korzystał ze sprzętu, kiedy tylko miał potrzebę. Rozumie się, że nie mogliśmy pozostawić sprawy bez reakcji. Najlepiej było postawić kawę na ławę. Nic nam z tego nie przyszło, winny nie tylko zaprzeczył, oburzył się wręcz i zachował jedyny traktor w swoim gospodarstwie. Nie mieliśmy wyjścia, sądy dużo kosztują, zapożyczyliśmy się wszyscy, żeby wspólnie zakupić nową maszynę. Bernadette musiała odmówić najstarszej córce, która tak chciała wyjechać na studia do Paryża. Stolica jest za droga, nawet stypendium nie wystarczało. My również mieliśmy kłopoty, kiedy Alice – nasza najstarsza – oznajmiła, że interesuje ją dziennikarstwo. Całe szczęście, zaczęła od studiów angielskiego w Nantes. Dojeżdża codziennie, nie mamy innego wyjścia. Powoli rosły złość i nienawiść. Zaczęliśmy omijać pani farmę z daleka. Trudno odzyskać stracone zaufanie – zakończył Robert, wychylając swój kieliszek.

Cathy skinęła głową.

– Dziękuję. Chciałam wiedzieć, co tak naprawdę się przydarzyło. Cieszę się, że mi pan opowiedział całą historię, Robercie.

Marie, która uważnie słuchała męża, nie przerywając mu ani słowem, odważyła się dorzucić:

– Przykro mi, że nie otworzyłam pani drzwi tamtego dnia. Proszę zrozumieć, z powodu tych ludzi zadłużyliśmy się na kilka lat. Moment jest nieodpowiedni, dzieci rosną, kryzys daje nam w kość, komu potrzebna pożyczka? Mogę wiedzieć, jakie są pani plany? Bernadette nie jest złą kobietą, to dobra sąsiadka i kochająca matka, ale potrafi być bardzo uparta.

– Ja również mogę być stanowcza. – Cathy się uśmiechnęła. – Jestem pewna, że możemy dojść do porozumienia. Nie ukrywam, że potrzebujemy pomocy i współpracy z innymi rolnikami. Spróbujmy najpierw zawrzeć znajomość, reszta przyjdzie później.

Robert roześmiał się ponownie.

– A nie mówiłem? Lubię stanowcze kobiety. Niech nam pani da znać, kiedy uda się pani przekonać Bernadette i jej męża do jakiegokolwiek współpracy. Tego dnia stawiam lampkę dla każdego obecnego rolnika. – To mówiąc, Robert schwycił swój kieliszek, butelkę wina i wyszedł, śmiejąc się głośno.

Marie wzruszyła ramionami.

– Niewiele potrzeba, żeby przekonać mężczyznę. Robert miał rację. Bernadette nie da się nabrać. Ja sama jestem jeszcze trochę oporna, za to chętnie zapiszę sobie przepis

na pani ciasto.

Julia promieniała.

– Miałam rację! – wykrzyknęła. – Cathy piecze wyśmienite ciasta. Ja też chcę ten przepis!

Chwilę później Cathy dyktowała nowym znajomym przepis na ciasto czekoladowe. Trudno było jej się skupić, myślami była kilka tysięcy kilometrów stąd... w Moskwie, gdzie Katia uparcie dążyła do celu. Może właśnie w tym był sens jej snów. Czyżby chodziło o to, żeby jej pomóc, o to, żeby wiedziała, jak postąpić? Skoro czternastolatka nie poddawała się, ona, Cathy, nie podda się również.

Żegnając się z Marie i Julią, Cathy skinęła na czekającego przy samochodzie męża i już ich nie było. W drodze powrotnej opowiedziała Jeanowi wszystko to, czego udało się jej dowiedzieć. Jean słuchał uważnie, skupiony na prowadzeniu. Jet chrapał na tylnym siedzeniu. Przez resztę drogi młodzi milczeli pogrążeni w myślach.

*

Katarina zatrzasnęła drzwi od pokoju. Z płaczem rzuciła się na łóżko. Nie po raz pierwszy kłóciła się z rodzicami, nie rozumieli jej ani oni, ani starsza siostra Ada. Katarina była wyśmienitą uczennicą, od zerówki do przedostatniej klasy liceum wszystko szło jej jak z płatka. Lubiła każdy z nauczanych przedmiotów: od matematyki po lekcje rysunków. Przez długie lata pragnęła zostać nauczycielką, nie mogła jednak zdecydować się co do przedmiotu, którego chciała nauczać. Rodzice uśmiechali się pobłaźliwie – ich córka była jeszcze taka młoda, miała czas... Lubiła szkołę, uczyła się pilnie, nigdy nie narzekała na nadmiar pracy. Interesowało ją wszystko, dużo czytała, lubiła programy o innych krajach, filmy o dalekich podróżach, aktualności. Zwykle kończyła rok jako najlepsza lub druga w kolejności uczennica z klasy. Miała całą masę koleżanek i kolegów. Była miłą, energiczną, otwartą dziewczyną.

Ada studiowała już od dwóch lat. Ona również wahała się przed podjęciem ostatecznej decyzji – to normalne, chodziło przecież o jej przyszłość. Była tak samo ambitna, jak młodsza siostra. Wybrała prawo, chociaż medycyna kusila ją w równym stopniu. Stwierdziła jednak, że na świecie było zbyt wiele niesprawiedliwości i należało to zmienić. Rzecz jasna, rodzice z zachwytem przyjęli jej decyzję. Würzburg miał cały wybór uczelni i Ada bez trudu znalazła miejsce na uniwersytecie. Pierwszy rok był bardzo trudny. Ada z miejsca odczuła różnicę między wymaganiami w liceum i na uniwersytecie. Wykładów było niewiele, za to nastolatka musiała poświęcać bardzo dużo czasu na pracę w domu czy bibliotece. Z przerażeniem zastanawiała się, jakim cudem dawali sobie radę studenci, którzy nie mieli laptopa. Google i inne wyszukiwarki były cenną pomocą. Przemęczona Ada zdała wreszcie wszystkie egzaminy, ale jej rezultaty nie były wspaniałe. Powiedzmy, że ledwo, ledwo przeszła na drugi rok.

Latem rodzina spędzała wakacje w małym miasteczku Bawarii – Nonnenhorn – nad jeziorem Konstancja. Ada nabrała sił. Drugi rok rozpoczął się dobrze: dziewczyna była pewniejsza siebie, potrafiła lepiej zorganizować pracę, dostosowała się do wymogów profesorów. Była z siebie zadowolona, nie żałowała poświęceń, nieprzespanych nocy, zmęczenia, wypadków z kolegami, które nieraz przeszły jej koło nosa. Ada bez przeszkód

dawała pierwszeństwo nauce – trudno, przez pierwszy rok nie widywała nikogo. Z czasem poznała kilka osób z jej roku, wymieniła spostrzeżenia, zdała sobie sprawę, że wielu studentów pierwszego roku spędzało całe dnie na nauce. Grono jej znajomych się powiększyło i Ada zaprzyjaźniła się z kilkoma z nich. Mała grupa często pracowała razem, motywując się nawzajem.

Zajęta studiami niewiele czasu poświęcała Katarinie, nie zdając sobie sprawy z tego, co się działo. Dopiero rozmowa z zaniepokojoną rozwojem sytuacji matką uświadomiła jej smutną rzeczywistość: jej siostra, ta znakomita i pilna uczennica, stała się nerwowa, opryskliwa, zwłaszcza kiedy chodziło o podjęcie decyzji dotyczącej jej przyszłości. Rodzice się niepokoiли. Ada nie wiedziała, co zrobić. Obiecała jednak matce, że porozmawia z młodszą siostrą. Wybrała niedzielne popołudnie.

Tuż po obiedzie Katarina obwieściła, że zamierza odpocząć w swoim pokoju, słuchając muzyki, jeśli nikomu to nie przeszkadza. Obecni zaprzeczyli. Co za pytanie. Młodzi lubią muzykę i chociaż rodzicom nie przypadły do gustu preferowane przez Katarinę grupy, przecież nie zamierzali zabraniać jej słuchania muzyki we własnym domu i pokoju. Katarina pomogła matce zebrać naczynia, ale nie poczekała na kawę i deser. Ada została z rodzicami. Po skończonym posiłku dała znać matce, żeby im nie przeszkadzała, i udała się do pokoju siostry. Zapukała i weszła, nie czekając na pozwolenie. Katarina siedziała na łóżku z przymkniętymi oczami, kołysząc się w rytm utworu. Ada usiadła obok i delikatnie objęła siostrę ramieniem. Ta uśmiechnęła się, przytuliła do dziewczyny i trwała bez ruchu aż do końca kawałka jej ulubionej fińskiej grupy Korpiklaani. Wyciszyła muzykę i pytająco spojrzała na intruza.

– Czemu zawdzięczam twoją obecność? Zwykle zmywasz się zaraz po obiedzie. Cieszę się, że mogłaś zostać – dorzuciła szczerze.

Ada odetchnęła z ulgą. Kochała siostrę i troszczyła się o nią jak własna matka. Nie chciała się pokłócić i miała nadzieję, że Katarina nie obrazi się z powodu jej interwencji.

– Nie lubię kłamać – rzuciła prosto z mostu. – Jestem tu na prośbę mamy. Rodzice niepokoją się o twoją przyszłość. Chcesz porozmawiać?

– Wiesz, ja też się niepokoję. Ostatnio stale jestem zestresowana, złapałam nawet kilka marnych stopni. Nie ma powodu do niepokoju – dodała szybko, widząc zaniepokojoną minę Ady. – Nadrobię bez problemu!

Ada oparła się wygodniej, gotowa do wysłuchania zwierzeń. I rzeczywiście, Katarina zaczęła z wolna, starannie dobierając słowa:

– Mnie samej trudno jest zrozumieć. Coś się we mnie zmieniło. Najpierw myślałam, że nie mam już najmniejszych ambicji, ale nie o to chodzi. Wydawało mi się, że szczytem marzeń będzie zawód nauczyciela, ale teraz... Nie mam na to ochoty, Ada.

– Nikt cię nie zmusza – rzuciła siostra. – Rozmawiałaś o tym z mamą?

– Nie, jakoś nie udaje mi się zwierzyć mamie. Wolę pogadać z tobą, tyle tylko że ostatnio nie byłaś zbyt często obecna w domu. Stale na uczelni, u kolegów, w bibliotece. Rozumiem, prawo jest trudnym kierunkiem, wymaga pracy i poświęceń.

– Gdybym wiedziała, że chcesz porozmawiać, znalazłabym dla ciebie czas – przerwała Ada. – Katarina, czemu milczałaś?

– Tego też nie rozumiem. Czuję się jakaś inna...

– Dorostaś. – Ada się uśmiechnęła. – Dojrzałość ma swoje zalety i wady. Wszystkie decyzje należą teraz do ciebie, ale nie jesteśmy twoimi wrogami, możemy ci doradzić, wysłuchać cię. Nie ma potrzeby trzaskać drzwiami.

– Jeszcze jest mi z tego powodu głupio – przyznała Katarina. – Postaw się w mojej sytuacji: zostało tylko kilka miesięcy do podjęcia najważniejszej decyzji w moim życiu, a ja nie wiem, co robić. Spędziłam tyle godzin na szukaniu zawodu, który mógłby mi się spodobać, i nic... Nawet Hans, mój wychowawca, zrozumiał, że coś jest nie tak. Wezwał mnie na rozmowę i wyszłam od niego jeszcze bardziej skołowana. Zgoda, jestem zdolna, ale zdałam sobie sprawę, że nic mnie nie pociąga. Nie wiem, co ze sobą zrobić, Ada – zakończyła Katarina, zniżając głos.

– Mam pomysł – odparła siostra. – Od tygodnia nie wystawiłam nosa na dwór. Jest piękna pogoda, przejdźmy się po mieście, pooddychamy, pogadamy. Co ty na to?

– Chętnie. Poczekaj chwilę, za dwie minuty będę gotowa.

Ada przeciągnęła się, podniosła z łóżka i wychodząc, rzuciła w progu:

– Czekam w ogródku. Dosyć mam swojej bladej twarzy, pierwsze słońce dobrze mi zrobi.

Z kuchni wychyliła się zatroskana twarz matki. Ada uśmiechnęła się porozumiewawczo, dając znać, że wszystko odbyło się pomyślnie, po czym głośno oznajmiła:

– Mamo, wychodzę na spacer z Katariną. Potrzebuję powietrza.

– Dobrze, kochanie. Zostało mi ciasto na podwieczorek, kiedy wrócicie...

Katarina wyszła z pokoju, zbliżyła się do matki i ucałowała ją w policzek.

– Ja zjem chętnie. Ada robi się za gruba, powinna dbać o linię – dodała z przekąsem.

Siostry roześmiały się i wyszły z domu. W kuchni matka usiadła przy stole i odetchnęła z ulgą. Skoro Adzie udało się wziąć sprawę w swoje ręce, wszystko będzie dobrze, wystarczyło poczekać.

Pogoda była rzeczywiście piękna. Słońce świeciło na całego, pierwsze wiosenne kwiatki zdobiły trawnik, a drzewa i krzewy zieleniały z dnia na dzień. Pachniało wiosną. Na ulicach nie brakowało spacerowiczów. Katarina odczekała chwilę, po czym wróciła do tematu.

– Zazdroszczę ci, lubisz to, co robisz.

– To prawda – odparła powoli Ada. – Musisz wiedzieć, że nieraz ogarniały mnie wątpliwości. W ubiegłym roku było mi ciężko, mało brakowało, a straciłabym zaufanie w swoje siły i możliwości. Na prawo startuje tak wiele osób, że trudno jest poznać kogoś na początku studiów, a ja jak na złość nie miałam ani jednej koleżanki, którą interesował ten kierunek. Przez cały rok byłam sama, nic tylko książki, wkuwanie, stres i powątpiewanie.

– Nic mi nie powiedziałaś.

– No widzisz – roześmiała się Ada – najwyraźniej jesteśmy skrytą rodziną. – Po chwili dodała poważniej: – Chyba tak jak ty zamknęłam się w sobie, czy ja wiem... Teraz jest w porządku: mam przyjaciół, pomagamy sobie w nauce, drugi rok jest trochę łatwiejszy, nie jestem już nowicjuską, nie czuję się zagubiona, odzyskałam pewność

siebie, co widać – pierwsze oceny są znacznie lepsze od tych, które otrzymałam w zeszłym roku.

– Tak, wiem, mama wspominała w zeszłym tygodniu przy obiedzie. Rozumiem, do czego zmierzasz. Chcesz dać mi do zrozumienia, że nie powinnam się poddawać, że wreszcie znajdę swoją drogę... Ale kiedy, Ada? Jestem taka niecierpliwa i coraz bardziej niespokojna. Nie wiem, co wybrać!

– Może zacznij od sporządzenia listy zawodów, których nie chcesz wykonywać?

– Dawno zrobiona ta lista.

– Coś ci przecież zostało – zadrwiła Ada.

– No właśnie, w tym cały problem. Lekarze są tacy pożyteczni, adwokaci cieszą się dużym poważaniem i nieźle zarabiają, zawód nauczyciela daje wiele satysfakcji. Mogę wyliczać jeszcze długo. Nie wiem, który z zawodów nie znudzi mnie za miesiąc...

Tym razem Ada zastanowiła się chwilę.

– Spróbujmy z innej strony. Wyobraź sobie, że za cztery miesiące jesteś po maturze i nie masz co robić. Ile czasu wytrzymasz w domu bez zajęcia? Znam cię, stale masz nos w książkach.

– O tym też myślałam i nie mam odpowiedzi na to pytanie.

Katarina urwała nagle i pociągnęła siostrę za rękę, wskazując pobliski budynek po drugiej stronie ulicy.

– Dawno tutaj nie byłam. Pięknie odremontowany, prawda?

Dom był stary, otoczony małym, zadbanym ogrodem. Kamienne ściany zostały wyczyszczone, dachówka lśniła jak nowa, okna i drzwi frontowe bez wątplenia wymieniono. Metalowe ogrodzenie połyskiwało świeżą czarną farbą. Całość wyglądała sztywnie. Na bramie widniała tabliczka oznajmiająca, że właściciel wynajmuje pokoje gościnne. Siostry zgodnie stwierdziły, że odnowiony budynek jest wyjątkowo ładny i z pewnością nie zabraknie tutaj klientów, zwłaszcza że wystarczało pół godziny drogi na piechotę, żeby dotrzeć do centrum miasta.

Ada spojrzała na zegarek. Był czas wracać do domu. W powrotnej drodze Katarina trajkotała o muzyce, koleżankach, wspomniła o ostatnio przeczytanym kryminale Harlana Cobena, ale starannie omijała temat swojego przyszłego zawodu.

Zaraz po podwieczorku Ada pożegnała się z rodzicami i siostrą. W tym roku wynajmowała pokój blisko uniwersytetu, dzieląc czynsz z jedną ze swoich nowych przyjaciółek. Tym sposobem mogła do późnych godzin wieczornych korzystać z biblioteki i nie wracała sama do domu, kiedy było ciemno. Siostry obiecały sobie, że za tydzień znowu wybiorą się razem na przechadzkę, i uściskały się zadowolone.

Następnego dnia zaraz po lekcjach Katarina udała się na ulicę Leistenstrasse i przystanęła przed metalowym ogrodzeniem. Zamyślona wpatrywała się w dom, kiedy w drzwiach pojawiła się młoda kobieta. Dziewczyna cofnęła się zaskoczona, ale po chwili wahania popchnęła metalową furtkę i weszła do ogródka. Kobieta uśmiechnęła się i skinęła głową na powitanie.

– Dzień dobry – rzuciła Katarina. – Jest pani właścicielką tego domu?

– Tak, witam cię. Zamierzasz wynająć pokój? – zapytała w odpowiedzi kobieta.

– Niezupełnie – odparła Katarina. – Ale chętnie porozmawiałabym z panią, jeśli nie

przeszkadzam.

– Proszę, możesz wejść. Na imię mi Greta. Odziedziczyłam dom po dziadkach. Myślałam, że będziesz moją pierwszą klientką – dodała zawiedzionym głosem.

– Przykro mi, że panią zawiodłam – rzuciła natychmiast Katarina. – Piękny dom – dodała szczerze.

– Prawda? Mnie też się spodobał. Skończyłam studia, ale nie mogłam się zdecydować na pracę w swoim zawodzie. Bardzo kochałam dziadków. Babcia zmarła już kilka lat temu, dziadek kilka miesięcy. Wyobraź sobie zdziwienie mojej rodziny, kiedy się okazało, że jestem jedyną spadkobierczynią tego domostwa. Ale, ale – nie chcę zanudzać cię moimi sprawami. Powiedz lepiej, co cię tutaj sprowadza.

– Właśnie ten dom – rzuciła bez namysłu Katarina.

Greta wytrzeszczyła oczy.

Nie czekając dłużej, Katarina zaczęła swoje wyjaśnienia:

– Widzi pani, tylko cztery miesiące dzielą mnie od matury. Od dziecka myślałam, że kiedyś zostanę nauczycielką, i nagle straciłam ochotę na ten zawód, ten i wszystkie inne. Nie dalej jak wczoraj dyskutowałam o tym z moją siostrą, spacerując. Przypadek zawiódł nas przed pani dom, który od razu przypadł mi do gustu.

– Nadal nie rozumiem – wtrąciła Greta. – Chcesz kupić mój dom?!

– Skądże znowu – roześmiała się Katarina. – Nie mam ani grosza. Spodobał mi się pomysł – pokoje gościnne do wynajęcia. Chciałabym wiedzieć, na czym właściwie polega pani rola jako właścicielki owych pokoi.

– Aha, chętnie ci opowiem. Chcesz zwiedzić dom?

– Doskonały pomysł! – wykrzyknęła Katarina. – Odkąd go zobaczyłam, nie przestałam o tym myśleć.

Greta wyprostowała się dumnie i zaczęła oprowadzanie. Na parterze znajdowała się duża jadalnia, kuchnia, biblioteka i pokój Grety, na piętrze pięć pokoi, każdy z małą łazienką i ubikacją. Całość gustownie umeblowano. Każdy z pokoi pomalowano na inny kolor. Katarinie bardzo przypadł do gustu najmniejszy pokój o jasnozielonych ścianach i podobnej narzucie na łóżku. Po skończonych oględzinach Greta zaprosiła gościa do kuchni i wstawiła wodę na herbatę.

– Teraz czekam na twoje pytania – rzuciła, podając herbatę. Gościnnym gestem wyciągnęła w stronę Katariny talerzyk pełen ciasteczek z konfiturą.

– Co pani studiowała? Jeśli nie jest to zbyt niedyskretne pytanie – zaczęła Katarina.

– Psychologię. Lubię ludzi, rozmaite charaktery, temperamenty. Zawsze byłam rozmowna, nie boję się kontaktu i łatwo go nawiązuję. Po studiach zdałam sobie jednak sprawę, że nie chcę spędzać całych dni zamknięta w gabinecie w oczekiwaniu na klientów ani nauczać na uniwersytecie, chociaż zaproponowano mi tam pracę. Ten dom był moim zbawieniem. Musiałam się zapożyczyć, ale nie żałuję. Rezultat jest miły, prawda? Mam pięć pokoi do wynajęcia. Proponuję śniadanie i kolację. Nie robię obiadów, ale na życzenie klientów mogę przygotować suchy prowiant, jeśli chcą zwiedzać miasto i nie tracić czasu przy stole w restauracji. Czasu albo pieniędzy – dodała z uśmiechem. – Oczywiście zajmuję się sprzątaniami, pilnuję, żeby zawsze były czyste ręczniki, mam do dyspozycji plan miasta i kilka przewodników turystycznych w bibliotece. Pomyślałam

nawet, że mogłabym sama posłużyć jako przewodnik, ale tylko w razie gdybym miała niewielu klientów. Pracuję sama, no i trzeba dopilnować wieczornej kolacji – roześmiała się Greta. – Inne pytania? – dodała, zerkając na wpatrzoną w nią Katarinę.

– Raczej nie. Nie wiem, jak pani podziękować, zdaje się, że znalazłam mój przyszły zawód.

Greta się rozpromieniła.

– Cieszę się, że mogłam pomóc. Zajdź do mnie w razie potrzeby, może później nasuną ci się kolejne pytania.

– Dziękuję. Bardzo chętnie. Mam nadzieję, że wkrótce wszystkie pokoje będą zajęte, ale żeby być szczerą, cieszę się, że dzisiaj nie było nikogo. Dzięki temu mogliśmy porozmawiać – dorzuciła, podnosząc się z miejsca. – Nie przeszkadzam pani dłużej.

Greta odprowadziła gościa do drzwi. Pożegnały się.

Katarina wróciła do domu szczęśliwa. W drzwiach minęła się ze zbierającą się po zakupy matką.

– Katarina, późno wracasz – stwierdziła mama. – Brakuje mi chleba i mąki na jutrzejsze ciasto – dodała, ubierając się.

– Zostaw, mamó – rzuciła Katarina. – Pójdę po zakupy. – Ucałowała matkę w policzek, wyjęła z jej rąk siatkę i wyszła z domu, nucąc półgłosem jedną ze swoich ulubionych fińskich melodii.

W pobliskim sklepie spożywczym było sporo ludzi. Katarina wybrała dobrze wypieczony bochenek chleba, mąkę i stanęła w kolejce, cierpliwie czekając na swoją kolej. Po raz pierwszy wydało się jej, że czas tak szybko mija, miała tyle planów, tyle rzeczy do przemyślenia. Dzisiaj wieczorem wreszcie będzie mogła powiedzieć rodzicom, że się zdecydowała: będzie wynajmowała pokoje gościnne. Ada z pewnością poprze jej decyzję. W niedzielę wybiorą się na spacer, przedyskutują ją razem. Być może dobrze byłoby przedstawić Adzie Gretę.

Wracając do domu, po raz pierwszy od długich miesięcy czuła się odprężona, spokojna, pewna siebie. Była dawną Katariną.

Podczas kolacji przedstawiła swój projekt rodzicom. Tata z miejsca przytaknął, zadowolony, że wreszcie skończą się problemy. Najważniejszy był fakt, że córka wyglądała na szczęśliwą. Matka wybuchnęła gniewem:

– Chcesz zmarnować swoją szansę? W dzisiejszych czasach dyplom jest niezwykle ważny, a ty nawet nie zamierzasz podjąć studiów! Co będzie, jeśli ci się nie powiedzie? Jeśli nie uda ci się zarobić na życie? Jesteś pewna, że bank udzieli ci pożyczki? Bo wiesz, nie stać nas na zakup domu z powodu twoich mrzonek o pokojach gościnnych! Pokoje gościnne, też mi pomysły na przyszłość!

– Mamó – powiedziała spokojnie Katarina – nie denerwuj się tak. W niedzielę postaram się przedstawić ci osobę, z którą dzisiaj rozmawiałam. Jest to młoda kobieta po studiach psychologii, która wyremontowała dom otrzymany w spadku po dziadkach. Ma pięć pokoi do wynajęcia. Dom jest cudowny i dobrze położony, niedaleko centrum. Greta jest przemiłą osobą i...

– ...i po studiach – zakończyła matka. – Ona przynajmniej nie popełniła głupstwa, rezygnując z dyplomu.

- Dyplomu, który jej się nie przyda, mam.
 - Przypominam ci, że twoja Greta miała do dyspozycji dom, ty nie.
 - To prawda. Dlatego chcę zaproponować jej moją pomoc. Mogę sprzątać pokoje, gotować, podczas gdy ona zajmie się klientami.
 - A jeśli odmówi?
- Katarina milczała.
- No proszę, wygląda na to, że nie przewidziałaś wszystkiego – dodała matka.
 - Przykro mi, że nie podoba ci się mój pomysł – odezwała się ponownie Katarina.
- Nie zmienię zdania. Greta może odmówić, wtedy znajdę innych właścicieli albo inną pracę. Kiedy tylko zbiorę wystarczającą sumę, kupię własny dom – dorzuciła z błyszczącymi oczami.

5.

Nadeszła sobota, kolejny pochmurny, ale bezdeszczowy dzień. Julia pojawiła się około dziesiątej rano, wystrojona, zadowolona z siebie. Cathy czekała niecierpliwie. „Ten wypad do Nantes będzie okazją do przyjacielskiej pogawędki i kilku miłych zakupów” – myślała, całując Jeana i głaszcząc miękką głowę skomlącego Jeta. Julia usadowiła się za kierownicą peugeot 206, Cathy usiadła obok, pomachała do męża i już wdała się w pogawędkę z przyjaciółką. Z satysfakcją stwierdziły, że wizyta u Marie i Roberta przebiegła raczej dobrze. Cathy była pewna, że mogła liczyć na poparcie Roberta. Julia dzieliła jej opinię. Zastanawiały się, jak przekonać kolejną parę – Bernadette i jej małżonka.

Podróż minęła zbyt szybko, nie pozwalając kobietom znaleźć odpowiedzi na nurtujące pytanie. Zbliżały się do miasta. Julia nie lubiła prowadzić w centrum, zaproponowała więc, że postawi samochód na dużym parkingu na obrzeżu, w pobliżu którego znajdował się przystanek autobusowy.

– Jedyłą złą stroną będą nasze zakupy – rzuciła, manewrując zręcznie między licznymi wypełniającymi już parking samochodami.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytała zdumiona Cathy.

– Parking jest daleko od centrum, będziemy musiały nosić torby przez cały dzień.

Cathy się uśmiechnęła.

– Nastawiasz się na duże zakupy?

– No pewnie – roześmiała się Julia. – Dawno już nie byłam w Nantes, odłożyłam trochę pieniędzy. Lubię się ubierać, żony rolników mają prawo być eleganckie. Poza tym chętnie kupię książkę i może perfumy. A ty? Jestem absolutnie pewna, że masz jakieś plany.

– Nie bardzo wiem – odparła Cathy z wahaniem. – Książki zawsze mnie pociągają, potem zobaczymy, jeśli uda mi się trafić na wyjątkowo ładną sukienkę na przyszłe lato, dam się skusić. Ale przede wszystkim zapraszam cię na obiad. Tak, tak, nie protestuj – rzuciła, widząc obruszoną minę przyjaciółki. – Płacisz za transport, ja za posiłek, jesteśmy kwita.

– No dobrze, ale obiecuję ci, że następnym razem będzie moja kolej – zgodziła się Julia.

Cathy uśmiechnęła się tylko. Jej nowa znajoma miała wiele zalet. Nie była uparta i z łatwością przystosowywała się do nowych sytuacji. Była szczerą i życzliwie nastawioną do innych ludzi kobietą.

Nadjechał autobus. Młode kobiety zajęły miejsca siedzące i zamilkły na chwilę, wyglądając przez okno. Za ledwie kilka przystanków dzieliło je od zamku Duchesse Anne. Tam wysiadły, okrążyły zamek i z przyjemnością oddały się buszowaniu po małych butikach. Kolorowe wystawy kusily licznych przechodniów. Kobiety kierowały się w stronę centrum, mijając plac Bouffay. Julia lubiła to miejsce ze względu na niezliczoną ilość sklepików spożywczych proponujących produkty z krajów azjatyckich. Lubiła kuchnię wietnamską, a zwłaszcza nemy[1], które od czasu do czasu sama przyrządzała w domu. Zamierzała skorzystać z pobytu w Nantes, żeby zrobić kilka zakupów, ale

dopiero w drodze powrotnej. „Najpierw przyjemność” – stwierdziła, przywołując uśmiech na twarzy Cathy.

Dochodziły do dużego sklepu, w którym na kilku piętrach można było ubrać się od stóp do głów. Ceny nie były zbyt przystępne, ale tego dnia nie chciały o tym myśleć. Julia szybko traciła głowę, kiedy chodziło o ubrania, bieliznę czy perfumy. Nie potrafiła się oprzeć pachnącym buteleczkom. Bez trudu udało się jej wydać sporo pieniędzy na dwie sukienki i butelkę perfum. Cathy wolała poczekać, chociaż wybrała ładną jasnobezową spódniczkę przed kolana z delikatnym kwiatem jabłoni zdobiącym przecinającą ją w poprzek falbanę. Pomyślała jednak, że w centrum również nie brakuje sklepików.

Zbliżało się południe. Cathy wciąż nie znalazła nic szczególnego. Julia niosła dużą papierową torbę i była z siebie bardzo zadowolona.

– Co robimy? Jesteś głodna? – zapytała Cathy.

– Jak zwykle. – Julia wybuchnęła śmiechem. – Tracę apetyt tylko wtedy, kiedy jestem bardzo chora, dokładniej biorąc, kiedy grypa przykuwa mnie do łóżka. W przeciwnym razie już po jedenastej umieram z głodu.

– W takim razie robimy przerwę – zaproponowała Cathy. – Zapraszam cię na naleśniki, jeśli nie masz nic przeciwko Bretanii i jej tradycjom.

Dawno temu leżące na zachodzie Francji Nantes należało do Bretanii, regionu słynącego z naleśników na słono z ciemnej gryczanej mąki oraz tych na słodko z cukrem, miodem i cytryną, konfiturą, czekoladą i migdałami. Z reguły podawano do nich gazowany napój jabłkowy, tak zwany cidre. Cathy zaciągnęła Julię do znanej jej naleśniakarni położonej przy wąskiej, bocznej uliczce, niedaleko Place Royale. Usiadły przy małym stoliku.

– Jest tu dość ciasno – przyznała Cathy – za to naleśniki są wspaniałe i zawsze świeże.

Pojawiła się sympatyczna kelnerka i podała im karty. Cathy wybrała naleśnika z sosem pomidorowym, szynką, serem, jajkiem i duszonymi pieczarkami. Julia uwielbiała łososa ze śmietaną, wybrała więc bez oporów, nie zwracając uwagi na kalorie. Cathy lubiła ją również z tego powodu: ta dziewczyna korzystała z życia na całego. Zamówiły także butelkę napoju jabłkowego. Kiedy tylko zostały same, Cathy odchrząknęła.

– Ojejku, szykujesz przemowę? – zażartowała Julia.

– Niezupełnie. – Cathy się uśmiechnęła. – Chciałabym ci coś opowiedzieć, a zwłaszcza posłuchać twojej opinii na temat tego, co usłyszysz.

Julia nagle spoważniała.

– Zamieniam się w słuch – rzuciła, wypełniając ich gliniane kubeczki napojem.

Cathy już się nie wahała. Do tej pory jedyną osobą, która wiedziała o jej niezwykłych snach, był Jean. Potrzebowała kobiecej rady. Julia była doskonałą towarzyszką i chociaż znały się zaledwie od kilku dni, Cathy była pewna, że nie spotka się z brakiem zrozumienia czy drwinami. Były same i w doskonałym humorze, co ułatwiało zwierzenia. Zaczęła opowiadać swój pierwszy sen: Londyn, Kate, pracę w pubie, radość, z jaką dziewczyna odkrywała stolicę, o zobaczeniu której marzyła od tak dawna.

Kelnerka podała naleśniki i oddaliła się, życząc smacznego. Sala wypełniała się

szybko, zmuszając Cathy do zniesienia głosu. Wygłodniałe zabrały się do jedzenia, a ona kontynuowała ciszej, przerywając od czasu do czasu. Tym razem opisała Kraków, zapracowaną Kasię i jej przyjaciela Rafała, podkreślając niezwykłą wprost energię tej dziewczyny. Julia słuchała uważnie, nie przerywając, najwyraźniej zaciekawiona dalszym ciągiem. Nawet się nie spostrzegły, kiedy kelnerka sprzątnęła ze stołu. Zareagowały dopiero, kiedy powtórnie wręczyła im karty, żeby mogły wybrać deser. Zgodnie zdecydowały się na ulubione naleśniki Julii, te z duszonymi jabłkami i kulką waniliowych lodów.

Po raz pierwszy, odkąd się znały, Julia siedziała spokojnie, zaszuchana, skupiona. Cathy powstrzymała uśmiech i powróciła do swojej opowieści, atakując trzeci z kolei sen: opisała dzieciństwo Katii, wakacje spędzane nad rzeką, połów, ochotę na lekcje tańca i wreszcie wyjazd do Moskwy jako realizację dziecięcych marzeń. Kiedy skończyła, stół był pusty. Cathy zaproponowała Julii herbatę, na co ta przystała z ochotą.

– Skończyłaś? – zapytała Julia. – Czy przyśniło ci się coś jeszcze?

– Nudzę cię, Julia, powiedz prawdę.

– Naprawdę wyglądam na znudzoną?!

– Ani trochę – przyznała Cathy, dodając: – I bardzo mnie to cieszy, bo został mi ostatni sen, a będziesz pierwszą osobą, której go opowiadam. Nie widziałam się z Jeanem dzisiaj rano, miałam czas jedynie pocałować go przed wyjazdem. Wyjątkowo sam zajął się zwierzętami, za to przygotowałam dla niego posiłek i niespodziankę: resztki wczorajszego ciasta czekoladowego.

Słyszając to, Julia wybuchnęła śmiechem.

– Ma facet szczęście – stwierdziła z humorem.

– Też tak myślę – odparła Cathy, mrugając porozumiewawczo okiem. – Och, jest herbata. Muszę się pospieszyć, jeśli chcę opowiedzieć ci ostatni sen tutaj, na ulicy będzie trudniej, no i chciałabym wiedzieć, co o tym myślisz.

Rozpoczęła się opowieść o Katarinie szukającej swojej drogi w życiu, o jej rodzicach i siostrze Adzie, o pokojach do wynajęcia. Cathy podkreśliła, że w przeddzień nie śniła o niczym, a może nie pamiętała swojego snu.

– Co ty na to? – zapytała wreszcie.

Julia oparła się wygodniej.

– Nigdy w życiu nie miałam równie realistycznych snów. Byłaś w którymś z tych miast?

– Niestety nie. Chociaż bardzo chcielibyśmy z Jeanem wybrać się do Londynu. Ale Moskwa, Kraków i to miasto w Niemczech – Würzburg – nic o nich nie wiem. Zauważyłaś, że wszystkie te dziewczyny noszą moje imię: Katy, Kasia, Katia i wreszcie Katarina? Jestem pewna, że to odpowiedniki francuskiego imienia Catherine.

– Tak, od razu rzuciło mi się to w oczy. Wiesz, po raz pierwszy muszę się zastanowić. Miło mi, że się zwierzyłaś, i obiecuję, że przemyślę sprawę, ale tak na gorąco mogę tylko ci zazdrościć: nawet jeśli nie rozumiemy tych snów, są nad wyraz interesujące. Nic wspólnego z koszmarami, przypominają raczej fascynujące filmy.

Julia zerknęła na zegarek i zaskoczona stwierdziła, że minęła czternasta.

– Dwie godziny przy stole! – wykrzyknęła. – Pobiłam własny rekord. Nie śmieć się

– dodała na widok rozradowanej twarzy Cathy. – Zwykle jem szybko, jestem zbyt łakoma. I to moja jedyna wada – dodała z przekonaniem, prowokując ponowny wybuch śmiechu nowej przyjaciółki.

Cathy zapłaciła, zapewniając kelnerkę, że naleśniki były jak zwykle wyśmienite. Wyszły z restauracji i zgodnie skierowały się w stronę dużego *Fnac*[2] położonego na placu de Commerce, sklepu, w którym nie brakowało książek. Obie lubiły lekturę i chociaż w sobotnie popołudnia *Fnac* był pełen klientów, spędziły w nim przeszło godzinę świadome, że nieprędko nadarzy się im podobna okazja: po raz pierwszy od bardzo dawna były tutaj same, bez małżonków.

Bez najmniejszych wyrzutów sumienia szperały po półkach, czytając fragmenty wystawionych tuż obok ruchomych schodów nowości. Następnie dokładnie przejrzały interesujące je działy. Cathy pograżyła się w polarach, Julia w książkach obyczajowych. Najtrudniejszy był wybór. Cathy skusiła się na pięć nowości, Julia poprzestała na dwóch, stwierdzając, że popołudnie jeszcze nie dobiegło końca i zostało im sporo butików do obskoczenia.

Tłok zrobił się jeszcze większy, kiedy znalazły się przy kasie. O tej porze *Fnac* był miejscem spotkań młodzieży, przyciągał również młodych rodziców z pociechami, które mogły do woli przeglądać ogromną kolekcję książek dla dzieci. Dział ten kusił, był kolorowy, wyposażony w wygodne krzeselka dla maluchów. Większe dzieci siedziały na pokrytej barwną wykładziną podłodze. Młodzi tłoczyli się raczej przy komputerach, tabletach, telefonach komórkowych. Podziwiali nowe modele w zawrotnych cenach, korzystali z kilku komputerów udostępnionych klientom w celach demonstracji.

Przyszedł czas opuścić *Fnac*. Julia zaproponowała przechadzkę przez pasaż Pommeraye. Butiki były tutaj zbyt drogie, ale czasami można było trafić na wyjątkowo dobre okazje. Cathy przystała na propozycję. Pasaż przyciągał turystów, ale również mieszkańców miasta i okolic. Datowany na tysiąc osiemset czterdziesty rok, zadaszony, ozdobiony licznymi rzeźbami pasaż ofiarowywał schronienie licznym sprzedawcom. Butiki często zmieniały właścicieli wciąż proponujących inne produkty. Czysze musiały być tutaj wyjątkowo wysokie. W centralnej części pasażu znajdowało się nawet kilka mieszkań. Przyjaciółki z radością oglądały rozmaite towary. Obie miały tutaj swój ulubiony sklepik. Pasaż łączył ulice położone na dwóch poziomach, z tego też powodu rozciągał się na dwóch piętrach, między którymi znajdowały się wyjścia na boczne uliczki. Kiedy dochodziło się do niego od strony *Fnac*, trudno było oprzeć się pokusie i przyciągającym wzrok witrynom sklepu z czekoladkami i wszelkiego rodzaju ciastkami. Julia odwróciła głowę i z trudem oparła się chęci wejścia do sklepu. Cathy nie mogła się powstrzymać przed rzuceniem okiem na wystawę; ułożone tam wyroby czekoladowe były prawdziwymi dziełami sztuki. Zafascynowana nie mogła oderwać wzroku od czekoladowych cudów: kwiatów, serc, samochodów, misiów i zajączków. Julia zdawała się nie dostrzegać niczego, patrzyła prosto przed siebie jak skamieniała. Cathy wybuchnęła śmiechem.

– Coś mi się wydaje, że nie zamierzasz wydać tutaj ani grosza. Powiedz, jeśli się mylę.

– Pospiesz się, trudno mi wytrzymać i czuję, że dopada mnie zły humor.

– W takim razie idź dalej, znajdę cię w którymś z tych małych sklepików. Muszę tu wejść. Jean lubi czekoladę – dodała z westchnieniem Cathy.

– Zgoda, ale nie zwlekaj, w przeciwnym razie nie odpowiadam za siebie – rzuciła Julia, przybierając komiczną minę męczennicy.

Cathy roześmiała się ponownie i lekko popchnęła drzwi do sklepiku. Wybrała duże serce zrobione z gorzkiej czekolady, wypełnione małymi serduszkami z masą o rozmaitych smakach. Kusząca paczuszka dołączyła do torby z książkami i Cathy udała się na poszukiwanie przyjaciółki. Ta dochodziła właśnie do stóp drewnianych, ozdobionych rzeźbionymi postaciami schodów prowadzących na drugi poziom pasażu. Uprzedzając pytanie Cathy, oznajmiła, że nie znalazła nic godnego uwagi. W drodze na piętro zerknęły na prawo i lewo, stwierdzając, że jedyną nowością był sklep z artykułami gospodarstwa domowego, który zgodnie ominęły – to sobotnie popołudnie miało być ich rozrywką, a w każdym razie pozwolić im zapomnieć na jakiś czas o garnkach i wszelkich domowych obowiązkach.

Na górze Cathy złapała przyjaciółkę za rękę.

– Uwielbiam tę wystawę – stwierdziła, pokazując srebrną biżuterię z bursztynem.

– Wprawdzie ze względu na ceny nie zdarzyło mi się kupić tutaj czegokolwiek, ale lubię popatrzeć.

Przez chwilę podziwiała bransoletki, naszyjniki i pierścionki. Cathy westchnęła i rzuciła:

– Wiesz, jeśli uda nam się wyjść z kryzysu, pierwszą rzeczą, jaką zrobię, będzie zakup jednej z tych błyskotek. W każdym razie mam na to ochotę. Ale, ale... Nadal nie wiem, gdzie jest twój ulubiony butik – dorzuciła, zerkając z ukosa na Julię.

– Jeszcze trochę cierpliwości, moja droga, dochodzimy. Już czuję, jak wali mi serce – dodała podekscytowana Julia.

Tuż przed wyjściem z pasażu, po prawej stronie, znajdował się duży, elegancki sklep z butami. Modele były piękne i bez wątplenia można było nazwać je ostatnim krzykiem mody. Na wystawie nie było ani jednej etykiety z ceną.

– Teraz rozumiem – powiedziała Cathy – i współczuję. Osobiście zadowolę się wystawą. Wejdz, jeśli chcesz, poczekam tutaj.

Ku jej zdziwieniu Julia potrząsnęła głową.

– Nie tym razem, chociaż przyznaję, że mam na to ochotę. Masz głupią minę – dodała z przekonaniem. – Jeszcze nie zrozumiałaś, że potrafię się powstrzymać, że mogę okazać się rozsądna, byleby tylko nie chodziło o słodczyce.

Cathy stała z otwartymi ustami, z niedowierzaniem przyglądając się nowej znajomej. Tego się nie spodziewała: właśnie odkryła nową, pozytywną cechę Julii. Otrząsnęła się i powiedziała:

– Sama widzisz, musimy zjednoczyć siły i energię. Razem uda się nam zwalczyć kryzys – dorzuciła stanowczym głosem. – A kiedy tylko nam się uda... nasze sobotnie zakupy będą prawdziwym szaleństwem – zakończyła. Na jej twarzy błąkał się uśmiech, oczy błyszczały rozmarzone.

– Masz rację – odparła Julia. – Chodźmy już, robi się późno. Chciałabym kupić kilka produktów, żeby zrobić nemy. Zdecydowałaś się co do spódniczki?

- Tak, jeśli nie znajdę nic ładniejszego po drodze, wezmę ją.
- W takim razie nie ma co zwlekać. W drogę – popędzała Julia.

Zadyszane dotarły na ulicę de la Marne, gdzie Cathy upatrzyła sobie beżową spódniczkę. Przymiarka była czystą formalnością, spódnica leżała jak ulał. Cathy uśmiechnęła się do swojego odbicia w lustrze, myśląc, że pierwszy wybór często okazuje się najlepszym, w każdym razie w jej przypadku. Zapłaciła i szybko wyciągnęła Julię na ulicę.

- Dziękuję – rzuciła szeptem nowa znajoma.
- Nie ma za co – odparła z przekąsem Cathy. – Jeszcze chwila, a kupiłabyś następną butelkę perfum.
- Trudno mi się oprzeć, odczuwam coś w rodzaju łakomstwa. Zupełnie jak to, które nachodzi mnie przed wystawą sklepu z czekoladkami – dodała, wywołując enty już tego dnia wybuch śmiechu Cathy.

Dyskutując, przekomarzając się, dotarły do placu Bouffay, gdzie Julia dokonała ostatnich zakupów. Placki ryżowe, makaron sojowy, grzyby mun były składnikami, których nie znalazłaby w swoim miasteczku. Zmęczone wcisnęły się do zapchanego o tej porze autobusu, tym razem odbyły krótką podróż na stojąco. Cathy manewrowała zręcznie, osłaniając trzymaną w rękach torbę z zakupami – czekoladowe serce z pewnością było kruche, nie chciała go zgnieść. Wkrótce dotarły na parking, znalazły samochód, ułożyły zakupy na tylnym siedzeniu i z ulgą zajęły swoje miejsca. Opuszczając miasto, Julia milczała skupiona na prowadzeniu. W sobotnie wieczory jak zwykle były korki, kierowcy spieszyli się, wymuszali pierwszeństwo. Dopiero po wyjeździe z miasta kobieta odezwała się donośnym głosem:

- Nie śpij. Teraz możemy wrócić do twoich snów.

Cathy usadowiła się wygodniej i odpowiedziała krótko:

- Zamieniam się w słuch.
- Nie nastawiaj się na nic specjalnego, nie jestem wróżką, chociaż kiedyś się nad tym zastanawiałam. Wystarczy popatrzeć na wszystkie te ogłoszenia w gazetach, serce mi się ściska, kiedy pomyślę, ile pieniędzy zbierają te kanciarki. Wracając do snów... Jednego jestem pewna: muszą mieć jakieś znaczenie. Zastanawiałam się nad tym i doszłam do wniosku, że chociaż znamy się od niedawna, widzę pewne podobieństwo między Kate a tobą: stale jesteś uśmiechnięta, instynktownie zjednujesz sobie tym samym przyjaciół. Masz również wiele wspólnego z młodą krakowianką, jesteście równie energiczne i pracowite. Z tego, co wiem, pomagasz mężowi, w czym tylko możesz... Nie, nie przerywaj mi teraz, bo stracę wątek. Trzeci sen też mogę zinterpretować: Katia, czy jak jej tam było na imię, uparcie dążyła do celu. Ty również. Nie poddasz się, dopóki nie przekonasz pozostałych rolników, że masz rację. W żaden sposób nie mogę jednak pojąć ostatniego snu: problemy nastolatek, wybór zawodu... Wszystko to jest już poza tobą. Pokoje gościnne... Zupełnie nie wiem, co to znaczy, chyba że było to również twoje marzenie, kiedy zakupiliście gospodarstwo – dorzuciła z wahaniem, nie kończąc zdania.

Cathy bez zwłoki odpowiedziała:

- Nigdy w życiu nie myślałam o żadnych pokojach gościnnych. O ile wiem, Jean również nie miał takich planów. Przyznaję, że zaskakuje mnie twoja interpretacja

poprzednich snów, chociaż mogę się z nią zgodzić.

– Chętnie posłucham kolejnych zwierzeń – dodała Julia. – Zazdroszczę ci nawet, przynajmniej masz interesujące sny.

– Julia – rzuciła z wyrzutem Cathy – nie jestem pisarką. Nic mi po interesujących snach, śpię równie dobrze, kiedy nie pamiętam, o czym śniłam. Cieszę się, że mogłam ci o nich opowiedzieć. Czuję się lżejsza. Popatrz, już jesteśmy.

Rzeczywiście, dojeżdżały do miasteczka, stąd jedynie kilka minut dzieliło je od domu Cathy. Julia odmówiła zaproszenia na *apéritif*[3]. Robiło się późno. Pożegnały się w samochodzie, Cathy zabrała swoje zakupy i pomachała, patrząc za oddalającym się autem. Szybkim krokiem skierowała się ku wejściu do domu, słysząc piszczącego z radości Jeta. Pies rzucił się na powitanie, kręcąc się dokoła swojej pani, radośnie machał ogonem. Uspokoił się dopiero, kiedy pogłaskała i ucałowała lśniąca głowę. Wyprostowała się, trafiając prosto w ramiona stęsknionego męża. Cathy wtuliła się w nie na chwilę, musnęła usta Jeana lekkim pocałunkiem i już otwierała torbę z zakupami i z dumą wyciągała z niej kolorową paczuszkę.

– Prezent dla mnie? A ja myślałem, że zupełnie o mnie zapomniałaś. Wyglądałaś na taką szczęśliwą, gdy wyjeżdżałaś – rzucił Jean ze źle ukrywaną radością.

– Byłam szczęśliwa – potwierdziła z przekąsem Cathy. – Spędziłyśmy urocze popołudnie. Nie pomyliłam się co do Julii, jest naprawdę przemiłą kobietą. No, otwieraj – dodała niecierpliwie.

Jean roześmiał się tylko. Powoli otworzył małą paczuszkę. Wyjmując z niej czekoladowe serce, zapomniał o wszystkich kłopotach i smutkach. Tym razem czuły pocałunek się przeciągnął. Zapowiadał się miły wieczór. Cathy kątem oka dostrzegła nakryty do kolacji stół i rzuciła zdumiona:

– Przygotowałaś kolację?

Jean odgarnął opadające na oczy kosmyki włosów i szepnął zażenowany:

– Byłem pełen dobrych chęci. Skończyło się na zupie w proszku i zapiekany makaronie z serem. Nie zostało ani śladu po wczorajszym cieście, na deser będą jogurty owocowe.

– Uwielbiam zapiekany makaron – stwierdziła z przekonaniem Cathy. – A twoja zupa wyjątkowo ładnie pachnie! Jestem głodna, siadamy do stołu?

– Kiedy tylko zechcesz – odpowiedział Jean, odsuwając żonie krzesło.

Chwilę później siedzieli nad gorącą zupą jarzynową. Cathy z ożywieniem opowiadała o zakupach w Nantes, o obiedzie w naleśnikarni, kolejkach we *Fnac*, zatłoczonym autobusie, drodze do domu. Była zmęczona i zadowolona, tak dawno nie udało się jej urwać na całe popołudnie. Nie przerywając, opowiedziała Jeanowi swój ostatni sen, przyznając, że zwierzyła się Julii. Następnie równie szczegółowo, jak tylko było to możliwe, przekazała zdanie nowej znajomej odnośnie do owych snów. Jean słuchał skupiony, wreszcie wstał i wyjmując z pieca makaron, skomentował krótko:

– Wiesz, że pokoje gościnne są całkiem niezłym pomysłem, godnym rozważenia? Na górze mamy sporo wolnego miejsca, bez trudu moglibyśmy przyjąć w domu letników, nawet w tym roku. Oczywiście wymaga to sporo pracy. Musimy się zastanowić.

– Może masz rację, pomysł jest niezły sam w sobie – rzekła powoli Cathy – ale nie

jestem pewna, czy obecność obcych ludzi za ścianą naszego pokoju jest dobrym rozwiązaniem. Owszem, pozwoliłoby nam to wybrnąć z kłopotów finansowych, niemniej wolałabym oddzielny budynek. No i póki co jest nas dwójka, może kiedyś będziemy mieli dzieci. Przydadzą się dodatkowe pokoje.

– Masz rację. Gdybyśmy tylko mieli do dyspozycji budynki gospodarcze, moglibyśmy je przystosować.

– Zaraz, zaraz. Dom Bernadette jest wyjątkowo duży i chociaż jest obecnie w opłakanym stanie i z pewnością wymaga remontu... mógłby się nadać.

– Co ty pleciesz? Przecież nie należy do nas, nie możemy nim dysponować. I z tego, co sobie przypominam, Bernadette nie odniosła się do ciebie zbyt przyjaźnie. Mylę się?

– Nie, ale w tej sprawie jeszcze nie powiedziałam ostatniego słowa. Tym razem mogę liczyć na pomoc Roberta i Julii. Możesz mi wierzyć, kolejna wizyta będzie zupełnie inna – dorzuciła z przekonaniem, uśmiechając się do męża. – I nie ma co zwlekać, lepiej kuć żelazo, póki gorące. Pojadę tam jutro! Wpadłeś na doskonały pomysł. Wspólnie moglibyśmy zająć się licznymi w okresie letnim turystami. Słowo daję, Jean, jesteś genialny!

– Nie ma w tym mojej zasługi, to twój sen podsunął mi ten pomysł. Wszystko wskazuje na to, że Julia ma rację: te sny nie są przypadkowe, każdy z nich ma swoje znaczenie, pozostaje zrozumieć i zinterpretować je jak należy.

Cathy się uśmiechnęła. Zmęczenie zniknęło bez śladu, czuła się pełna energii i nadziei na przyszłość.

Reszta wieczoru upłynęła na planowaniu przyszłego lata. Zaabsorbowani Cathy i Jean początkowo nie usłyszeli telefonu. Ocknęli się w ostatnim momencie. Romain zapraszał ich na kolację, nalegając, że liczy na ich obecność, kiedy tylko będzie to możliwe, i dając do zrozumienia, że chce pilnie porozmawiać. Cathy spojrzała na męża pytającym wzrokiem i bez wahania zgodziła się na niedzielny wieczór. Musiało chodzić o coś naprawdę ważnego, w przeciwnym razie Romain poczekałby z zaproszeniem, aż Cathy pojawi się w miasteczku po zakupy, a przy okazji wpadnie na herbatę do baru. Młoda para umierała teraz z ciekawości: co mogło być równie pilne? Czy będą jedynymi gośćmi? Ich przyjaciel nigdy nie był tak tajemniczy. Cathy z miejsca postanowiła, że na wszelki wypadek upiecze z samego rana kilka blaszek małych, słonych ciasteczek na *apéritif*, Romain uwielbiał te smakołyki z ptysiowego ciasta zmieszanego z żółtym serem. Jean przypomniał sobie o czekoladowym sercu i ofiarował żonie kilka małych nadzianych serduszek, rozprawiając o zaproszeniu i planując robotę na niedzielny ranek i popołudnie w sposób, który pozwoli mu uwolnić się około osiemnastej.

Niedziela zleciała szybko. Małżonkowie zajęci swoimi sprawami – on gospodarstwem, ona domem i kuchnią – ani się spostrzegli, a nadszedł wieczór. Punkt osiemnasta Jean pojawił się w kuchni, ogolony, pachnący, przebrany w czysty sweter. Cathy była gotowa już od dawna. Czarna, wełniana sukienka i kolorowe rajstopy nadawały jej wygląd nastolatki. Była tak urocza, że Jean ponownie poczuł się dumny: ta młoda, zachwycająca kobieta należała do niego. Pomimo ostatnich kłopotów tego wieczoru był naprawdę szczęśliwy.

Dotarli do domu Romaina w tym samym czasie, co Julia i jej mąż. Przyjaciółki padły sobie w objęcia, a Jean serdecznie uściskał dłoń Martina. Romain ukazał się w drzwiach, zapraszając przybyłych do wejścia. Przy stole siedzieli jego żona i Marie z Robertem. Zdumiona Cathy rzuciła ukradkowe spojrzenie w stronę męża, od razu zdając sobie sprawę, że w pełni dzielił jej uczucia. Wreszcie coś się zmieni, być może pozbędą się kłopotów, a w każdym razie powiększą grono przyjaciół. Przywitali się i usiedli przy stole. Cathy wyjęła rumiane słone ciasteczka z serem i dyskretnie zerknęła na Julię, której twarz natychmiast rozjaśnił uśmiech. Obecni goście zdawali się niczego nie dostrzegać. Cathy z trudem zachowała powagę i jak gdyby nigdy nic zwróciła się do gospodarza:

– Od wczoraj umieramy z ciekawości. Nie daj się prosić i wyjaśnij nam, czemu zawdzięczamy twoje zaproszenie.

– Jeszcze chwilę, pozwól, naleję wina – odparł Romain, sprawnie wypełniając kieliszki. Emma przyniosła tacę z różnymi przekąskami. Były tam orzeszki ziemne, chrupki o smaku pomidorowym, rolada z szynki z białym czosnkowym serem oraz miniparówki na gorąco. Kiedy wszyscy zajęli swoje miejsca, Romain uniósł kieliszek.

– Zdrowie zgromadzonych – rzucił, uśmiechając się do gości.

– Zdrowie – odpowiedzieli zebrani zgodnym chórem.

Emma zaprosiła obecnych do skosztowania przygotowanych przekąsek, jej mąż zaś zwrócił się do Cathy i Jeana:

– Z pewnością wiecie, że w sobotnie popołudnia mam najwięcej klientów. Robert wpada jedynie od czasu do czasu i jak dotąd wymienialiśmy zwykłe uprzejmości: dzień dobry, co nowego, jak tam praca i tak dalej. Wczoraj podyskutowaliśmy jak starzy znajomi, a wszystko dzięki tobie – dodał, zwracając się do Cathy. – Nawet Marie się zgadza: przypadłaś do gustu jej mężowi.

Zdanie to wywołało ogólny wybuch śmiechu.

Romain odczekał chwilę i podjął rozpoczęty wątek:

– Emma zajęła się klientami, ja pogawędziłem z Robertem. My również mamy problemy, kryzys daje się nam we znaki, są dni, kiedy liczę klientów na palcach jednej ręki. Nie zamierzam się poddać. Trzeba by rozbudować nieco nasze miasteczko, jestem pewien, że nowa szkoła przyciągnęłaby młode małżeństwa. Mieszkamy tak niedaleko od Nantes, a dla zakochanych w morzu zaledwie godzinę od wybrzeża. Cathy słusznie zauważyła, że i biblioteka byłaby dobrą inwestycją, w kiosku dostępna jest jedynie prasa, brakuje książek. Dla mnie zmiany te byłyby prawdziwą manną: kto mówi „więcej mieszkańców”, mówi „więcej klientów”, prawda? Wasz problem jest zupełnie inny, chociaż wspomniane zmiany byłyby bez wątpienia korzystne dla nas wszystkich. Wpadliśmy na pomysł: dobrze byłoby, gdybyście mogli sprzedawać warzywa i owoce bezpośrednio na fermie. Już wyjaśniam – dodał Romain, gestem powstrzymując gotową do rzucenia mu się na szyję Cathy. – Jak dotąd trzy z pięciu leżących w pobliżu gospodarstw zdają sobie sprawę z konieczności współpracy i wzajemnego wsparcia, żeby przetrwać i wyjść na swoje w obecnej, trudnej sytuacji ekonomicznej. Pozostają dwa do przekonania. Robert powiedział mi, że nie będzie to łatwe. Bernadette i jej mążonek posiadają sporo przybudówek, wprowadzie nadających się do remontu, ale można by otworzyć u nich sklep, który wszyscy możecie zaopatrywać, zależnie od waszych

możliwości i sezonu. Budynki te są póki co bezużyteczne i z tego powodu podupadłe; a przecież niewiele trzeba, żeby temu zaradzić.

Cathy siedziała jak na szpilkach. Przestała zwracać uwagę na Julię, która niemalże zjadła cały talerzyk serowych ciasteczek. Nie widziała skupionych twarzy Marie, Roberta, Emmy ani zamyślanej miny Jeana. Nadszedł moment podzielenia się z obecnymi pomysłem, na który wpadł Jean, wysłuchawszy relacji z jej ostatniego snu. Nie namyślając się dłużej, uniosła dłoń. Romain przerwał i spojrzał na nią, mówiąc:

– No dobrze, twoja kolej. I tak nie wytrzymasz dłużej.

Cathy odpowiedziała promiennym uśmiechem i stwierdziła:

– Przyganiał kocioł garnkowi. Ty i ja jesteśmy największymi gadułami w tym miasteczku – dorzuciła.

Goście roześmiali się ponownie. Jedyne Romain pogroził kobiecie palcem. Nie zważając na jego gest, Cathy opisała projekt pokoi gościnnych. Oczywiście, każdy z nich miał już sporo pracy, ale wspólnie mogli z powodzeniem zająć się gośćmi i zarobić trochę pieniędzy. Dorzuciła, że zastanawiając się nad tym nowym pomysłem, oboje z Jeanem doszli do wniosku, że Bernadette i jej mąż posiadają zbędne budynki gospodarcze, a te ostatnie po remoncie mogłyby zamienić się w przytulne pokoje gościnne. Turyści coraz chętniej szukali pokoiów do wynajęcia: po pierwsze kryzys zmuszał ich do ograniczenia sum przeznaczanych na wypoczynek, po drugie miło było dzielić posiłek z gospodarzami farmy. Proste, domowe jedzenie było nie tylko tańsze niż to w menu restauracji, ale często znacznie smaczniejsze i przygotowane ze świeżych, wiejskich produktów.

Marie i Emma potaknęły jej słowom. Robert uśmiechnął się półgębkiem i dyskretnie puścił oko do Romaina. Jean spoglądał na żonę zakochanym wzrokiem. Julia wreszcie przestała się opychać i klasnęła w dłonie.

– To świetny pomysł! Jutro idziemy z wizytą do Bernadette, no, może nie wszyscy naraz, chętnie pójde z Cathy.

Tym razem zgromadzeni uśmiechali się aż do łez. Pierwsza ocknęła się Emma.

– Moja pieczeń! – krzyknęła i pospiesznie opuściła pokój.

Romain opanował się również i obwieścił gościom, że czekała na nich pieczeń wołowa z ziemniakami i sałatą. Teraz rozweselone towarzystwo zabrało się do pomocy, wspólnie zbierając ze stołu resztki po *apéritifie*. Pojawiła się Emma.

– Macie szczęście, mało brakowało, a musielibyście zadowolić się ziemniakami z sałatą – oznajmiła, podając gościom talerze i sztucce.

Cathy i Julia nakryły do stołu. Emma zniknęła ponownie i tym razem Romain poszedł w jej ślady. Wrócili, niosąc duży półmisek z pokrojonym mięsem, zarumienionymi ziemniakami, salaterkę z sałatą i kolejną butelkę wina.

Kolacja była udana, dyskutowano, przekomarzano się i bawiono do późnego wieczora. Julia ziewnęła pierwsza i ciągnąc za sobą Martina, z żalem pożegnała obecnych. Marie skinęła na Roberta i podziękowała Emmie za zaproszenie. Następnie zwróciła się do Cathy i Jeana:

– Przykro mi, że tak chłodno odniosłam się do was, kiedy się poznaliśmy. Tak już jest i nie mogę tego zmienić. Ale możecie liczyć na moją pomoc w razie potrzeby.

Nie wahając się dłużej, cmoknęła zdumioną Cathy w policzki i uściśnęła dłoń

Jeana.

Robert ucałował obecnych, dziękując Romainowi i Emmie za udany wieczór. Wychodząc, poprosił Jeana, żeby przywiózł Cathy w odwiedziny, kiedy tylko znajdzie na to czas.

Cathy pomogła Emmie zebrać ze stołu. Romain dyskutował jeszcze z zaspanym Jeanem. Znali się od ponad trzech lat i lubili od samego początku. Łączyła ich przyjaźń oparta na wzajemnym zaufaniu. Romain doskonale rozumiał niepokój przyjaciela związany z przeszłością jego gospodarstwa. Tego wieczora dostrzegł we wzroku Jeana odrobinę nadziei, nie chciał go zawieść.

– Fajny pomysł z tymi pokojami. Trzymam kciuki, Bernadette nie wydaje się osobą skłoną do ustępstwa.

– Nie znam jej, za to doskonale znam własną żonę – odparł spokojnie Jean. – Cathy nie ustąpi, dopóki nie postawi na swoim. Tym bardziej, jeśli wystąpi w duecie z Julią – dorzucił z przekonaniem.

– Te dwie doskonale się rozumieją – przyznał Romain, przyjaznym gestem poklepując Jeana po plecach. – Mogę się mylić, ale coś mi się wydaje, że niedługo będziemy mieli sporo atrakcji.

Jean się uśmiechnął.

– Oj, tak – rzucił ze zrozumieniem. – Znosi się na prawdziwą kobietą wojnę. Cathy potrzebuje trochę rozrywki, ostatnie wydarzenia wciągnęły ją na całego. Jest weselsza, stale się uśmiecha, rozpira ją energia. Przyznaję, że jej zazdroszczę, trudno mi zapomnieć o kłopotach. Mam wrażenie, że nasze królowe skończyły zmywanie, stary. Czas wracać do domu – podsumował, ziewając.

*

Kaisa podniosła głowę. Musiała oderwać się choćby na chwilę od mrozących krew w żyłach zdjęć ostatniej ofiary. Zerknęła na zegarek. Dochodziła dwudziesta trzecia trzydzieści. Wyprostowała się i ociężale skierowała w stronę małej kuchenki. Nadszedł czas na wypicie kolejnej kawy. Nie tak dawno jeszcze starała się wracać do domu przed północą, teraz nie miało to już znaczenia. Z dała od mieszkającej w Sztokholmie rodziny Kaisa szybko nawiązała przyjacielskie stosunki z kolegami i koleżankami z pracy. Jej podwładni tworzyli zżytą grupę, nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości: pomagali sobie, podtrzymywali się na duchu w trudnych chwilach, zawsze znajdując czas na rozmowę przy lampce wina czy dobrym piwie po pracy.

Kaisa była spokojna, opanowana, cierpliwa. Miała łatwy charakter, budziła zaufanie. Bez trudu przejęła kierowanie komisariatem w Karlstadzie. Nie spodziewała się podobnej promocji. Do dzisiaj pamiętała dumę, którą odczuwała, dzieląc się tą informacją z rodzicami. Była ich jedyną córką, codziennie ryzykowała życie. Matce trudno było przyzwyczać się do tej myśli, poczuła się więc załamana, słysząc o przeprowadzce jedynaczki, przekonana, że Kaisa wykonująca tak trudny zawód potrzebowała kogoś, kto troszczyłby się o nią każdego dnia. Z właściwym sobie spokojem i determinacją Kaisa wytłumaczyła jej, że czuła się wystarczająco dorosła i mogła poradzić sobie sama. Obiecała, że zadzwoni do rodziców przynajmniej raz lub dwa w tygodniu, i jak dotąd

dotrzymała słowa. Od dziecka marzyła o tym zawodzie, z pasją pochłaniając wszystkie dostępne kryminały i nie opuszczając ani jednego filmu sensacyjnego w telewizji. Nie spodziewała się, że owe marzenia tak szybko zmienią się w rzeczywistość. Miała trzydzieści lat i przypadło jej stanowisko inspektora policji kryminalnej! Pracowała ciężko, nie licząc godzin, zaniedbując swoje prywatne życie. Kilka dni temu rozstała się z kolejnym chłopakiem. Żaden nie był w stanie przystosować się do jej trybu życia. Praca pochłaniała ją dniem i nocą.

Dopijając ostatnie łyki gorącej kawy, już zamierzała wrócić za biurko, kiedy usłyszała pospieszne kroki. Do lokalu wtargnął dyżurny sierżant – Lars. Na sam widok jego twarzy ogarnęły ją złe przeczucia. I nie pomyliła się.

– Patrol zawiadomił mnie o kolejnym zabójstwie. Turyści odkryli ciało. Jak zwykle na brzegu jeziora. Wiedziałem, że jeszcze tu panią znajdzie, pani inspektor.

Nie namyślając się ani chwili, Kaisa wyciągnęła z szuflady broń i pospiesznie opuściła komisariat.

Radiowóz czekał przed wejściem. Najwyraźniej sierżant znał ją wystarczająco dobrze, żeby być pewnym, że z miejsca zechce udać się na miejsce zbrodni i to bez względu na godzinę. Gestem pozdrowiła znajomego policjanta siedzącego za kierownicą. Od jeziora Vänern dzieliło ich około dziesięciu kilometrów. Wóz ruszył natychmiast. Kaisa ledwie zdążyła zapiąć pas bezpieczeństwa. Odwróciła się w stronę kierowcy, nawiązując rozmowę:

– Kto jest w terenie?

– Ingvar i jego ekipa. Mają dyżur do jutrzejszego wieczoru.

– To oni zadzwonili?

– Z tego, co zdążyłem się dowiedzieć, tak. Minęli pędzący pełną parą samochód, który zahamował, ryzykując wypadek, kiedy kierowca dostrzegł wóz policji. Para turystów spędzająca wakacje nad jeziorem... Trzęśli się ze strachu. Nie byli w stanie powiedzieć niczego więcej oprócz „tam... trup...”. Ingvar zdecydował, że nie może pozwolić im usiąść za kierownicą, najwyraźniej byli w szoku. Odebrał kluczyki i wsadził ich do radiowozu. Nie protestowali, udało mu się ich uspokoić na tyle, żeby wyciągnąć od nich kilka niezbędnych informacji. Kierujemy się w stronę Hallviksvägen.

– Coś konkretnego na temat samej ofiary?

– Ten sam schemat, zupełnie jakby temu skurwielowi brakowało wyobraźni. O, przepraszam, pani inspektor.

Kaisa pominęła uwagę, skupiając się na pytaniach.

– Kobieta czy mężczyzna?

– Kobieta – odpowiedział sierżant, zaciskając dłonie na kierownicy.

Z trudem ukrywał złość.

Od ponad miesiąca w tym spokojnym na ogół regionie mnożyły się zbrodnie. Pierwsza zbulwersowała najbardziej zatwardziały policjantów brygady kryminalnej w Karlstadzie. Ofiarą był młody mężczyzna, adwokat pracujący i mieszkający w Sztokholmie, który spędzał weekend nad jeziorem Vänern w towarzystwie kilku znajomych. Po suto zakrapianej kolacji oświadczył kolegom, że potrzebuje świeżego powietrza, i udał się na spacer, z którego nigdy nie wrócił. Znaleziony wczesnym rankiem

na brzegu mężczyzna zakopany był w piasku aż po szyję. Otwarte usta wypełniał piach. Przy głowie wbito krzyż i złożono bukiet świeżych polnych kwiatów. Wszystko wskazywało na to, że młody adwokat został pogrzebany żywcem. Po dokonaniu sekcji zwłok lekarz medycyny sądowej potwierdził tę wersję – ofiara zmarła na skutek uduszenia piaskiem wypełniającym gardło. Nie znaleziono śladów świadczących o tym, że zmarły usiłował się bronić, żadnych kontuzji, zadrapań, śladów uderzeń... Niczego. Brakowało także świadków. Ofiara znaleziona została przez miejscowego strażaka, który od lat zaczynał dzień od półgodzinnej przechadzki brzegiem jeziora. W pobliżu nie było nikogo. Liczne ślady na piasku prowadziły donikąd. Sprawa zdawała się równie tajemnicza, co bulwersująca.

Wydarzenia bardzo szybko przybrały niepokojący obrót. Kilka dni później znaleziono kolejną ofiarę. Tym razem była nią młoda kobieta, zamordowana w identyczny sposób. Podobny krzyż i kolorowy bukiet ozdobiły nowy grób. Kobieta pochodziła z małego miasteczka – Grums – gdzie zajmowała posadę księgową w jednym z nielicznych przedsiębiorstw. Co robiła nad jeziorem? Śledztwo wykazało, że przyjeżdżała tutaj często, zwłaszcza wiosną. Znajomi zmarłej, których wezwano na przesłuchanie, zgodnie przyznali, że pobyt nad jeziorem był dla niej odskocznią, możliwością oderwania się od kłopotów w pracy. Przyjeżdżała sama, nikt nie wiedział, czy znała kogoś w tej okolicy.

Kaisa nie ustąpiła. Przeszukano wszystkie hotele w promieniu pięciu kilometrów od miejsca zbrodni. Bez rezultatu. Nikt nie rozpoznał młodej kobiety ze zdjęcia. Po naradzie z podwładnymi Kaisa zdecydowała, że lepiej będzie wstrzymać się od wmieszania w sprawę prasy i mediów. Wolała poczekać i nie ujawniać ostatnich wydarzeń, dopóki było to możliwe.

Minęły dwa dni. Czas ten zleciał na poszukiwaniu miejsca, w którym mogła zatrzymać się młoda księgowa. Trzeciego dnia rano w komisariacie pojawiła się kobieta w średnim wieku, oznajmiając, że chce porozmawiać z inspektorem. Dyżurny sierżant powiadomił o tym Kaisę przebywającą właśnie w terenie. Kobieta nie chciała wyjawic powodu swojej wizyty. Upierała się przy swoim: rozmawia jedynie z inspektorem, z nikim innym. Jak zwykle spokojna i opanowana Kaisa zorganizowała się szybko: zleciła śledztwo w terenie Ingvarowi i wróciła do komisariatu. Sierżantowi udało się zatrzymać upartego gościa. Na widok Kaisy kobieta zaniemówiła. Na jej twarzy malowało się nieukrywane zdziwienie. Nie tracąc spokoju, Kaisa się przedstawiła:

– Dzień dobry, inspektor Kaisa Carlsson. Chce pani porozmawiać, proszę za mną.

To mówiąc, objęła skamieniałą kobietę i zaprowadziła ją do swojego biura, gestem wskazując wolne krzesło.

– Słucham panią – rzuciła krótko.

Przybyła ocknęła się wreszcie i odezwała niepewnym głosem:

– Przepraszam, nie spodziewałam się.

– Nie pani jedna – odparła Kaisa. – Przyzwyczaiłam się i rozumiem. Nikt nie spodziewa się, że inspektorem policji kryminalnej może być osoba w moim wieku, a do tego kobieta. W czym mogę pani pomóc? – dodała zachęcającym głosem.

– Nie bardzo wiem, od czego zacząć. Przyszłam, bo się niepokoję. Od kilku lat

wynajmuję pokój należący niegdyś do mojego syna letnikom i przejezdnym gościom. Mam niską rentę i problemy zdrowotne, trochę pieniędzy ułatwia mi codzienne życie. Wiosną pokój często jest zajęty jedynie w soboty i niedziele.

Kobieta zawahała się i spojrzała na Kaisę, szukając słów. Ta druga instynktownie zrozumiała, że miała przed sobą świadka ostatniej sprawy. Wreszcie znalazła osobę, u której zatrzymała się młoda księgowa.

– Chętnie napiłabym się czegoś. Woli pani kawę czy herbatę? – zapytała zdezorientowaną kobietę.

– Kawę, dziękuję, pani inspektor.

– Na imię mi Kaisa. Proszę chwilkę poczekać, zaraz wracam.

Dwie minuty później Kaisa postawiła na biurku dwie czarne kawy i talerzyk z bułką drożdżową. Kobieta najwyraźniej doszła do siebie. Dużo spokojniejsza podjęła swoją opowieść:

– Kilka lat z rzędu gościłam młodą kobietę, bardzo miłą księgową z Grums. Niepokoję się, nie wróciła od dwóch nocy. Początkowo myślałam, że może kogoś poznała. Wreszcie doszłam do wniosku, że zawiadomiłaby mnie w podobnym przypadku. No i zapłaciłaby za pobyt. Nie wiem, co się stało – dodała zaniepokojona.

Kaisa otworzyła szufladę i wyjęła z niej dużą, szarą kopertę.

– Mam smutną wiadomość – powiedziała powoli. – Jeśli się nie mylę, straciła pani klientkę.

Kobieta nagle pobladła. Wpatrywała się w Kaisę przerażonym, niedowierzającym wzrokiem. Ręce kurczowo trzymały pustą filiżankę po kawie.

– Bardzo nam pani pomoże, zerkając na te zdjęcia. Proszę się nie obawiać, to fotografie młodej kobiety, które dali nam jej znajomi i przyjaciele z Grums. Chciałabym się upewnić, że rozmawiamy o tej samej osobie. Zechce pani rzucić okiem?

– Tak, jestem gotowa.

Kaisa wyjęła z koperty trzy różne zdjęcia. Przybyła skinęła głową. W oczach zakręciły się jej łzy.

– Przypuszczam, że... – zaczęła ochryplym z emocji głosem – ...stało się coś złego?

– Tak – potwierdziła Kaisa. – Coś bardzo złego. Śledztwo jest w toku. Proszę panią o zachowanie dyskrecji i zapewniam, że zrobimy, co w naszej mocy, żeby znaleźć winnego. Poproszę, żeby odwieziono panią do domu, dobrze?

– Dziękuję – wybąkała kobieta, podnosząc się z krzesła.

Kaisa odprowadziła ją do holu i szybko zamieniła kilka słów z dyżurnym sierżantem.

– Dziękuję za odwagę, bardzo nam pani pomogła. Proszę usiąść tutaj na chwilę, zaraz podjedzie radiowóz. Przykro mi, ale muszę panią zostawić.

Kobieta skinęła głową i posłusznie usiadła na krześle, wzdychając. W tym momencie sprawiała wrażenie dużo starszej i zmęczonej. Nie spodziewała się podobnego obrotu sprawy. Zamordowano jej gościa, nigdy więcej nie zobaczy tej młodej księgowej. Zamyślona dała się zaprowadzić do radiowozu czekającego na nią przed wejściem.

Kaisa nie traciła czasu. Bezzwłocznie powiadomiła Ingvara o rezultacie rozmowy

z nieznaną kobietą. Teraz wiedzieli, gdzie zatrzymała się ofiara na czas swojego pobytu nad jeziorem. Ingvar zaproponował, żeby podyskutowali w pobliskim barze. Inspektor przystała na propozycję. Czas leciał szybko i działał na ich niekorzyść, niemniej nie mogła poświęcać całego dnia na pracę. Kawa nie wystarczy, trzeba coś zjeść. W pośpiechu uczesała włosy i podmalowała usta. Rzuciła okiem w lusterko. Była blada, zmęczona i nawet staranny makijaż nie był w stanie ukryć rysujących się pod oczami sińców. „Jakże mogłoby być inaczej – zbesztła się w myślach – od pierwszego zabójstwa spałam jedynie kilka godzin. Całe szczęście, że mama mnie nie widzi” – pomyślała, wychodząc z komisariatu.

Od baru dzieliło ją kilkaset metrów. Kaisa przeszła je pieszo. Brakowało jej ruchu i powietrza. Otwierając drzwi do lokalu, z dala dostrzegła uniesioną dłoń Ingvara. Uśmiechnęła się i skierowała w jego stronę. Usiadła, rzucając:

– Tylko mi nie mów, że wyglądam na zmęczoną. To prawda... I zamierzam zjeść spokojnie kopiasty obiad włącznie z deserem. Potem porozmawiamy o naszych sprawach. Myślałam o zebraniu popołudniu, co ty na to?

– Dobry pomysł. Mamy coraz więcej elementów, dobrze byłoby porównać obie ofiary, zastanowić się nad tym, co je łączyło, co dzieliło, spróbować zrozumieć, czy morderca wybrał je przypadkowo, czy kierował się opracowanym schematem.

– Zgadza się. Mam ochotę na pieczonego kurczaka i fasolkę szparagową. A ty?

– Chyba pozostanę wierny talerzowi spaghetti w sosie pomidorowym. Od dziecka mam słabość do kluchów.

– Jakim cudem ukrywasz brzuch? – zapytała zdumiona. – Mogę pozwolić sobie na makaron raz, no, najwyżej dwa razy w tygodniu.

Zbliżyła się kelnerka i przyjęła zamówienia. Zostali sami. Rozmowa potoczyła się gładko. Ingvar był otwartym młodym mężczyzną. Przyjaźnił się ze wszystkimi kolegami. Od pierwszych chwil odniósł się do niej jak do starej znajomej, nie okazując zdumienia z powodu jej wieku czy płci. Kaisa ufała mu instynktownie. Rozumieli się doskonale. Miała szczęście, cała ekipa komisariatu była wyjątkowo sympatyczna.

Na ponad godzinę udało im się zapomnieć o pracy i skupić się na planach na przyszłe wakacje. Była wiosna, letnie urlopy już zostały zatwierdzone. Ingvar wybierał się do Francji, jak sam stwierdził, potrzebował radykalnej zmiany klimatu. Kaisa zamierzała spędzić pierwszy tydzień u rodziców, w Sztokholmie. Potem zobaczy, jeszcze parę miesięcy temu marzyła o podróży do Wenecji. Teraz była sama. Co niby miałyby robić sama w mieście, do którego udawali się zakochani z całego świata? Jeszcze nie postanowiła, gdzie spędzi drugi tydzień. Zastanowi się i zdecyduje w ostatniej chwili. Roześmiała się i zmieniła temat, pytając Ingvara, jaki region Francji zamierzał zwiedzić. Zdumiona usłyszała w odpowiedzi, że kolega każdego roku wyjeżdżał za granicę. Potrzebował prawdziwej zmiany. Lubił swój zawód, ale ciążyły mu nadgodziny, długi czas spędzony na patrolowaniu, cała masa papierów do wypełnienia po skończonych dyżurach. Ingvar odnosił wrażenie, że opuszczając Szwecję, zapomni o tym wszystkim, i zwykle mu się to udawało. Wracał wypoczęty, pełen energii i ochoty do pracy. Zwiedził już Norwegię i Finlandię, a także Niemcy, Danię i północną część Polski. Francja leżała nieco dalej, ale zawsze go kusila. Wreszcie się zdecydował, stwierdził. Kaisa wyczuła

wahanie. Uniosła głowę i trafiła prosto na ciemne, błyszczące oczy kolegi. Na chwilę poczuła się nieswojo. Opanowała się szybko, rzucając, że również powinna wybrać się za granicę, zapomnieć, wypocząć, oderwać się od ciężającej pod względem fizycznym i moralnym pracy. Kończąc zdanie, zerknęła na zegarek.

– No, popatrz, godzina zleciała jak pięć minutek. Lecimy i zwołuję zebranie?

Ingvar skinął głową. Wstał i uprzedzając Kaisę, udał się w stronę kontuaru, żeby uregulować należność za posiłek. Kaisa uśmiechnęła się tylko.

– Następnym razem ja zapraszam – powiedziała, kiedy znaleźli się na ulicy. – Koniec przerwy, musimy jak najszybciej złapać tego łajdaka, zanim popełni następne przestępstwo.

Zebranie zaczęło się równo o piętnastej. Na przygotowanej przez Kaisę białej tablicy widniały zdjęcia obu ofiar – przed śmiercią i po niej. Obok zanotowała kilka znanych im informacji: daty i miejsca urodzenia, zawód, powód pobytu nad jeziorem Vänern i miejsce, gdzie się zatrzymali na czas wakacji. Przez dobrą godzinę szukano cech łączących ofiary. Bez rezultatu. Oprócz zbliżonego wieku zmarli pozornie nie mieli ze sobą nic wspólnego. Za to dzieliło ich wiele: płeć, zawód, zarobki. Ktoś zwrócił uwagę, że obie ofiary były samotne. Nie mieli czasu, żeby zastanowić się nad tym odkryciem. Do biura wtargnął Lars.

– Jest nowa ofiara! – oznajmił głośno. – Znalazona przez dzieciaki. Wracały po szkole. Najmłodszy ma tylko dziesięć lat. Jest w szpitalu, w stanie szoku.

Przez chwilę panowało zamieszanie. Obecni wymieniali uwagi zdenerwowani, podnieceni, pełni oburzenia. Łajdak nie tracił czasu, a może to oni nie stanęli na wysokości zadania. Kaisa poprosiła o ciszę. Spokojnym głosem wydała polecenia, nie było mowy o wczesnym skończeniu pracy, potrzebowała każdego z nich. Uformowała ekipy. Dwie osoby udadzą się z nią na miejsce nowej zbrodni. Trzy zbadają okolicę i wypytają wszystkie napotkane osoby, czy nie dostrzegły czegoś podejrzanego. Ingvar i pozostali koledzy zostaną w komisariacie i postarają się kontynuować rozpoczętą pracę. Liczyła na ich pomoc również przy identyfikacji zwłok, kiedy tylko prześle im zdjęcia. Upewniwszy się, że wszystko było jasne, Kaisa skinęła na dwóch najbliższych policjantów i skierowała się ku wyjściu. W drzwiach zawróciła i szeptem zapytała Larsa:

– Kim jest ofiara?

– Mężczyzna, dzieci nie mogły powiedzieć, w jakim wieku. Zadzwoił ojciec jednego z nich, niejaki Goran Eriksson. Mam jego adres – odparł Lars, wyciągając w stronę koleżanki kartkę.

– Ekipa udająca się w teren zaraz tu będzie, proszę przekazać im te dane. My jedziemy bezpośrednio na miejsce zbrodni – oznajmiła, udając się w ślad za czekającymi przed wejściem kolegami.

Trójka policjantów w milczeniu przebyła kilometry dzielące ich od jeziora. Kaisa nie miała już wątpliwości, czekał na nich kolejny zaimprovizowany grób. Wszystko działo się tak szybko. Morderca nie tracił czasu. W myślach szukała przykładów równie okrutnych i częstych zbrodni. Coś tu się nie kleiło. Czy powinna poprosić o pomoc? Cała brygada kryminalna w Karlstadzie była na nogach, ale Kaisa nabrała teraz pewności, że wszyscy byli już zmęczeni, potrzebowali wytchnienia. Zdecydowała szybko: poczeka do

wieczora, zorganizują kolejne szybkie zebranie, podejmą decyzję. Tak, liczyła się ze zdaniem swoich podwładnych. Polegała na nich, a oni mogli liczyć na jej wsparcie.

Ofiara wyglądała dokładnie tak, jak się tego spodziewali. Jedyne silny wiatr przysypał piaskiem twarz zmarłego i bukiet polnych kwiatów. Lekarz medycyny sądowej już był na miejscu, co oznaczało, że Lars nie tracił czasu.

– Dzień dobry – rzucił na widok zbliżającej się ekipy z Kaisą na czele. – Rzecz jasna, musimy poczekać na sekcję zwłok, ale na pierwszy rzut oka mamy do czynienia z tą samą procedurą. Ofiarę pochowano żywcem. Nie bronila się. Zmarła uduszona piaskiem. Więcej wiadomości za kilka godzin – dodał. – Poczekamy przy samochodzie, proszę dać nam znać, kiedy możemy ją odkopać.

– Nie zostaniemy długo – odparła Kaisa.

Ofiara była w mniej więcej tym samym wieku co poprzednie. Krzyż był identyczny, bukiet kwiatów również. „Nie obejdzie się bez szukania śladów w pobliżu” – pomyślała Kaisa, dobrze wiedząc, że owa formalność nie doprowadzi ich do żadnego konkretnego wniosku. Na plaży przebywało codziennie mnóstwo osób, a dzisiejszy wiatr nie ułatwiał zadania, zasypując większość odcisków stóp bosych czy też nie. Jak dotąd nie udało im się zrozumieć, jak przemieszczał się morderca. Czyżby na piechotę? Wydawało się to niemal niewiarygodne, ale nie mieli dowodu, że był zmotoryzowany.

Policjanci zrobili kilka zdjęć i wrócili do komisariatu, pozostawiając ciało ekipie lekarza sądowego. Należało jak najszybciej zidentyfikować ofiarę i zawiadomić rodzinę lub bliskich. Tym razem wydawało się to bardziej skomplikowane. Nikt nie zgłosił zaginięcia. Kaisa dobrze wiedziała, że teraz już nie unikną mediów. Okoliczni mieszkańcy zaczną się niepokoić i chcąc nie chcąc, staną się rozmowni. Niedługo wszyscy będą wiedzieli, że w okolicach jeziora Vänern grasuje seryjny morderca. Prasa i telewizja pomogą w identyfikacji ostatniej ofiary, ale przy okazji przyczynią się do wywołania paniki. „Nie poddać się emocjom – myślała Kaisa. – Zachować spokój i zimną krew, w przeciwnym razie śledztwo nie posunie się ani kroku naprzód”.

Zaraz po powrocie do komisariatu Kaisa wypila ciepłą kawę i sięgnęła po banana. W kuchence komisariatu zawsze były świeże owoce. Każdy z kolegów przynosił od czasu do czasu po kilogramie jabłek, bananów, śliwek czy innych pyszności pozwalających odzyskać nieco energii w czasie dyżuru. Zjadła na stojąco i skierowała się w stronę swojego biura. Zacznie od powiadomienia miejscowej prasy, dobrze byłoby, żeby wysłali korespondenta tutaj, do komisariatu. Poprosi, żeby przyłączył się do nich na wieczorne zebranie, co pozwoli mu na uzyskanie niezbędnych informacji, a oni unikną straty czasu. Być może trzeba będzie przekazać portret roboczy ofiary, zawsze to mniej szokujące niż zdjęcie prosto z miejsca zbrodni.

Już podniosła słuchawkę, kiedy Lars zapukał do drzwi.

– Proszę – rzuciła Kaisa, zawieszając dłoń w powietrzu.

– Mamy prasę.

– Już? Jakim cudem?

– Szpital – odparł Lars. – Dziesięcioletek lądujący na pogotowiu w stanie szoku z miejsca rozwiązał języki.

– Powinnaś była się tego spodziewać. Właśnie miałam zawiadomić prasę. Niech

poczekają, zwołuję kolejne zebranie za... powiedzmy, dobrą godzinę.

– Dobrze, pani inspektor.

– Proszę dać mi znać, kiedy wróci ostatni patrol.

Lars skinął głową i niezwłocznie wrócił do pracy.

Kaisa oparła się wygodnie. Potrzebowała chwili odpoczynku. Przymknęła oczy, wyciągnęła przed siebie długie, zgrabne nogi. W tej pozycji zastał ją Ingvar, który wchodził jak zwykle pukając, ale nie czekając na zaproszenie. Po raz pierwszy wyglądał na zmieszanego.

– Nie przejmuj się – powiedziała cichym, zaspanym głosem. – Chciałam tylko wyciszyć się na chwilę. Chodź, siadaj.

Ingvar przysunął krzesło bliżej biurka.

– Pomyślałaś o ewentualnym wsparciu. Teraz jesteśmy pewni: chodzi o seryjnego mordercę, nie wiemy tylko, kiedy się zatrzyma. Jak dotąd przybrał niezłe tempo.

– Tak, chciałam porozmawiać o tym na zebraniu. Mam zamiar poprosić o pomoc brygadę kryminalną w Sztokholmie, mają o wiele więcej ekip niż my. Przed podjęciem ostatecznej decyzji chciałam, żeby wszyscy wyrazili swoją opinię.

Ingvar się uśmiechnął.

– Jest to jeden z powodów, dla którego koledzy obdarzają cię szacunkiem.

– Co takiego? O czym mówisz?

– Liczysz się z ich zdaniem. Cenią to – usłyszała w odpowiedzi. – To i kilka innych zalet. Nie przeszkadzam ci dłużej, potrzebuję kawy. Do zobaczenia za kilka minut.

Ingvar wyszedł, delikatnie zamykając za sobą drzwi. Kaisa rozbudziła się na dobre: o jakich zaletach mówił? Od początku odnosił się do niej po przyjacielsku, a ona obdarzała go bezgranicznym zaufaniem. „Coś się zmieniło” – pomyślała, przywołując obraz ciemnych oczu kolegi. Poczula się nieswojo, zupełnie jak podczas obiadu. Wyprostowała się, przeciągnęła i sięgnęła po czystą kartkę. Po chwili skupiona na notowaniu punktów, które pragnęła poruszyć na zebraniu, zapomniała o prywatnym życiu i kłopotach. Uwielbiała swój zawód. Nawet gdyby miała poruszyć niebo i ziemię, znajdzie tego łajdaka, nie pozwoli, żeby ktokolwiek bezkarnie popełniał równie okrutne zbrodnie. Muszą się skupić, nie dopuścić do kolejnego fatalnego obrotu sprawy. Trzy morderstwa wystarczą.

Kaisa zabrała kartkę i w pośpiechu udała się do dużego pomieszczenia służącego zwykle w razie wyjątkowych zebrań całego personelu. Sala była pusta. Kwadrans dzielił ją od wyznaczonej godziny zebrania. W pośpiechu zanotowała na białej tablicy uwagi widniejące na kartce, następnie cofnęła się i uważnie przyjrzała całości. Przed nią widniały teraz zdjęcia trzech ofiar, z których ostatnie przyprawiało ją o mdłości: jak dotychczas mieli jedynie zdjęcia pośmiertne, które z pewnością do głębi poruszają personel niepracujący w terenie. Jak na potwierdzenie tych przypuszczeń za jej plecami rozległ się zdławiony krzyk. Kaisa odwróciła się gotowa do interwencji. W drzwiach stała najmłodsza z policjantek – Agneta – która dołączyła do brygady zaledwie dwa miesiące temu. Dziewczyna zakryła usta dłonią, odważnie weszła do sali i opadła na pierwsze napotkane krzesło.

– Przepraszam, pani inspektor.

Kaisa zdobyła się na uśmiech.

– Właśnie się zastanawiałam, czy zdołam uprzedzić podobne reakcje. Każdemu z nas trudno jest patrzeć na podobne zdjęcia, nawet po upływie kilku czy kilkudziesięciu lat. – To mówiąc, przyjaźnie poklepała Agnetę po plecach. – Chcesz się czegoś napić?

Agnetę potrząsnęła głową i dochodząc do siebie, zdobyła się na pytanie:

– Nie pozwolimy na więcej morderstw, prawda?

– W każdym razie zrobimy, co tylko będzie w naszej mocy – odparła Kaisa. – Mam kilka pomysłów, o których za chwilę porozmawiamy.

Do sali wchodzili teraz pozostali koledzy, pojedynczo lub małymi grupami. Szepcząc, zajmowali wolne miejsca. Kaisa czekała spokojnie, a kiedy sala się wypełniła, bez zwłoki zaczęła zebranie. Dyskutowali przeszło godzinę, a Kaisa notowała na tablicy uwagi i spostrzeżenia każdego z nich. Biała ściana wypełniała się szybko. Byli zbulwersowani, zbuntowani i gotowi do stawienia czoła szaleńcowi.

Kilka dni później Kaisa pamiętała najmniejsze szczegóły tego zebrania i nadaremnych, bezsilnych poszukiwań z ostatnich dni. Siedziała teraz w radiowozie kierującym się w stronę kolejnej ofiary. Ocknęła się, kiedy się zatrzymali. Nie czekając, wyskoczyła z samochodu. Szybkim krokiem skierowała się w stronę plaży. Myślała, że wie, czego się spodziewać. Już po pierwszych wymienionych z kierowcą słowach zrozumiała, że morderca powielał ten sam schemat, przeplatając ofiary płci męskiej i żeńskiej. Może powinni pilnować każdej kobiety mieszkającej lub przebywającej nad jeziorem? „To idiotyczne, jestem zmęczona” – zganiła się natychmiast. Uniosła głowę i zatrzymała się, spostrzegając zbliżającego się ku niej Ingvara.

– Poczekaj chwilę, muszę cię uprzedzić. Znam ofiarę. Prawdę mówiąc, zna ją duża część mieszkańców. To nauczycielka z Karlstadu.

– Miejscowa nauczycielka? – powtórzyła Kaisa jak echo. – Łajdak zmienił taktykę, czy o to mu chodziło? Chciał nas przestraszyć przed zadaniem ostatecznego ciosu, tak?

Ingvar milczał. Wreszcie podszedł i objął Kaisę ramieniem. Bezwiednie oparła o nie głowę, zdając sobie sprawę, że chłodny wieczór przeszywał ją dreszczem. A może to emocje?

– Jest lepiej – powiedziała po chwili. – Co zrobiłeś z turystami?

Ingvar nadal trzymał ją w ramionach. Odpowiedział ochryłym głosem:

– Są w radiowozie. Napili się kawy, dałem im koce. Są bezpieczni, Kaisa.

– Idziemy – rzuciła zdecydowanym głosem.

– Dobrze – potwierdził Ingvar i przybierając profesjonalny ton głosu, relacjonował:

– Tak jak wspomniałem, ofiarą jest kobieta. Kolejny grób, czekamy na lekarza medycyny sądowej.

Zatrzymali się przed grobem. Obecny sierżant zapalił reflektor, pozwalając im przyjrzeć się z bliska zmarłej. Kaisa nie знаła kobiety. Ufała Ingvarowi, skoro twierdził, że ofiarą była nauczycielka z Karlstadu, z pewnością wiedział, co mówi.

– Jutro przyjeżdża grupa policjantów ze Sztokholmu. Damy mu radę – dodała z naciskiem. – Nie wymknie się, koniec. Za kilka dni będzie za kratkami – dodała spokojnie.

[1] Nem (również: sajgonki lub naleśniki wiosenne) – popularne danie kuchni Azji

Południowo-Wschodniej mające postać naleśniczków z farszem.

[2] *Fnac* (fr.) – sklep proponujący duży wybór produktów z dziedziny kultury, techniki oraz gospodarstwa domowego.

[3] *Apéritif* – francuska tradycja polegająca na oferowaniu gościom napojów alkoholowych lub bezalkoholowych, do których podaje się całą masę słonych przekąsek. *Apéritif* ma miejsce przed obiadem lub kolacją.

6.

Cathy poczuła, że ktoś przytula ją do siebie i głaska po twarzy. Potrzebowała dłuższej chwili, żeby zdać sobie sprawę, że jest we własnym łóżku. Powoli otworzyła oczy. Jean pochylał się nad nią oparty na łokciu.

– Nie pytam, jak spałaś. Obudziłaś mnie przynajmniej trzy razy – szepnął.

– Przykro mi – wyszeptała Cathy.

– Nie przejmuj się, jest jeszcze bardzo wcześnie. Pozostaje dobra godzina, zanim zadzwoni budzik. Odпочywasz, idę zająć się krowami.

Przytulił żonę i czule okrył ją kołdrą. Wstając, rzucił przebiegle:

– Nie mogę się doczekać.

– Co takiego? – wybąkała zdziwiona.

– Krzyczałaś przez sen i chcę wiedzieć dlaczego. Wygląda na to, że twoje sny stają się coraz bardziej pasjonujące.

Pocałował Cathy w czoło, odwrócił się na pięcie i udał się na poranną toaletę.

Cathy spała głęboko, kiedy wyszedł z łazienki i na palcach opuścił pokój. O dziesiątej Jean skończył pracę: krowy były na polu, kury i prosięta kończyły posiłek, Jet wybiegał się na podwórku i popiskiwał teraz przed prowadzącymi na piętro dębowymi schodami. Jean wstawił wodę na herbatę i nie zastanawiając się dłużej, przygotował kilka tostów. Na tacy ustawił talerzyk z posmarowanymi masłem rumianymi kromkami, słoiczek konfitur z jagód, które Cathy lubiła nade wszystko, i dwie filiżanki gorącej herbaty Earl Grey. Wszedł na górę, przepuszczając przed sobą psa. Jet, który rzadko bywał w pokoju, nie posiadał się z radości i niezwłocznie skoczył na łóżko. Ułożył się obok Cathy. Różowy język zamasyścię lizał policzki śpiącej, rozbudzając ją na dobre. Jean otworzył okiennice i wpuścił nieco światła dziennego. Słońce zdawało się zapomnieć o ich regionie. Dzień był równie ponury, jak poprzednie. Przynajmniej nie padało. Lekki wiatr gonił ciężkie, ołowiane chmury, nie wróżąc niczego dobrego na nadchodzące godziny. Jean wyprosił psa, który ułożył się w nogach swojej pani. Uniósł poduszki i poczekał, aż Cathy oprze się o nie. Wówczas podniósł ustawioną w drzwiach tacę i położył ją na kolanach żony.

– Śniadanie w łóżku!?! – wykrzyknęła zdumiona. – Która jest godzina?

– Po dziesiątej – odparł rozbawiony Jean, chwytając swoją filiżankę herbaty. – No, opowiadaj – ponaglił żonę.

Cathy wypiła kilka łyków napoju i z apetytem wbiła zęby w pierwszą kromkę chleba. Posmarowała pozostałe kromki konfiturą.

– Zaspałam. Nie usłyszałam nawet budzika – dodała zdumiona. – I mówisz, że krzyczałam przez sen.

– Kilkakrotnie – potwierdził Jean. – Ruszałaś się dużo, kręciłaś na wszystkie strony, najbardziej o świecie. Wydaje mi się nawet, że szeptałaś jakieś słowo... Kasa czy coś podobnego. Obrabowałaś bank?

– Bank? Skąd, nie kasa, ale Kaisa. Śniłam o Kaisie.

– Kaisa? Cóż to za imię? Nie mam pojęcia, jakiego jest pochodzenia.

– Szwedzkiego – odparła z westchnieniem. – Przyznaj się, boisz się, że

zwariowałam, tak?

– Cathy, każdemu z nas zdarzają się dziwne sny. Twoje są wyjątkowo interesujące. No, opowiadaj wreszcie!

– Szkoda, że nie ma Julii. Ciekawe, co by o tym myślała. Kaisa jest policjantką i nie byle jaką. Jest inspektorem policji kryminalnej w Karlstademie. Jean, czy ty myślisz, że czytam za dużo kryminałów? – rzuciła z niepokojem.

– Nie więcej niż inni śmiertelnicy, którym nic się nie śni – uspokoił ją mąż. – To wszystko? A twoje krzyki?

– Policja kryminalna, Jean... Mieli trochę roboty w tym Karlstademie. Jakiś łajdak popełniał okropne zbrodnie. Zakopywał ludzi w piasku nad jeziorem. Wypełniał im usta piaskiem.

– Teraz rozumiem te krzyki – stwierdził Jean. – Może potrzebujesz wakacji – dodał zatroskany.

– Mam się bardzo dobrze – odparła Cathy spokojnie. – Przypuszczam, że zrobiłeś, co było do zrobienia, podczas gdy ja leniuchowałam w łóżku, tak? Dziękuję za śniadanie – dodała, cmokając męża w policzek. – Czas wstawać i zająć się kuchnią. Po południu jadę do Bernadette.

– Nie chcesz raczej odpocząć?

– Skąd, nie czuję się zmęczona. Tak bardzo chciałabym przekonać Bernadette. Musi mi się udać. Mam nadzieję, że Julia będzie wolna.

Cathy podniosła się żwawo, wyjrzała za okno, wybrała ciepły sweter, dzinsy i obdarzając męża promiennym uśmiechem, zniknęła w łazience.

Jean zebrał tacę, zawołał psa i zszedł do kuchni, gdzie chwilę później pojawiła się ubrana, pachnąca Cathy. Kiedy złożył przeczytaną gazetę, po domu rozchodził się kuszący zapach obiadu. Jean zdecydował się na wypad do ogródka. Chciał sprawdzić, czy może zająć się przekopaniem działki pod młode ziemniaki i buraczki. Po ostatnich opadach ziemia była być może za wilgotna. Cathy poprosiła go o przyniesienie przy okazji główki kapusty. Miała czas, a kapusta z kielbasą będzie mile widziana na dzisiejszą kolację, zwłaszcza jeśli wróci późno. Myślami już była w domu Bernadette.

„Zupełnie zapomniałam. Przecież chciałam zadzwonić do Julii, upewnić się, czy ma czas i czy zechce mi towarzyszyć”.

– Halo, Julia?

– Ach, to ty, Cathy – odpowiedział jej ochryply głos. – Mam okropny katar, prawie że nie spałam, wątpię, czy uda mi się pójść z tobą do Bernadette. Odkładamy na inny dzień?

– Nie przejmuj się, Julia. Pójdę sama. Mam wrażenie, że jedna wizyta nie wystarczy. Nie ma co zwlekać. Opowiem ci... Tymczasem kuruj się szybko. Będzie mi ciebie brakowało – dorzuciła szczerze.

– Cathy, jesteś pewna... – zaczęła Julia. Seria kichnięć przerwała jej zdanie. – No dobrze, poddaję się. Obiecuj, że zadzwonisz wieczorem!

– Obiecuję – roześmiała się Cathy. – Przysięgam na moją duszę – dodała z całą powagą, na jaką mogła się zdobyć. – Pa, do wieczora – zakończyła i odłożyła słuchawkę.

Jean właśnie wrócił do domu. W rękach niósł okazałą główkę kapusty, którą

wręczył żonie.

– Wybrałem najmniejszą – powiedział z dumą.

– Aha, a co z ogródkiem? Możesz zająć się przygotowaniem grządki? – zapytała Cathy.

– W każdym razie spróbuję. Jest bardzo wilgotno, zobaczymy. Dzwoniłaś do Julii?

– Tak, jest chora. Nie rób takiej miny, pojedę sama. Z tego, co wiem, Bernadette nigdy nie zjadła swoich gości, prawda? Nie jestem tchórzem, Jean.

– Wcale tak nie myślę – odparł obruszony. – Sama mówiłaś, że towarzystwo Julii dobrze by ci zrobiło.

– Owszem, i nadal tak sędzę, ale skoro nie jest to możliwe, będę musiała dać sobie radę sama. Przecież już tam byłam. Poczekaj, byłam z ciastem... Może tylko dlatego mnie nie zjedli – dokończyła, wybuchając zaraźliwym śmiechem.

– Jesteś niemożliwa – stwierdził Jean, kiedy się uspokoili. – Trudno, poddaję się. Pozostaje mi trzymać kciuki. Co tak pachnie?

– Kurczak, zupa z marchewki, a za chwilę dołączy do nich zapach kapusty. Obiecuj, że nie zjesz wszystkiego przed moim powrotem. Nakrywamy do stołu, obiad będzie gotowy za jakiś kwadrans – dodała.

Posiłek upłynął jak zwykle na wesołych rozmowach i przekomarzaniu się. Jet spał przed kominkiem, od czasu do czasu wzdychając głośno.

– Wygląda na najszcześniejszego psa na świecie, prawda? – stwierdziła Cathy z zadowoleniem.

Jean się uśmiechnął.

– Jest najszcześniejszym psem na świecie – potwierdził z przekonaniem. – Zabierasz go ze sobą?

– Czemu nie. Dotrzyma mi towarzystwa w drodze i pomoże znieść ewentualny zawód, w razie gdyby wszystko odbyło się na przekór moim planom – dodała.

Podnieśli się razem, zebrali naczynia, dyskutując, włożyli je do zmywarki. Cathy umyła kolorową ceratę, wytarła ręce i zawołała psa.

Wkrótce siedziała za kierownicą, Jet zajmował swoje miejsce na tylnym siedzeniu. Cathy czuła się pewna siebie, zdeterminowana, spokojna. Była dobrej myśli. To prawda, że za pierwszym razem Bernadette dała jej do zrozumienia, że nie utrzymywali przyjacielskich stosunków z innymi sąsiadami. Padało, ulewa wpływała na humor. „Sama nie czułam się zbyt dobrze” – przypomniła sobie Cathy. Droga odbyła się bez przeszkód i zanim się spostrzegła, pojazd zatrzymał się przed podupadłym i zaniedbanym domem Bernadette. Cathy zerknęła na śpiącego psa i zdecydowana opuściła samochód. Szybkim krokiem przemierzyła zabłocone podwórko i zapukała do drzwi wejściowych. W korytarzu natychmiast rozległy się kroki.

– Nie zniechęca się pani – rzuciła na powitanie Bernadette, która osobiście pofatygowała się, żeby „przywitać” gościa.

– Dzień dobry. Nie chciałabym przeszkadzać – odparła Cathy. – Mogę wejść na chwilę?

– Skoro już tu pani jest. Posiadamy telefon, numer jest w książce telefonicznej – dodała kobieta, zamykając drzwi. – Następnym razem...

„Jaka szkoda, że nie ma ze mną Julii, przydałby się ktoś, kto mógłby mnie uszczypnąć... Chyba śnię” – pomyślała ogłuszona Cathy. Opamiętała się szybko i rzekła wesołym, pewnym siebie głosem:

– Obiecuję, następnym razem zadzwonię.

– Próżne gadanie – usłyszała w odpowiedzi. – Chodźmy do kuchni, zaparzę kawę.

„O rany, znowu kawa”. Żołądek Cathy protestował za każdym razem, w żaden sposób nie mogąc przystosować się do tego aromatycznego, ciemnego napoju. Ruszając za gospodynią, powiedziała jednak:

– Z przyjemnością się napiję. Dziękuję pani.

Bernadette ustawiła na stole dwie wyszczerbione filiżanki. Cathy powstrzymała się od najmniejszej uwagi, w duchu myśląc, że po raz kolejny nie będzie to prosta wizyta. Poczekala, aż gospodyni usiądzie, i bezzwłocznie podjęła rozmowę:

– Jestem tutaj, ponieważ po dyskusjach z innymi sąsiadami, a mam na myśli Julię i jej małżonka oraz Marie z Robertem, stwierdziłam, że muszę z panią porozmawiać. Rozumiem pani pozycję, mnie również po podobnych przejściach trudno byłoby zaufać komukolwiek. Wyobrażam sobie, jak trudnym musi być życie w tym starym domostwie i świadomość, że nie ma się funduszków na niezbędny remont.

Cathy przerwała nagle, ponieważ Bernadette zerwała się z miejsca i jak oparzona rzuciła się w stronę drzwi kuchni.

– Zna pani drogę! Proszę zejść mi z oczu!

Młoda kobieta pobladła.

– Uraziłam panią? – rzuciła cichym głosem i podniosła się z krzesła. – Przepraszam najmocniej, po raz pierwszy w życiu brakło mi taktu.

Bernadette wpatrywała się w nią osłupiała. Cathy wykorzystała ten moment i przybierając błagalny ton głosu, po cichutku powiedziała:

– Proszę dać mi jeszcze pięć minutek, zgoda? Obiecuję, że potem już nie będę pani przeszkadzać.

Gospodyni zacisnęła usta, ale skinęła głową. Cathy gorączkowo zastanawiała się nad tym, jak zacząć swój wywód. Musi dać do zrozumienia, że nie jest nieprzyjacielem, wprost przeciwnie – zamierza zrobić wszystko, żeby zdobyć zaufanie Bernadette i jej małżonka. Po chwili milczenia podjęła spokojnym tonem:

– Nam również jest trudno. Kryzys dotyka wszystkich rolników, tych, którzy zajmują się hodowlą, i tych, którzy skoncentrowali wszystkie wysiłki na uprawach. Moglibyśmy zjednoczyć się i razem stawić czoła tym problemom.

– Niby dlaczego miałabym pani zaufać? – przerwała nieoczekiwanie Bernadette.

Cathy nie zareagowała; kontynuowała jak gdyby nigdy nic:

– Myśleliśmy o wspólnym projekcie, w który każdy z nas zaangażowałby się po trochu, nie zapominając o swoich codziennych zajęciach. Ostatnio w modzie są pokoje gościnne, wydaje mi się, że nasz region jest wyjątkowo atrakcyjny dla turystów z pobliskim Nantes, niecałą godziną drogi do wybrzeża, a zwłaszcza bardzo popularnym parkiem w Puy du Fou. Moglibyśmy zainwestować w kilka pokoi i na zmianę zająć się klientami.

Młoda kobieta przerwała i rzuciła okiem w stronę Bernadette. Gospodyni siedziała

bez ruchu, srogo marszcząc brwi. Nadęte policzki trzęsły się ze złości. Sprawiała wrażenie osoby, która wybuchnie, jeśli ktoś jej nie uspokoi.

Cathy zwolniła tempo. Nie tracąc spokoju i opanowania, uśmiechnęła się do gospodyni i zapytała:

– A gdybyśmy tak porozmawiały o tym przy kolacji? Bardzo panią proszę – dorzuciła ciszej. – Powiedzmy, w najbliższą środę, pozostawi to pani czas na rozmowę z mężem, podobnej decyzji nie podejmuje się samemu. Pójdę już. Mogę zadzwonić do pani jutro?

Bernadette się opanowała. Wyglądała teraz na zdziwioną. Nie rozwodząc się nad tematem, odpowiedziała krótko:

– Tak. Zastanowimy się. Co do kolacji, nie obiecuję pani niczego.

– Rozumiem. Dziękuję za poświęcenie mi czasu i jeszcze raz przepraszam panią za mój niefortunny wstęp. Nie chciałam zranić pani uczuć.

Cathy się podniosła. Bernadette również wstała i odprowadziła gościa do drzwi.

– Do jutra – rzuciła Cathy na odchodnym. – Zadzwonię wieczorem.

Po powrocie do domu Cathy odgrzała kapustę, nakryła do stołu i już miała udać się pomóc w dojeniu krów, kiedy w drzwiach ukazał się Jean.

– Skończyłeś na dzisiaj? – zapytała zdziwiona. – Co się stało, Jean? – dodała, widząc zatroskaną minę męża.

– Przeprowadziłem krowy i zacząłem przygotowywać je do dojenia. Muszę zadzwonić do weterynarza, jedna z krów porządnie zraniła się w przednią nogę. Rana wydaje się głęboka, bardzo krwawi, chyba trzeba będzie ją zszyć.

– Nie chcesz, żebym najpierw rzuciła okiem?

– Możesz tam pójść, bez trudu poznasz zranioną krowę. Kiedy wychodziłem, położyła się.

– Aj, musi być zmęczona. Nie trać czasu, zadzwoń, ja idę zobaczyć.

Cathy wbiegła na piętro i wyjęła z apteczki gazę, bandaż oraz buteleczkę wody utlenionej. „Zawsze to lepsze niż nic, w każdym razie spróbuję wyczyścić ranę, zanim przyjedzie weterynarz”. W pośpiechu ubrała się i ruszyła w stronę budynków gospodarczych.

Zranione zwierzę leżało spokojnie. Cathy zbliżyła się ze ściśniętym sercem. Podłoże zaczerwienione było od krwi. Wszystko wskazywało na to, że niepokój Jeana był uzasadniony: rana musiała być głęboka, skoro tak krwawiła. Cathy poklepała ranną i zwracając się do niej czułym, spokojnym głosem, przystąpiła do dezynfekcji skaleczenia. Krowa poruszyła się niespokojnie. Młoda kobieta przerwała pracę i przez kilka minut głaskała stworzenie, szeptała pocieszające słowa. Następnie wróciła do czyszczenia zadraśnięcia. Krew płynęła powoli, cienką strużką, ale bez przerwy.

Kiedy rana była jako tako czysta, Cathy mocno związała nogę bandażem, usiłując zatamować krwawienie. Następnie umyła ręce i zabrała się do czyszczenia wymion pozostałych krów. Nie upłynęło pół godziny, kiedy pojawił się Jean w towarzystwie weterynarza. Dojenie dobiegało końca. Zwierzęta kręciły się niespokojnie i zerkwały na leżącą towarzyszkę, zupełnie jakby chciały ją pocieszyć. Cathy przywitała się z lekarzem i wytłumaczyła mu, że zrobiła, co mogła, żeby zatrzymać krwawienie. Mężczyzna zbadał

obrażenie, wyczyścił je ponownie i przystąpił do szycia. Cathy nie przestawała głaskać rannej. Wreszcie rana przestała krwawić. Weterynarz podniósł się, umył ręce i przy pomocy Jeana zaprowadził krowę do przeznaczonego w tym celu boks, a następnie zwrócił się do jej właścicieli:

– Gdzie możemy porozmawiać?

– Proszę z nami – rzuciła natychmiast Cathy. – W kuchni będzie nam przyjemniej i cieplej.

Za chwilę siedzieli przy stole. Lekarz zaczął od przepisania rannej antybiotyków. Następnie wytłumaczył małżonkom, że draśnięcie było rzeczywiście głębokie i że ich krowa musiała stracić sporo krwi. Należało pozostawić ją w boksie na kilka dni, podawać lekarstwa i pilnować, żeby dużo piła, a zwłaszcza odpoczywała. Wyznaczył następną wizytę, która pozwoli sprawdzić, jak ma się pacjentka, oraz zmienić opatrunek. Wreszcie przyjrzał się młodym i powiedział:

– Nie ukrywam, że rana nie jest ładna. Mam tylko nadzieję, że antybiotyki pozwolą uniknąć zakażenia. Nie wiemy, od kiedy krowa krwawiła ani ile krwi straciła. Oczywiście mógłbym przewieźć ją do gabinetu i założyć kroplówkę, ale koszt takiej operacji jest spory. Będę szczerzy: najlepiej byłoby pilnować ranną dzień i noc, no i zadzwonić do mnie w razie potrzeby.

– Tak też zrobimy – rzuciła prędko Cathy, widząc, że Jean nie ukrywa przerażenia.

– Dziękujemy, że przyjechał pan tak szybko. Dobrze wiem, że nie jest to łatwe, nasze gospodarstwo leży trochę na uboczu...

– To moja praca – przerwał weterynarz. – Wrócę, kiedy tylko zajdzie taka potrzeba. Czy zastanawiali się państwo, jakim cudem krowa mogła skaleczyć się w taki sposób?

Tym razem Jean odezwał się bez wahania:

– Tak. Znalazłem zwaloną przez wiatr barierkę z drutem kolczastym. Przypuszczam, że potknęła się o nią i być może upadła. Na miejscu nie było śladów krwi. Zdałem sobie sprawę, że jedna z krów jest zraniona, dopiero przygotowując je do dojenia.

– Bardzo dobrze, możemy wywnioskować, że zraniła się niedawno. Nie wszystko stracone – stwierdził weterynarz, uśmiechając się po raz pierwszy. – No, głowy do góry, proszę pilnować rannej i dać mi znać w razie potrzeby. Przyjadę za trzy dni – zakończył, podnosząc się i żegnając w pośpiechu: – Pójdę już. Została mi jeszcze jedna wizyta, a robi się późno. Do zobaczenia.

Po wyjeździe lekarza Cathy wyjęła z pieca kapustę z kiełbaskami, odgrzała zupę i postawiła ją na stole. Przez chwilę jedli w milczeniu, pogrążeni w myślach. Wreszcie Cathy odezwała się ciepłym, pełnym czułości głosem:

– Wyglądasz na zmęczonego. Zaraz po kolacji zerknę na naszą chorą i zostanę z nią na noc, dobrze? Ciekawe, co przyśni mi się na sianie – dodała żartobliwym tonem.

Jean zdobył się na uśmiech.

– Zgoda. Rzeczywiście, potrzebuję snu. Nastawię budzik na piątą rano, pasuje ci?

– Tak – rzuciła krótko Cathy, zupełnie jakby bała się, że mąż zmieni zdanie.

– A twoje popołudnie? – zapytał Jean.

– Opowiem ci jutro. Prawdziwa klęska – przyznała niechętnie Cathy. – Zaprosiłam ich na kolację w środę. Ale teraz sama nie wiem... Zwierzęta miały się dobrze, kiedy

wyjeżdżałam.

– Nie zmieniaj niczego, nie powinniśmy się poddawać – powiedział z przekonaniem Jean. – Chyba że nie będziesz miała czasu na przygotowanie kolacji. Weterynarz zasugerował, że powinniśmy pilnować chorej aż do kolejnej wizyty.

– Dam radę. Powinam znaleźć co trzeba w zamrażalniku. Dobra zupa i świeże *lasagnes*[1] powinny przypaść do gustu Bernadette i jej małżonkowi. Nawet nie wiem, jak mu na imię. Nie ma mowy o zmianie. Czas leci, kryzys nie ustępuje, powinniśmy jak najszybciej dojść do porozumienia z sąsiadami, a jeśli nie będzie to możliwe, podjąć decyzję odnośnie do przyszłości naszego gospodarstwa, prawda?

– Przypuszczam, że masz rację – potwierdził Jean.

W roztargnieniu ucałował żonę w policzek, dając do zrozumienia, że zmęczenie zwałało go z nóg i nie miał ochoty na telewizję. Cathy oddała pocałunek i czule głaskając bujną czuprynę męża, rzuciła:

– Połóż się. Sama sprzątnę ze stołu i za chwilę polecę do chorej. Nie zapomnij budzika!

W pośpiechu zebrała naczynia, wstawiła je do zmywarki i chwyciła telefon. Musiała podzielić się z kimś swoimi wrażeniami, Julia była idealną osobą do zwierzeń. Nie zwlekając, wybrała numer nowej przyjaciółki i za parę sekund usłyszała zakatarzony, ochryply głos:

– Halo...

– Tu Cathy. Jak się czujesz?

– Jestem umierająca – odparła Julia, kichając w słuchawkę. – Jak ci się powiodło u Bernadette?

Cathy uśmiechnęła się sama do siebie. Nie pomyliła się, nawet chora i gorączkująca Julia gotowa była na wysłuchanie jej zwierzeń. Nie zamierzała ubolewać nad własnym losem, pragnęła pomóc Cathy, odsuwając na drugi plan własne problemy. Opowieść o minionym popołudniu zajęła pięć minut i uwieczniona została kolejnym kichnięciem chorej.

– Tak jak myślałam, Bernadette nie dała się przekonać. Nie przejmuj się, być może zajmie to trochę czasu, ale powinniśmy dopiąć swego – skomentowała Julia ochryplym głosem.

– No tak, ale nie powiedziałam ci wszystkiego – odparła Cathy. – Po powrocie do domu czekała na mnie przykra niespodzianka. Jedna z krów poważnie zraniła się w nogę, Jean będzie potrzebował pomocy. Nie mogę ruszyć się z domu przez kilka dni – dorzuciła smutno. – Za to być może uda mi się zaprosić Bernadette i jej małżonka na kolację.

– Być może? – wybąkała zagubiona Julia. – Co przez to rozumiesz?

– Mam zadzwonić do nich jutro. I jestem dobrej myśli – dodała z przekonaniem.

W telefonie rozległ się dziwny bełkot nieprzypominający ani śmiechu, ani płaczu. Julia nie miała sił na dalszą rozmowę. Cathy przyrzekła, że powiadomi ją o decyzji podjętej przez Bernadette, i wysłała przyjaciółkę do łóżka. Zamyślona wybrała najcieplejszą kurtkę, okręciła szyję dużym szalikiem i włożyła gumki. Jet spoglądał na nią ze zdziwieniem, przechylając głowę, zupełnie jakby się zastanawiał, dokąd jego pani mogła się wybierać o tej porze. Kiedy Cathy skierowała się ku drzwiom, podniósł się

i podążył za nią, jakby zdecydował, że jego właścicielka miała prawo do wszelkich dziwactw – tak czy owak, należał do niej i nigdy jej nie opuści.

Na zewnątrz wzmógł się wiatr. Nie padało. Cathy wsunęła ręce do kieszeni kurtki i walcząc z wiatrem, skulona z trudem dotarła do obory. W boksie leżała ranna krowa. Wyglądała na spokojniejszą, może była zmęczona, a może antybiotyki przepisane przez weterynarza przyniosły jej ulgę. Cathy zerknęła na zabandażowaną nogę. „Dobry znak – pomyślała natychmiast – na bandażu nie ma ani śladu krwi”. Krowa przymknęła oczy. „Musiała spać – wywnioskowała młoda kobieta – obudziłam ją”. Jet już znalazł sobie miejsce i zwinięty w kłębek zasnął na posłaniu ze słomy. Rozczulona Cathy pochyliła się nad nim, i pogłaskała psią głowę. Stwierdziwszy, że słoma jest w tym kącie czysta, przysiadła obok Jeta, który z miejsca przytulił się do nóg swojej pani, wzdychając z zadowolenia. Kobieta oparła się o pobieloną wapnem ścianę boksu i oddała rozmyślaniom. W skupieniu przeanalizowała minione popołudnie, szybko dochodząc do wniosku, że była zbyt bezpośrednia, nietaktowna, niedyskretna nawet. „Nie powinnam mieszać się do prywatnego życia moich sąsiadów. Bernadette miała zupełną rację, reagując obruszeniem. Będę miała szczęście, jeśli da mi drugą szansę. No cóż, stało się. Postaram się nie zmarnować kolejnej okazji. Nie mogę wprost doczekać się jutra”.

Zmęczona wrażeniami kończącego się dnia Cathy przysnęła wreszcie. Budziła się regularnie i zerknęła na ranną krowę, na próżno usiłując znaleźć wygodniejszą pozycję. Wreszcie wyciągnęła się na słomie, przygarniając do siebie psa. Sen opuścił ją jednak. Nie była przyzwyczajona do podobnych spartańskich warunków.

Kiedy w oborze pojawił się Jean, Cathy zerwała się na równe nogi. Jet popiskiwał z radości.

– Jak wam się spało? – zapytał rozbawiony mężczyzna. – Chyba nie najlepiej – dorzucił, wyjmując z włosów małżonki kawałki słomy.

– I całe szczęście – odparła z godnością młoda kobieta. – Tym sposobem mogłam pilnować chorej, która była nad wyraz spokojna przez całą noc. No, twoja kolej, ja idę do łóżka. Dwie czy trzy godziny snu dobrze mi zrobią, w przeciwnym razie nie będę miała sił na ponowne stawienie czoła Bernadette.

To mówiąc, Cathy oddaliła się i odprowadzona przez Jeta udała się prosto do pokoju. Rozebrała się szybko, wsunęła pod ciepłą jeszcze pościel i zasnęła kamiennym snem.

Budzik zadzwonił o dziewiątej. Cathy wstała i wbrew swoim zwyczajom zaczęła od prysznic. Ciepła woda rozbudziła ją, rozluźniając mięśnie zmęczone niewygodną pozycją przybraną w trakcie czuwania nad krową. Młoda kobieta energicznie wytarła się dużym kąpielowym ręcznikiem i starannie wysuszyła włosy. Ubrała się ciepło, przeczuwając, że brak snu przyprawi ją o dreszcze. Powoli zeszła po schodach i wstawiła wodę na herbatę. Czytający poranną gazetę Jean podniósł się i wyjął z szafki czystą filiżankę.

– Chętnie napiję się z tobą – powiedział, całując żonę w szyję.

Cathy uśmiechnęła się do niego.

– Jak się miewa nasza chora?

– Muszę przyznać, że nastawiałem się na gorsze. Jest spokojna, najwyraźniej nie

gorączkuje. Zjadła nawet trochę paszy. Jeśli w ciągu dnia nie będzie zmian, zostawimy ją na noc samą. Zайдę do niej późno wieczorem i zacznę od jej boksu rano. Powinno być dobrze – dorzucił z wyraźną ulgą. – Po południu obejdę pola, żeby ponownie sprawdzić stan ogrodu. Nie pojmuję, jakim cudem mogła skaleczyć się w taki sposób. Kilka dni temu płot był w bardzo dobrym stanie. Zadzwoń do Bernadette? – zapytał, nagle zmieniając temat.

– Tak, zaraz po śniadaniu. Nie chcę przeszkadzać jej zbyt wcześnie – wyjaśniła Cathy. – Jestem dobrej myśli – dodała spokojnym, ale stanowczym tonem.

– Powodzenia, kochanie – rzucił Jean, wstając. – Wiatr wysuszył ziemię, spróbuję przekopać część ogródka i przygotować trochę nawozu. Wrócę przed obiadem – podkreślił jeszcze na odchodnym.

Cathy została sama. W milczeniu wypila resztę herbaty, sprzątnęła ze stołu i zdecydowanym ruchem sięgnęła po telefon. Wybrała numer Bernadette.

– Halo – rozległ się męski głos.

– Dzień dobry – powiedziała Cathy serdecznym głosem. – Tu Cathy, właścicielka farmy *L'Espoir*. Domyślam się, że jest pan mężem Bernadette – dorzuciła.

– Owszem. Żony nie ma w domu – odparł głos.

– Nie wiem, czy pan pamięta... kilka dni temu złożyłam państwu wizytę. Przypuszczam, że rozmawiał pan o tym z żoną – dodała z nadzieją.

– Tak, ale mojej żony nie ma w domu – rzucił ponownie mężczyzna.

Cathy odniosła wrażenie, że ma do czynienia z zaciętą płytą. Opanowała się szybko i cierpliwie, z całym możliwym spokojem, odpowiedziała:

– Mogę zadzwonić później, nie przeszkadza mi to. Proszę ją uprzedzić. Tak bardzo chciałabym gościć państwa u nas na kolacji – wyjaśniła.

Przez chwilę panowała cisza. Wreszcie głos odezwał się ponownie:

– Skoro tak pani na tym zależy, będziemy jutro wieczorem, najpóźniej o dwudziestej.

Cathy miała ochotę ucałować właściciela odległego głosu. W zamian odparła ciepło:

– Będzie nam bardzo miło. Czekamy na państwa jutro. Do zobaczenia. Proszę pozdrowić żonę w moim imieniu – dodała i nie czekając na odpowiedź, odłożyła słuchawkę.

– Udało się! – krzyknęła radośnie, budząc Jeta. Podbiegła do drzwi, w pośpiechu narzuciła kurtkę i udała się prosto do ogródka.

Na widok biegnącej w jego stronę żony Jean wyprostował się z niepokojem. Czyżby krowa miała się gorzej? Nie, Cathy wyglądała na bardzo zadowoloną, jej twarz rozpromieniał czarujący uśmiech.

– Jean! – zawołała. – Zgadzą się! Będą u nas na kolacji jutro wieczorem! Czy to nie cudowne!?

– Sam nie wiem – odparł Jean, drocąc się z nią. – Niczego nie wiemy o tych ludziach, może są niebezpieczni. A ty jesteś zadowolona.

– Nabijasz się – stwierdziła Cathy.

– Nie, nie ośmieliłbym się – zaoponował Jean. – Jeśli komuś mogło udać się ich

zaprosić, tym kimś mogłaś być tylko ty.

Cathy wtuliła się w wyciągnięte silne męskie ramiona. Uniosła głowę, lekko musnęła usta męża i stwierdziła:

– Skoro się zgodzili, to znaczy, że rozmawiali o tym. Sam ten fakt jest dobrym znakiem. Kolacja powinna dokonać reszty i liczę na twoje wsparcie – dokończyła, patrząc prosto w błyszczące oczy mężczyzny.

– Zrobię, co będę mógł – przyrzekł Jean. – Z góry cię uprzedzam. Nie mam twoich zdolności ani twojego uśmiechu.

– Twoje poparcie mi wystarczy – ucieła Cathy. – A teraz lecę do chorej i zabieram się do gotowania obiadu. Julia pewnie już wstała i czeka na telefon. Nie mam czasu do stracenia.

Mówiąc to, odwróciła się na pięcie i w pośpiechu skierowała się w stronę obory. Spędziła kilka chwil z chorą krową, upewniając się, że noga nie puchła, nie krwawiła ani nie ropiała. Zwierzę nadal było spokojne, cierpliwie znosząc pobyt w osobnym boksie. Cathy zostawiła stworzenie samo i wróciwszy do domu, zajęła się obiadem. Ugotowała ryż i jajka na twardo. Następnie wyjęła z szafki puszkę fasolki szparagowej. Na stole rozmrażały się dwa duże befsztyki wołowe. Nie miała czasu łamać sobie głowy deserem: jogurty nadadzą się doskonale. Wymieszała ryż z pokrojonymi jajkami, dorzuciła do całości tuńczyka w pomidorach i obficie polała sałatkę sosem winegret. Resztę przygotowuje, kiedy zasiądą do stołu. Wreszcie mogła zadzwonić do Julii i opowiedzieć o rozmowie z mężem Bernadette. Już sięgała po słuchawkę, kiedy rozległ się dźwięk telefonu.

– Halo – odezwała się natychmiast Cathy.

– Cathy, to ja, Julia.

Młoda kobieta nadal miała zakatarzony, ochryply głos.

– Obudziłam się z gorączką i bolącym gardłem. Wracam do łóżka, trudno mi wytrzymać na stojąco. Biedny Martin będzie musiał sam zająć się obiadem.

– Julia, może potrzebujesz pomocy? – zaniepokoiła się Cathy. – Jeśli chcesz, pojedę do miasteczka i zrobię wam zakupy. Mogę przywieźć kilka konserw i innych gotowych do odgrzania produktów. Martin nie będzie musiał się głowić nad przygotowywaniem posiłków i ty też powinnaś coś zjeść.

– Nie chcę ci przeszkadzać...

– Nie gadaj głupstw, Julia. Będę zaraz po obiedzie. A teraz kładź się do łóżka i odpoczywaj. Na razie!

Cathy odłożyła słuchawkę i odwróciła się w chwili, gdy do kuchni wszedł Jean.

– To Julia, jest naprawdę chora. Martin nie poradzi sobie sam. Obiecałam, że skoczę do miasteczka i zrobię im trochę zakupów. Zupełnie zapomniałam, mam w zamrażalniku kilka woreczków zamrożonej kapusty z mięsem. Wezmę dwa, powinny im się przydać. Jak myślisz?

– Na pewno się przydadzą – potwierdził z przekonaniem Jean. – Szkoda, że muszę zostać w domu, Martinowi dobrze zrobiłoby trochę towarzystwa. Nie mogę jednak zostawić zranionej krowy bez opieki, no i muszę sprawdzić stan ogrodu. Pozdrów go w moim imieniu, proszę. Jestem głodny, co mamy na obiad?

– Zrobiłam sałatkę z ryżu. Fasolka szparagowa i befsztyki powinny zasycić nas wystarczająco – odparła z uśmiechem Cathy. – Desery są w lodówce, ciasto zrobię na jutrzejszy wieczór – dodała na widok zawiedzionej miny męża.

Jedli, rozmawiając z ożywieniem. Cathy była pełna optymizmu i z radością rozprawiała o czekającym ich wieczorze w towarzystwie Bernadette i jej małżonka. Wiele spodziewała się po tym spotkaniu. Nie opuszczało jej przecucie, że decyzja o zaproszeniu tych dwojga na kolację zaważy na przyszłości farmy *L'Espoir*. Zmęczenie wywołane nieprzespaną nocą znikło bez śladu. Czowała się pełna energii i nadziei na przyszłość.

Po skończonym posiłku Cathy wstawiła naczynia do zmywarki i zawołała psa.

– Jedziemy – powiedziała, całując Jeana w nieogolony policzek. – Postaramy się wrócić na podwieczorek. Powinnam mieć czas, żeby zająć się zupą na dwa dni. Aha, zapomniałam, nasza chora ma się dobrze – rzuciła na odchodnym.

Po chwili małe clio mknęło w stronę miasteczka. Cathy zastanawiała się, co przyrządzi na jutrzejszą kolację, stale zmieniając zdanie. Ani się spostrzegła, a już na horyzoncie pojawiły się pierwsze domki. Minęła plac kościelny, przejechała obok baru Romaina i zaparkowała przed sklepem. Wewnątrz panował normalny o tej porze dnia spokój. Zakupy zajęły jej dobre pół godziny i przez chwilę kusił ją myśl o odwiedzeniu Romaina. Opamiętała się, przypominając sobie o obietnicy złożonej Jeanowi. Nie było co zwlekać, jeśli chciała być w domu na podwieczorek. Cathy starannie ułożyła zakupy w bagażniku. Wyprostowała się, chwyciła wózek i unosząc głowę, napotkała wpatrzona w nią oczy Bernadette.

– Dzień dobry. Co za niespodzianka – rzuciła Cathy z uśmiechem na ustach.

– Dzień dobry – odparła kobieta. – Nie taka znowu niespodzianka. Przypuszczam, że zrobiła pani zakupy na jutrzejszą kolację.

Cathy nie posiadała się ze zdumienia. Bernadette po raz pierwszy wypowiedziała tak długie zdanie w jej obecności.

– Nie tylko – powiedziała spokojnie. – Julia jest chora, nie mogłam zostawić Martina bez pomocy. Większość zakupów jest dla nich.

Na twarzy jej rozmówczynie tym razem malowało się zdziwienie.

– Robi pani zakupy dla męża Julii? Coś takiego – mruknęła osłupiała Bernadette.

– Nie ma w tym nic dziwnego – rzuciła Cathy. – Dobrze jest liczyć na pomoc sąsiadów, prawda? Lecę już, Martin czeka na mnie, no i obiecałam własnemu mężowi, że zjemy razem podwieczorek. Do zobaczenia jutro.

Cathy zaczęła wózek, wyjęła żeton i wróciła do samochodu. Kątem oka dostrzegła Bernadette stojącą nadal obok rzędu wózków. „Istny słup soli” – pomyślała Cathy, zdając sobie sprawę, że to spotkanie najwyraźniej obróciło sytuację na jej korzyść: Bernadette zrozumiała, że nowa właścicielka farmy *L'Espoir* w niczym nie przypomina poprzedniej – jest uczynna, wrażliwa na cudze problemy i chętna do pomocy. „Teraz powinniśmy znaleźć wspólny język” – myślała z radością Cathy, dojeżdżając do domu Julii.

Martin czekał na nią w ogródku. Podobnie jak Jean przekopał część działki i szykował się do dorzucenia do ziemi świeżego nawozu.

– Dzień dobry. Pomogę ci – powiedział, całując Cathy.

We dwójkę wnieśli zakupy do kuchni. Cathy wypełniła lodówkę, wyjaśniając Martinowi, co może przygotować na najbliższe posiłki.

– Przypuszczam, że Julia śpi? – zapytała wreszcie.

– Tak, wypła herbatę, gorączka trochę spadła, ale gardło nie ustępuje. Wygląda marnie, szkoda mi jej.

– Kupiłam kilogram cytryn. Pilnuj, żeby piła dużo wody z cytryną albo jadła cytrynę z miodem. A może trzeba wezwać lekarza?

– Julia nie znosi lekarzy. Napijesz się czegoś?

– Byłoby mi bardzo miło, ale Jean czeka na mnie z podwieczorkiem. Nie wiem, czy Julia ci wspomniała: mamy chorą krowę. Gdyby nie to, Jean również przyjechałby do ciebie w odwiedziny.

Martin się uśmiechnął.

– W takim razie wracaj do domu. Zadzwonimy wieczorem, ja albo Julia, jeśli będzie czuła się lepiej.

– Dobrze. I obiecaj mi, że nie będziecie się krępować w razie potrzeby. My również kiedyś możemy potrzebować waszej pomocy, nigdy nic nie wiadomo. Przyjemnie jest liczyć na kogoś, prawda?

Martin skinął głową. Odprowadzając Cathy do samochodu, powiedział:

– Co do pieniędzy za zakupy...

– Zobaczymy, nie martw się. Najważniejsze, żeby Julia szybko wyzdrowiała.

Pożegnali się i Cathy usiadła za kierownicą. Jet pomachał ogonem i zaskomlał.

– Mój biedaku, zapomniałam o tobie – rzuciła, patrząc na psa. – Obiecuję ci, że teraz jedziemy prosto do domu, a na podwieczorek dostaniesz jeden z twoich ulubionych psich smakołyków.

Pies zdawał się doskonale rozumieć jej słowa. Uspokoił się natychmiast i ułożył na siedzeniu, głośno wzdychając. Cathy uśmiechnęła się sama do siebie: tak kochała tę psinę. Gdyby nie problemy finansowe i obawa o przyszłość ich gospodarstwa, z pewnością byłaby najszczęśliwszą kobietą na tym świecie.

W oddali ukazała się pomarańczowa dachówka i świeżo otynkowane ściany. „Jak ładnie wygląda nasz dom – pomyślała z dumą. – Nie jest tak zaniedbany i szary jak dom Bernadette”. Jean bez wątpienia czeka już z herbatą. Tak, niewiele brakowało im do szczęścia.

Zaparkowała auto, uwolniła Jeta i sięgnęła do bagażnika po zakupy. Kierowała się w stronę domu, kiedy z obory wybiegł Jean. Cathy znieruchomiała. Coś się stało... Czyżby zraniona krowa czuła się źle? Porzuciła zakupy na ścieżce i zbliżyła się do budynków gospodarczych. Jean czekał, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę.

– Chodź szybko – powiedział, kiedy tylko Cathy była w stanie go usłyszeć. – Potrzebuję twojego zdania.

– Co się stało?

– Nie bardzo rozumiem, to krowa. Miała się dobrze, kiedy wyjechałaś. Właśnie wracam z pola i... Sama zrozumiesz – dodał zaniepokojony.

Pospiesznie zbliżyli się do boksu, w którym odpoczywało ranne zwierzę. Cathy

z niedowierzaniem wytrzeszczyła oczy: krowa leżała, dysząc, posapując, oddychając z wyraźnym trudem. Noga wyglądała na napuchniętą.

– Niepojęte – wyszeptła Cathy. – Trzeba zadzwonić po weterynarza, Jean, nie możemy zwlekać.

– Druga wizyta, Cathy, słono za to zapłacimy.

– Zdaję sobie sprawę. Nie mamy wyjścia. Nie możemy pozwolić jej cierpieć do jutra, dobrze wiesz, że nie uda się nam usnąć tej nocy. Chyba że... – Cathy urwała, zastanawiając się gorączkowo. – Martin nie ma krów – rzuciła – ale może będzie wiedział, co robić.

– Masz rację – odparł Jean – nie pomyślałem o tym.

Jean nie namyślał się dłużej. Wybiegł z obory. Cathy wyszła za nim, zebrała porzucone na ścieżce siatki z zakupami, zawołała Jeta i skierowała się do domu. Udało się jej usłyszeć koniec rozmowy Jeana z Martinem i wywnioskować, że ten drugi zaraz się u nich zjawi. Nie tracąc ani chwili, ułożyła zakupy w szafce, zagotowała wodę i wyjęła małe bezy. Nie zapomniała o Jecie, który dostał swój smakołyk. Następnie ostrugała marchewkę, obrała i umyła pięć okazałych cebul, poszatkowała je i podsmażyła na maśle. Kiedy się zarumieniły, dorzuciła pokrojoną w talarki marchewkę, kostkę bulionu drobiowego, solidną szczyptę soli i zalała całość wodą. Przykryła garnek, kiedy na podwórku pojawił się samochód. „Martin musiał jechać bardzo szybko” – pomyślała, zerkając przez okno. Jean wybiegł z obory, on również usłyszał samochód. Skinął na przyjaciela. Za chwilę oboje zniknęli w budynku. Cathy ubrała się szybko, upewniła się, że wywar gotuje się dobrze, i zmniejszyła gaz. Wybiegła z domu i jak tylko mogła najszybciej, udała się w ślad za mężczyznomi. Zdebiła na widok Martina zdejmującego opatrunek opasujący chorą nogę zwierzęcia.

– Jesteś pewien tego, co robisz? – zapytała.

– Widziałem już podobny przypadek. Weterynarz zbyt silnie zawiązał bandaż, noga puchnie z tego powodu. Potrzebne mi będą nowe, czyste opatrunki. Macie, co trzeba?

– Tak. – Cathy odwróciła się i wybiegła z obory.

Wróciła chwilę później, niosąc wszystkie znalezione w domu opatrunki. Martin sprawnie obmył ranę, odkaził ją i zabandażował ponownie.

– Nie macie antybiotyków? – zapytał zdziwiony.

– Mamy, miałem jej podać, ale dopiero za godzinę – odparł szybko Jean.

– Nie czekaj. Nacierpiała się, nie ma co męczyć jej niepotrzebnie.

Kiedy chora dostała lekarstwa, trójka przyjaciół mogła wreszcie ochłonąć. Cathy zaproponowała herbatę, ale Martin odmówił, przepraszając:

– Julia spała, kiedy wyjeżdżałem. Zostawiłem jej wiadomość, żeby się nie niepokoiła, ale nie chcę, żeby była długo sama.

– Rozumiem – zapewniła Cathy. – Ucałuj ją. Dziękujemy, że przyjechałeś. Bez ciebie, no cóż, musielibyśmy wezwać weterynarza.

Jean objął żonę i przytulił ją do siebie, wolną ręką przyjaźnie skinął w stronę odjeżdżającego samochodu.

– Ja chętnie napiję się herbaty – szepnął czule.

Cathy się uśmiechnęła.

– Obiecałam ci podwieczorek. Spóźniony, ale będzie.

Wczesnym wieczorem Jean zdecydował, że tym razem jako pierwszy zostanie przy rannej krowie. Nie sprzeciwiając się, Cathy położyła się wcześniej. Potrzebowała sił i energii na czekające ją dni. Projekt pokoi gościnnych coraz wyraźniej rysował się w jej wyobraźni i młoda kobieta gotowa była stawić czoła każdej osobie niezgadzającej się z jej zdaniem. Ostatnie dni były tak bogate w wydarzenia! W ich życiu najwyraźniej wkrótce zajdą zmiany, a sama myśl o tym była nadzwyczaj ekscytująca.

*

Kathleen powoli szła alejką Central Parku. Wokół pachniało wiosną. Drzewa i krzewy już przybrały piękny jasnozielony kolor. „Przy tej pogodzie za kilka dni będę mogła zabrać mamę na spacer” – myślała, rozglądając się dookoła. Na alejkach nie brakowało spacerowiczów: były tu rodziny z małymi dziećmi, grupy studentów i oczywiście turyści. Nowy Jork przyciągał ciekawskich z całego świata, a Central Park był obowiązkowym miejscem do zwiedzenia. Kathleen rozumiała ich zapał. Kochała swoje miasto.

Ze smutkiem sięgnęła pamięcią do dawnych, szczęśliwych dni, kiedy przychodziła do parku bawić się z innymi dziećmi. Tata jeszcze żył, a mama nie miała kłopotów ze zdrowiem. Od tego czasu wiele się zmieniło. Nie spodziewała się, że tak szybko odwrócą się role...

Miała dzisiaj zaledwie dwadzieścia pięć lat i już od pięciu długich lat zajmowała się chorą matką. Zdrowie Joyce pogarszało się wprawdzie powoli, ale nieprzerwanie. Nie było nadziei na poprawę. Po maturze Kathleen musiała zrezygnować z upragnionych studiów. Nie miała rodzeństwa, a najbliższą rodziną była siostra jej ojca zamieszkująca Sacramento w Kalifornii. Zbyt daleko, żeby zająć się, choćby od czasu do czasu, chorą bratową. Joyce nie miała już nikogo. Podobnie jak jej córka była jedynaczką.

Rodzice Joyce stracili życie w wypadku samochodowym wiele lat temu. Kathleen nie pamiętała nawet dziadków, była jeszcze małą dziewczynką, nieświadomą, niewinną, z ufnością patrzącą na życie. Pierwszym tragicznym wydarzeniem, o którym trudno było jej zapomnieć, była śmierć jej ojca. Ów czterdziestosiedmioletni znany nowojorski adwokat zmarł na zawał pewnego letniego wieczora, kiedy oddawał się jedynej pasji, na którą zawsze udawało mu się znaleźć trochę czasu – jeździe konnej. Joyce została sama na świecie, nastoletnia Kathleen nie mogła liczyć na wsparcie matki. Po długim okresie depresji Joyce poczuła uporczywe znużenie. Była tak zmęczona. Ani przez chwilę nie pomyślała o córce. Życie straciło dla niej wszelki urok. Czowała się samotna i bezsilna.

Kathleen uporała się z własnym cierpieniem, jak tylko mogła. Ona również kochała ojca. Tak marzyła, żeby kiedyś móc pracować u jego boku. Od pierwszego roku liceum odczuwała pewność co do swojego wyboru: będzie adwokatką, równie znaną jak jej ojciec! Tak trudno jej było pogodzić się z rzeczywistością... Nagle stała się dorosłą, musiała zająć się domem, zakupami, rachunkami i szkołą. Joyce żyła teraz w innym świecie. Nie zajmowała się ani córką, ani domem. Głucha na prośby nauczycieli i sąsiadów znalazła ucieczkę w depresji.

Kathleen udało się ukończyć liceum, mimo że jej oceny pozostawiały wiele do

życzenia. Przez trzy lata nie wychodziła z domu, powoli tracąc kontakt z koleżankami i kolegami. Całe szczęście, że miała książki. Nastolatka lubiła czytać. Pobliska biblioteka stała się jej odskocznią. Tutaj biegła po lekcjach i wychodziła z trzema lub czterema tomami w szkolnej torbie. Bibliotekarki szybko stały się jej jedynym wsparciem, zwłaszcza Sue, która była również jej sąsiadką i przyjaciółką przez te smutne, młodzięcze lata. Sue wychowała trójkę dzieci, w jej domu nigdy nie brakowało smakołyków na podwieczorek. Kathleen zachodziła do nich od czasu do czasu, żeby wypić szklankę mleka i zjeść kilka rumianych, świeżo upieczonych ciasteczek. Jeszcze dzisiaj trudno jej było odpowiedzieć na pytanie: skąd wziął się nagle ten zapal do książek? Jedno nie ulegało wątpliwości: książki pomogły jej zwalczyć samotność.

Po maturze Kathleen zaczęła szukać pracy. Joyce była zbyt zmęczona, żeby troszczyć się o ich przyszłość, zbyt obojętna, zbyt apatyczna. Ale najgorsze było jeszcze przed nimi: rok później zaczęły się prawdziwe kłopoty, Joyce zaczęła tracić wzrok. Lekarze nie rozumieli przyczyny. Kathleen zaś była przekonana, że szok spowodowany śmiercią ojca miał wiele wspólnego z tą sytuacją. Wtedy po raz pierwszy od owego tragicznego wydarzenia szczęście uśmiechnęło się do nich: mały sklepik spożywczy oddalony zaledwie kilkadziesiąt metrów od ich domu poszukiwał ekspedientki. Kathleen przedstawiła się z miejsca i zdobyła pierwszą pracę! Nawet Joyce zdawała się rozumieć jej radość. Ich oszczędności malały z roku na rok, a dom wymagał remontu i zmiany dachówki. Pieniądze stały się koniecznością. Oczywiście praca ta nie miała nic wspólnego z marzeniami młodej dziewczyny, miała za to inną zaletę: Kathleen mogła wracać do domu w czasie przerwy obiadowej i zajmować się Joyce.

Trwało to dwa długie lata, w ciągu których matka zmieniała się nie do poznania. Nie robiła teraz prawie niczego, odmawiając nawet wejścia pod prysznic. Od czasu do czasu wybuchala złością, tłukąc, co tylko nawijało się jej pod rękę, przekonana, że życie mściło się na niej bez powodu. Kathleen cierpliwie sprzątała, pielęgnowała chorą, przygotowywała dla nich posiłki i... czytała, co tylko wpadało jej w ręce. Świadoma, że godziny pracy młodej kobiety nie pozwalały jej na korzystanie z biblioteki, Sue regularnie zostawiała w skrzynce na listy jedną czy dwie książki. Kiedy tylko Kathleen skończyła lekturę, wkładała przeczytane tomy do skrzynki Sue, nie zapominając o małej karteczce, na której kreśliła kilka słów podziękowań. Jej marzenia ograniczały się teraz do tych tomów pożółkłych od starości albo wprost przeciwnie – pachnących świeżym drukiem.

Minęły dwa lata. Pewnego wieczoru Sue przyniosła wiadomość, po usłyszeniu której serce mocniej zabiło w piersiach Kathleen. Mała księgarnia w pobliżu Central Parku poszukiwała sprzedawczyni. Praca była wprost wymarzona dla Kathleen, która nie zmrużyła oka przez całą noc, marząc o zdobyciu posady. Joyce przyjęła wiadomość ze zwykłą sobie obojętnością.

– To raczej daleko od domu – rzuciła szorstkim tonem.

– Wiem, mamo, ale posłuchaj: tak bardzo lubię czytać. Ta praca byłaby o wiele bardziej interesująca – odparła z entuzjazmem Kathleen.

– I oczywiście nie myślisz o tym, że będę sama przez cały dzień, prawda?

– Myślę, mamo – odparła cierpliwie Kathleen. – Będę miała lepszą pensję, może uda nam się wyrwać na kilka dni poza miasto. A w soboty i niedziele będę zabierała cię

na spacer po parku.

– Jak sobie poradzę z obiadem? – zapytała w odpowiedzi Joyce.

– Wszystko będzie gotowe, mamó. Pozostanie ci tylko podgrzanie.

– Tylko... – powtórzyła cierpko Joyce. – Zapomniałaś o moich oczach. Co będzie, jeśli nie uda mi się odgrzać posiłku? Poczekam do wieczora, tak?

– Tak mi przykro, mamó – rzuciła Kathleen. – Muszę pracować, potrzebne nam są pieniądze. Jutro zaproponuję swoją kandydaturę.

– Może cię nie przyjmą – odparła z nadzieją matka.

Kathleen westchnęła. Noc wydała się jej bardzo długa. Kiedy wczesnym rankiem spojrzała w lustro, przeraziła się własnym wyglądem. Była blada, pod jej oczami rysowały się ciemne półkola. „Prysznic i odrobina makijażu czynią cuda” – pomyślała, nie poddając się. Matka spała jeszcze. Kathleen pomyślała, że przynajmniej ma spokój. Może przygotować się i zjeść śniadanie, unikając wyrzutów. Oby tylko jej się powiodło, musi się powieść.

– Bądź dobrej myśli, Kathleen – powiedziała sama do siebie i opuszczając dom, starannie zamknęła za sobą drzwi. Chciała dotrzeć do księgarni na godzinę otwarcia i być pierwszą kandydatką. Uświadomiła sobie nagle, że Sue nie powiedziała jej, od kiedy trwają poszukiwania na to stanowisko. Nie, nie powinna zawracać sobie głowy podobnymi myślami. Ta praca jest dla niej wprost wymarzona. Zdobędzie ją!

Rozmowa przebiegła w miłej atmosferze. Właścicielka księgarni była starszą panią – serdeczną, czytana, otwartą kobietą. Kathleen z miejsca podbiła jej serce. Kobieta zawahała się chwilę i rzuciła szczerze:

– Jesteś trzecią kandydatką i jak dotąd zrobiłaś na mnie najlepsze wrażenie. Mogę postawić ci niedyskretne pytanie?

Kathleen skinęła głową.

– Dlaczego nie studiujesz? Jesteś inteligentną młodą kobietą, mądrą, rozmowną, pełną życia. Nie chce mi się wierzyć, że brakuje ci ambicji.

Kathleen streściła w kilku słowach ostatnie lata swojego życia. Starsza pani nie spuszczała z niej oczu. Instynktownie czuła, że nie dowie się całej prawdy, że Kathleen broni swojej matki, którą musi bardzo kochać. Cierpliwość młodej kobiety zmuszała do podziwu. Nie każdy mógłby zdobyć się na podobne poświęcenie i zrezygnować z własnych marzeń. Właścicielka księgarni natychmiast podjęła decyzję:

– Angażuję cię! Nie mogłabym znaleźć lepszej kandydatki – dodała z przekonaniem. – Możesz zacząć od przyszłego poniedziałku, pozwoli ci to na powiadomienie twojego pracodawcy o zmianie pracy. I, Kathleen, twoja przerwa obiadowa będzie trwała dwie godziny – podkreśliła tonem nieznoszącym sprzeciwu.

W oczach Kathleen zalśniły łzy. Dwie godziny wystarczą na powrót do domu i zjedzenie obiadu z matką. Była tak wdzięczna. Nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Uśmiechnęła się w podziękowaniu i uściśnęła wyciągniętą dłoń starszej pani.

– Do zobaczenia w poniedziałek rano, punkt dziewięta – rzuciła właścicielka.

Wychodząc z księgarni, Kathleen czuła, że zacznie się nowy okres w jej życiu. Sprzedaż książek to zupełnie co innego niż handel produktami spożywczymi. Tutaj będzie w swoim żywiole. Kto wie, może kiedyś uda się jej wrócić na studia? Może tak jak

niegdyś jej ojciec, zostanie adwokatką?

W drodze do domu zatrzymała się w bibliotece, żeby poinformować Sue o swoim powodzeniu. Wierna sąsiadka i przyjaciółka nie posiadała się z radości.

– Zasłużyłaś na to, Kathleen – zapewniła. – A teraz wracaj do domu, Joyce nie powinna zostawać dłużej sama.

– Wiem – odparła młoda kobieta. – Muszę skoczyć do sklepu. Nie będę mogła pracować przed obiadem, nie zmrużyłam oka przez całą noc. Chwila odpoczynku dobrze mi zrobi.

Kathleen udała się do sklepu. Właściciel z wyrozumiałością wysłuchał wyjaśnień. Na koniec uśmiechnął się i powiedział:

– Znamy się od dwóch lat, to dużo czasu. Wystarczająco, żeby zrozumieć, że jesteś ambitna, że masz wiele zainteresowań i nie zamierzasz spędzić życia na sprzedawaniu chleba i makaronów. Lubię mój zawód, ale rozumiem cię. Od początku wiedziałem, że jesteś tutaj tylko ze względu na twoją matkę.

Kathleen poczerwieniała. Nie lubiła, kiedy ludzie podkreślali, że poświęcała swoje życie i ambicje egoistycznej kobiecie, nawet jeśli kobieta ta była jej własną matką.

Mężczyzna dostrzegł jej zmieszanie.

– Przepraszam, jeśli cię uraziłem, nie leżało to w moich zamiarach. Daję ci wolne na dzisiejsze popołudnie, ale chciałbym, żebyś pracowała jeszcze przez dwa dni. Mam nadzieję, że w tym czasie znajdę kogoś do pomocy.

– Tak, oczywiście – rzuciła uszczęśliwiona Kathleen. – Będę jutro z samego rana, mogę zająć się dostawą. Dziękuję panu.

Odrężona zrobiła małe zakupy i pospiesznie wróciła do domu. Dochodziła trzynasta. Kathleen otworzyła drzwi i zamarła w bezruchu. W mieszkaniu unosił się niemiły zapach moczu. „Co się stało?” – zastanawiała się gorączkowo. Wreszcie zawołała głośno:

– To ja, mamó. Gdzie jesteś?

Cisza. Zaniepokojona teraz na dobre Kathleen odzyskała energię i zabrała się do poszukiwania chorej. Joyce leżała na posadzce w kuchni. Obok niej wały się kawałki potłuczonych talerzy i filiżanek. Była przytomna, ale nie reagowała na słowa córki.

– Co się stało, mamó? – zapytała spokojnie Kathleen. – Nic ci nie jest? Pokaż mi rękę.

Matka zraniła się w kilku miejscach, okaleczyła sobie zwłaszcza prawą dłoń. Na spódnicy widniała duża mokra plama. „Mocz” – pomyślała Kathleen.

– No chodź, mamó – zwróciła się do chorej. – Umyję cię i zjemy coś ciepłego, dobrze?

Joyce dała się podnieść i zaprowadzić do łazienki. Potulnie zanurzyła się w pachnącej kąpieli. Milczała. Kathleen zdobyła się na uśmiech i cierpliwie wytłumaczyła jej, że od przyszłego tygodnia będzie pracowała w księgarni, ale jak zwykle przyjedzie do domu na obiad. Joyce nie zostanie sama przez cały dzień. Następnie, nie zważając na milczenie matki, opisała właścicielkę księgarni, ich rozmowę, wreszcie sam sklepik, jego położenie, wystawę. Wspomniała Central Park widoczny za oknem lokalu.

Czysta i ubrana Joyce usiadła przy stole. Kathleen posprzątała i zajęła się

przygotowaniem posiłku. Wkrótce jadły ciepły chlebek z czosnkiem i świeżą sałatę. Pieczeń na zimno i paczka chipsów dopełniły posiłek. Joyce ocknęła się przy kawie.

– Obiecujesz, że nie zostawisz mnie samej na cały dzień? – zapytała z niepokojem.

– Obiecuję, mam – przyrzekła młoda kobieta. – Ale teraz położę się na chwilę, dobrze? Mam wolne popołudnie. Co będziesz robiła?

– Po południu oglądam telewizję – odparła Joyce. – Odpocznij sobie – dodała, głaszcząc córkę po policzku.

Ten nieoczekiwany gest czułości, pierwszy od kilku lat, do głębi wzruszył Kathleen. Oczy dziewczyny ponownie się zaszkliły. Pewna, że nigdy nie zapomni tego dnia, objęła matkę i wtuliła głowę w jej szyję. Przez długą chwilę trwały bez ruchu przytulone, wzruszone do łez. Wreszcie Joyce uwolniła się z uścisku córki.

– Zaraz zaczniesz się mój serial – rzuciła i jak gdyby nigdy nic opuściła kuchnię.

Kathleen podniosła się również. Wstawiła naczynia do zlewu, umyła ręce i zamknęła się w swoim pokoju. Po chwili wahania rozebrała się, założyła wygodną piżamę i wsunęła się pod ciepłą puchową kołderkę. Czowała się zmęczona i szczęśliwa zarazem. Usnęła w kilka sekund.

Kolejne dni, tygodnie, miesiące upłynęły niepostrzeżenie. Kathleen pracowała w małej księgarni, jadła obiad z matką, wracała do pracy po południu. Jedyłą jej chwilę wytchnienia stanowił wieczorny spacer alejkami Central Parku. Bez względu na pogodę młoda kobieta korzystała z tej oazy zieleni latem i z pokrytych śnieżną bielą trawników zimą. Te pół godziny dziennie należało jedynie do niej. Właścicielka księgarni, pani Redson, była z niej bardzo zadowolona. Kathleen pasjonowała się lekturą i zawsze potrafiła doradzić niezdecydowanym kupującym.

Mała księgarnia zyskała nowych klientów. Przychodziły tu teraz chętnie młode mamy z maluszkami, w wolnych chwilach Kathleen czytała im bajki. Dzieci siedziały z otwartymi buziąmi zasłuchane, rozmarzone. Dzięki temu ich matki mogły spokojnie zrobić zakupy. Wpadali również studenci, młode osoby obu płci, które podobnie jak Kathleen lubiły spędzać czas na czytaniu. Kathleen zaprzyjaźniła się nawet z Susan, studentką prawa, a w nielicznych wolnych chwilach amatorką biografii znanych uczonych czy pisarzy. Dziewczęta widywały się w sklepie i od czasu do czasu w parku. Susan chętnie opowiadała o swoich wykładach, egzaminach, studenckim życiu, a kiedy wreszcie Kathleen odważyła się na zwierzenia, nie tylko zrozumiała jej decyzję, ale również ją podziwiała.

– Jesteś wyjątkową dziewczyną. Nie znam nikogo, kto zdobyłby się na podobną cierpliwość – rzuciła.

– Tak jakbym miała inne wyjście – odparła spokojnie Kathleen.

– Masz inne wyjście – stwierdziła z przekonaniem Susan – ale twoje dobre serce wybrało bez namysłu.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Susan?

– Twoja matka traci wzrok, to smutne. Nie jesteś temu winna. Nikt nie może zmusić cię do zajmowania się nią przez całe życie, zwłaszcza kiedy ucieka się do szantażu. Prawda?

– Przypuszczam, że masz rację. Ja też nie lubię tych momentów. No cóż, mam tylko

ją. Jest moją jedyną rodziną, nie mogę oddać jej obcym osobom, już nie wspominam o koszcie podobnej opieki.

– Tak, to bardzo trudna decyzja. Rozumiem cię, mam tylko nadzieję, że kiedyś twoje życie zmieni się na lepsze. Masz prawo do odrobiny szczęścia.

– Nie jestem nieszczęśliwa – zaprzeczyła żywo Kathleen. – Uwielbiam swoją pracę, a pani Redson jest przemiła. Mogę codziennie cieszyć się ze spacerów po parku i znam wszystkie nowości literackie, wyobrażasz sobie?!

Roześmiały się. Było w tym sporo prawdy. Kathleen usiłowała nie myśleć o momentach, kiedy matka wpadała w złość, niszcząc wszystko w zasięgu jej rąk, odmawiając jedzenia, mycia się i krzycząc coraz głośniejsze. Sue pomagała przyjaciółce, od czasu do czasu przynosząc ciasto, zupę, pieczone mięso. Zdarzało się jej zostać chwilę z Joyce, wypić kawę, porozmawiać. W głębi duszy ona również sądziła, że Kathleen zasługuje na lepsze życie.

Tego dnia Kathleen, idąc alejką, wdychała zapach ziemi i świeżego, ciepłego, wiosennego deszczu. Kropiło przez całe popołudnie, ale mżawka ustała jak na życzenie przed końcem jej pracy. Młoda kobieta korzystała na całego. W ciągu ostatnich tygodni Joyce była bardzo nerwowa, kilkakrotnie zraniła się w policzek stłuczonym talerzem czy filiżanką. „Co będzie, jeśli jej stan pogorszy się jeszcze bardziej i nie będzie mogła zostać sama?” Zamyślona ani się spostrzegła, kiedy do jej stóp doturlała się mała piłka. Kathleen o mało nie straciła równowagi. Podniosła głowę i rozejrzała się dokoła. W jej kierunku biegł młody wyżeł, już nie szczeniak, ale jeszcze nie dorosły przedstawiciel tej pięknej rasy. Odruchowo schyliła się, chwyciła piłkę i rzuciła ją najdalej, jak tylko mogła. Pies natychmiast ruszył za swoją zabawką. Kathleen roześmiała się i już miała odejść, gdy usłyszała odgłos biegnącego za nią zwierzątko. Odwróciła się. Wyżeł siedział, przekrzywiając głowę. Piłka znów leżała u jej stóp.

– Hej – roześmiała się ponownie – chcesz się bawić? Chyba nie jesteś sam.

Wyciągnęła rękę. Pies zbliżył się i obwąchał ją delikatnie, dając się pogłaskać po głowie. Kathleen była zachwycona. Tak dawno nie miała okazji do pogłaskania psa. Kochała zwierzęta równie gorąco, jak książki.

– Ach, jesteś wreszcie. Szukam cię od pięciu minut – odezwał się zadyszany głos za jej plecami. – Przykro mi, że mój pies pani przeszkodził. Jest jeszcze młody i najwyraźniej mam kłopoty z jego tresurą – wyznał psi właściciel. – Na imię mi Mike, a ten źle wychowany wyżeł wabi się Spoky.

– Spoky? – powtórzyła zdumiona Kathleen, nie przestając głaskać psiej głowy.

Usłyszawszy swoje imię, wyżeł zamachał krótkim ogonkiem.

– A pani? – usłyszała Kathleen.

– Co: ja?

– No, jak pani na imię?

– Kathleen – odparła, przestając zajmować się psem i unosząc wreszcie oczy na jego właściciela.

Przed nią stał wysoki, przystojny brunet. Niebieskie oczy intensywnie wpatrywały się w rozmówczynię. Kobieta zaczerwieniła się mimowolnie.

Nie zważając na jej zmieszanie, Mike przypiął psa do smyczy, schował piłkę do

kieszeni i powiedział:

– Często przychodzę teraz do parku, to znaczy odkąd mieszkam niedaleko. Nigdy się nie spotkaliśmy.

– Jestem tutaj codziennie wieczorem. Pozwalam sobie na mały spacer po pracy – wyjaśniła Kathleen.

– A gdzie pani pracuje?

Młoda kobieta się zawahała. Jak na obcą osobę Mike zadawał dużo pytań.

– A pan? – odpowiedziała pytaniem.

Mike się roześmiał.

– Znowu jestem niedyskretny – stwierdził. – To moja główna i jedyna wada – dodał z pewnością siebie.

Kathleen wybuchnęła śmiechem.

– Jedyna wada? Jest pan wyjątkową osobą.

– Prawda? Kończę studia medycyny, jeszcze rok i zacznę pracę w szpitalu. Bardzo chciałbym na pogotowiu, ale będzie, co będzie.

– A ja pracuję już od pięciu lat. Ostatnio tu, niedaleko, w małej księgarni.

Mike okazał się miłym rozmówcą i ani się spostrzegli, kiedy dotarli do bramy, którą Kathleen opuszczała park, udając się na przystanek autobusowy.

– Muszę już iść – rzuciła na pożegnanie. – Może spotkamy się innym razem?

– Nie mam wątpliwości – odparł Mike i nieoczekiwanie cmoknął ją w policzek.

Wbrew oczekiwaniom Kathleen nie poczuła się obrażona – raczej dziwnie zmieszana. Odwróciła się i niechętnie skierowała w stronę przystanku. Z przyjemnością spacerowałyby bez końca.

Nadjechał autobus. Młoda kobieta zerknęła na zegarek i z przerażeniem stwierdziła, że spacer zajął jej godzinę więcej niż zazwyczaj. Zapomniała o Mike’u i przemiłym wyśle. Teraz liczyła się tylko Joyce. Czy aby była spokojna pod nieobecność córki?

Droga dłużyła się w nieskończoność. Kathleen wysiadła wreszcie i przyspieszyła kroku. Przed domem stała karetka pogotowia. Młoda kobieta wstrzymała oddech. Co się stało? Wbiegła do domu, zderzając się z Sue.

– Co z mamą? – zapytała przerażona.

– Wszystko będzie dobrze – odparła sąsiadka. – Całe szczęście, że wstąpiłam z ciastem. Zastałam ją w kuchni, miała tak zakrwawione ręce, że wezwałam pogotowie. Zabierają ją do szpitala. Lekarz ci wyjaśni.

W drzwiach kuchni pokazał się lekarz pogotowia. Kathleen natychmiast przypomniała sobie słowa Mike’a: „Kończę studia medycyny, jeszcze rok i zacznę pracę w szpitalu. Bardzo chciałbym na pogotowiu”.

Lekarz przywitał się i w kilku słowach wyjaśnił sytuację. Joyce skaleczyła sobie całą rękę aż do łokcia. Straciła sporo krwi. Zabiorą ją na pogotowie, gdzie spędzi najbliższą noc, i wróci do domu jutro, jeśli wszystko będzie dobrze. Kathleen przytaknęła odruchowo. Czowała się zbита z tropu. Po raz pierwszy w życiu zostanie sama. Sue zdawała się czytać w jej myślach.

– Nie ma mowy, żebyś spała tutaj sama. Przyszykuj, co ci potrzeba, czekam na

ciebie z kolacją. Wszystko będzie dobrze – powtórzyła przyjaznym tonem.

Kathleen uśmiechnęła się z wdzięcznością. Zainteresowany lekarz przysłuchiwał się ich rozmowie.

– Przepraszam, że się wtrącam. Mieszka pani z matką?

– Tak – odparła szczerze Kathleen.

– I pani matka jest sama w domu przez cały dzień? – dorzucił zaniepokojony.

– Nie, niezupełnie. Wracam na godzinę w porze obiadowej i jemy razem posiłek.

Kończę później, to prawda, za to Sue, obecna tutaj moja sąsiadka, przychodzi, kiedy tylko może. Jesteśmy same na świecie, nie mam innego wyjścia. Muszę pracować – dodała z naciskiem.

– Rozumiem. Proszę zadzwonić na pogotowie za jakieś trzy godziny. Powinniśmy skończyć badania, będziemy w stanie udzielić pani dokładniejszych informacji.

– Nie jadę z panem? – zapytała zdumiona Kathleen.

– Nie ma potrzeby. Podaliśmy pacjentce leki uspokajające i usnęła natychmiast. Wygląda na wycieńczoną nerwowo albo fizycznie. Jeszcze nie jestem pewien.

Kathleen się zmieszala. Było jej bardzo przykro. Gdyby nie jej głupi spacer po parku, gdyby nie błękitne oczy Mike’a, gdyby nie miękka psia głowa...

Wzrokiem śledziła nosze, na których leżała śpiąca matka. Karetka ruszyła na sygnale, zostawiając ją z Sue.

– No, Kathleen, kochanie, głowa do góry. Matka jest bezpieczna. Lecę przygotować kolację. Czekamy na ciebie!

Młoda kobieta usłyszała odgłos zamykających się drzwi. Zmęczona opadła na krzesło stojące w korytarzu. Była sama... zupełnie sama. Nie może się poddawać, nie teraz. Sue miała rację – powinna przygotować torbę z ubraniami i zamknąć dom. Udała się do pokoju, wyjęła z szafy starą, zużytą do ostatniej nitki torbę podróżną jej ojca i wrzuciła do niej czyste ubrania. Wypełniła małą kosmetyczkę kilkoma drobiazgami z łazienki i upewniwszy się, że wszystkie okna i drzwi są zamknięte, skierowała się do domu Sue.

Po kolacji zadzwoniła na pogotowie. Wiadomości były dobre: matka zachowała spokój, zdawała się nawet rozmowna i miła w stosunku do personelu szpitalnego. Zgodnie z przewidywaniami lekarza powinna wyjść następnego dnia wieczorem. Kathleen poczuła się lepiej i chętnie wypić herbatę w towarzystwie Sue i jej rodziny. Kiedy zostały same, pomogła sąsiadce sprzątnąć ze stołu. Sue zaproponowała jej, żeby obejrzała z nimi film, ale zmęczona wrażeniami minionego dnia Kathleen padała ze zmęczenia. Podziękowała grzecznie i udała się do pokoju gościnnego, gdzie już czekała jej torba i świeżo pościelone łóżko. Wbrew obawom usnęła natychmiast i spała twardym snem aż do rana. Dzień minął bardzo szybko. Po zakończonej pracy Kathleen pojechała na pogotowie.

– Dzień dobry. Przychodzę po moją matkę. Na imię mi Kathleen.

– Ach, to pani – przerwała jej recepcjonistka. – Proszę poczekać, zaraz będzie lekarz.

Niepokój powrócił silną falą. Młoda kobieta zachwiała się i oparła o kontuar w obawie, że zemdleje. Ktoś ujął ją za rękę i zaprowadził w stronę krzeseł. Znajomy głos

rzucił spokojnie:

– Dzień dobry. A nie mówiłem, że spotkamy się niedługo?

Kathleen wytrzeszczyła oczy. Obok niej siedział Mike.

– Co pan tutaj robi? – wybąkała słabym głosem.

– Mam praktykę. Nie mówiłem pani, że uwielbiam pracę na pogotowiu?

– Tak... nie... Myślałam, że to tylko pańskie marzenia – wyjaśniła zmieszana.

– Bardzo realne te marzenia – roześmiał się Mike. – Zwłaszcza kiedy mam dyżur całą noc, tak jak dzisiaj. A pani? Czemu nie spaceruje pani po parku?

– Moja mama zraniła się wczoraj, jest tutaj, na pogotowiu, czekam na lekarza.

– Pani mama? Czy chodzi o panią Joyce? Kathleen, czy tak ma na imię twoja mama? – zapytał, przechodząc na ty.

– Owszem. Widziałeś ją? – zainteresowała się młoda kobieta, również porzucając formę per pan.

– Poczekamy na lekarza. Nie wolno mi rozmawiać o pacjentach, jestem jedynie studentem i stażystą – odparł Mike wymijająco.

Niebieskie oczy w zamyśleniu wpatrywały się w nową znajomą. Po chwili ciszy Mike dorzucił:

– Nie wiedziałem, że masz takie problemy. Twoja mama nie jest w superformie, prawda?

– Tak. Od śmierci taty nigdy nie doszła do siebie – wyjaśniła Kathleen. – Wcześniej taka nie była, wcześniej byliśmy prawdziwą, normalną rodziną. Potem wszystko się zmieniło, odwróciły się role, teraz ja zajmuję się matką.

Mike objął ją. Kathleen ufnie oparła głowę o jego ramię. Teraz mogła spokojnie czekać na lekarza. Jak dobrze było liczyć na kogoś, podzielić się swoimi problemami.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Wreszcie Mike odezwał się cichym głosem:

– Opowiesz mi?

– Innym razem, dobrze? Jestem przerażona. Coś się stało i nie wiem co. Znam matkę, zdolna jest do wszystkiego...

Mike przytulił ją silniej. Czekali w milczeniu. Jak zwykle w podobnym przypadku czas dłużył się w nieskończoność.

Lekarz pojawił się niespodziewanie. Rzucił okiem na Mike'a i zapytał:

– Co pan tutaj robi? Już po dyżurze?

– Nie, mam przerwę. Spotkałem znajomą, nie chciałem zostawić jej samej.

– Możemy rozmawiać w obecności naszego stażysty?

– Tak, nie ma problemu – odparła Kathleen.

– Pani matka ponownie się zraniła. Proszę się nie niepokoić, to nic poważnego. Przynajmniej jeśli chodzi o jej zdrowie fizyczne. Psychika cierpi już od dawna. Wezwałem psychologa, któremu udało się wydobyć z niej kilka informacji. Pani matka potrzebuje pomocy. Opowiedziała nam o śmierci męża, o pani poświęceniach i cierpliwości, o atakach gniewu, z którymi nie umie sobie poradzić.

– Co pan proponuje? – przerwała Kathleen słabym głosem.

– Spróbuję zatrzymać ją dłużej na pogotowiu. Nasz psycholog może jej pomóc. Zbadamy również jej wzrok. Z tego, co powiedziała, widzi coraz gorzej.

– Byłam u specjalistów – odparła natychmiast młoda kobieta. – Nikt nie umiał nam pomóc.

– Wiem, nie winię pani. Wprost przeciwnie: raczej panią podziwiam. Jest pani jeszcze taka młoda. Niełatwo jest zajmować się kimś tak chorym jak Joyce. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby wam pomóc – dorzucił.

– Dziękuję panu – odparła uspokojona Kathleen. – Mogę do niej zajrzeć?

– Proszę, ale tylko na chwilę. Potrzeba jej odpoczynku. Oto mój numer telefonu – dodał, podając Kathleen małą wizytówkę. – Proszę dzwonić, jeśli nasuną się pani jakieś pytania. Jutro mam dyżur cały dzień. Zobaczymy się wieczorem.

– Tak, przyjdę po pracy.

Lekarz oddalił się szybkim krokiem.

Kathleen zerknęła na Mike'a. Chłopak uśmiechnął się do niej.

– Wiedziałaś o tym, prawda?

– Tak, miałem obchód i byłem w jej pokoju zaraz przed przyjściem psychologa. Ale nie znam całej historii.

– Wejdę do niej, Mike. Zobaczymy się jutro.

Kathleen wspięła się na palce i ucałowała go w policzek.

– Jutro opowiem ci o ostatnich latach mojego życia. Jest mi wstyd, nie odnoszę wrażenia, że zawsze byłam taka cierpliwa, jak twierdzi moja mama. Czasami było mi naprawdę trudno.

– Nikomu nie byłoby łatwo – stwierdził z przekonaniem Mike. – Niewiele osób w twoim wieku zdobyłoby się na opiekę nad własną matką. Wygląda na to, że jesteś wyjątkową osobą. Spokojnie miał rację.

– Co takiego? – zapytała Kathleen, nie rozumiejąc.

– Mój pies nigdy nie bawi się z nieznanymi. A tobie przyniósł piłkę. Najwyraźniej wyczuł, z kim ma do czynienia. Do zobaczenia, Kathleen. Muszę już iść, praca nie poczeka.

– A ja chcę zobaczyć mamę. Po raz pierwszy w życiu nie widziałam jej od ponad doby – odparła dziewczyna.

[1] *Lasagnes* – włoskie danie na bazie prostokątnych płatów makaronu przekładanych farszem z mięsa oraz sosu pomidorowego. Całości nadaje smaku utarty ser parmezan.

Świtało. Znużony czuwaniem Jean zdecydował wreszcie, że nie wytrzyma dłużej. Potrzebował odpoczynku, choćby dwóch, trzech godzin w prawdziwym łóżku. Drzemka na sianie nie była wcale taka romantyczna. A może przekroczył już odpowiedni wiek? Ranna krowa miała się dobrze, spędziła spokojną noc.

Jean opuścił oborę i ociężale skierował się w stronę domu. „Za dwie godziny będzie widno” – pomyślał, spoglądając na niebo. Kolejny dzień z rzędu nie padało. W kuchni pochrapywał Jet. Jean pogłaskał psią głowę i dorzucił drzewa do kominka, z zadowoleniem myśląc, że Cathy zejdzie do ciepłej, solidnie już nagrzonej kuchni. Nie zapalając światła, wszedł po schodach i zamknął za sobą drzwi od łazienki. Prysznic rozgrzał go przyjemnie. Wytarł się szybko, założył piżamę i na palcach zbliżył się do łóżka. Już wyciągał rękę, żeby obudzić żonę, kiedy się zreflektował. Krowa mogła poczekać kilka godzin, budzik i tak zadzwoni za niecałe dwie godziny. Nie namyślając się dłużej, wyciągnął się obok Cathy i obejmując ją ramieniem, z rozkoszą wtulił się w miękką poduszkę. Po nocy spędzonej w krowim boksie miękkie, pachnące świeżą pościelą pościelanie było szczytem luksusu.

Cathy ocknęła się i po omacku wyciągnęła rękę, żeby wyłączyć budzik. Delikatnie uwolniła się z objęcia męża i ziewnęła głęboko. „Nie obudził mnie – pomyślała rozbudzona nagle na dobre – a przecież miałam czuwać nad chorą rankiem. No cóż, pewnie było mu szkoda przerywać mi sen”. Spojrzała na twarz uśpionego Jeana. Pod jego oczami widniały sine cienie. „On również potrzebuje odpoczynku” – pomyślała Cathy. Ubrała się w pośpiechu i zeszła do kuchni, gdzie powitali ją wesoło trzaskający ogień w kominku i uradowany Jet.

Cathy przygotowała śniadanie. Ziewając, skinęła na psa i udała się do obory. Chora miała się znacznie lepiej niż minionego wieczora. Zadowolona Cathy postanowiła zająć się dojeniem. Nie miała wprawy jak mąż, ale krowy były cierpliwe. Po godzinie mogła je nakarmić i wyprowadzić na pole. Szczęśliwy Jet pospieszył za swoją panią. Dzień był szary. Cathy stwierdziła jednak, że ziemia jest sucha, w każdym razie pokrywające podwórko i pola kałuże zniknęły, nie pozostawiając najmniejszego śladu. Sam ten fakt napawał optymizmem.

Młoda kobieta ziewnęła po raz kolejny i udała się w stronę chlewika. Nakarmiła i napoiła świnię, zostały jej teraz jedynie kury. Po skończonej pracy wybrała kilka dorodnych porów pozostałych jeszcze w pustoszejącym z dnia na dzień ogródku i wróciła do domu. Jean kończył właśnie śniadanie. Pomimo kilku godzin odpoczynku wydawał się zmęczony.

– Cathy! – zawołał na widok żony. – Nie obudziłaś mnie?!

– Sama też mogę dać sobie radę – odparła, całując go czule w usta. – Wyglądasz na zmęczonego – dodała, robiąc zatroskaną minę.

– Jestem zmęczony – potwierdził Jean – i za stary, żeby spędzać noc na sianie – dodał i wybuchnął śmiechem. – Siadaj, naleję ci herbaty – dorzucił, wskazując stojące obok krzesło.

Cathy usiadła, ziewając.

– Nie pojmuję, jakim cudem ziewam bez ustanku. Przespałam całą noc, aż do rana. Herbata dobrze mi robi. Nie mam czasu do stracenia.

Jean spojrział na nią pytającym wzrokiem.

– Zapomniałaś o kolacji z Bernadette – stwierdziła Cathy, przyglądając się mężowi z pobłażaniem. – Przez tę historię z chorą krową zupełnie straciłaś głowę – podsumowała.

– Chyba masz rację. O rany, która jest godzina? Krowy czekają na dojenie.

Jean zerwał się z krzesła jak oparzony. Cathy wybuchnęła śmiechem.

– Powinieneś spojrzeć w lustro! Twoje krowy od dawna są wydojone i korzystają ze świeżego powietrza.

– Zrobiłaś całą poranną robotę? I to bez pomocy?

– Mogę pracować równie ciężko, jak wy, mężczyźni! – rzuciła w odpowiedzi Cathy, dumnie unosząc głowę.

– Wcale w to nie wątpię – odparł Jean, szukając ust żony. Po długiej chwili Cathy odsunęła go delikatnie i uśmiechnięta powiedziała:

– Herbata mi stygnie. No i muszę zabrać się do gotowania.

Jean się roześmiał.

– Skoro nie mam nic do roboty, poczytam sobie dzisiejszą gazetę. Powiedz, jeśli będziesz potrzebowała pomocy, dobrze?

– Nie omieszkam – odparła Cathy.

Cały ranek uwijała się w kuchni. Jean siedział przy kominku, wdychając unoszącą się w powietrzu apetyczną woń. Pachniało ciastem, mięsem w sosie i przygotowaną na kolację dużą porcją *lasagnes*. Przy obiedzie Cathy rozziewała się na dobre.

– Nie rozumiem – rzuciła, zakrywając usta dłonią. – Spałam bardzo dobrze, a nie przestaję ziewać. Robię się leniwa czy jak?

– Leniwa raczej nie, wszyscy potrzebujemy odpoczynku. Zima była nadzwyczaj szara i deszczowa. Brakuje nam słońca – odpowiedział z przekonaniem Jean. – Nie powiedziałaś mi jeszcze: co ci się śniło? – zapytał znienacka.

– Och, nic takiego – odparła Cathy. – No dobrze – dodała, widząc uniesione brwi męża. – Opowiem ci w skrócie, tylko mi nie przerywaj.

Potoczyła się opowieść o Kathleen i jej kłopotach, o chorej matce, cierpliwości i poświęceniu młodej dziewczyny.

– Musisz przyznać, że ten sen nie ma w sobie nic szczególnego – zakończyła Cathy.

– Tak i nie – odpowiedział Jean. – Nie ma wątpliwości. Kathleen jest odpowiednikiem Catherine. Co do reszty: trzeba by się zastanowić albo skonsultować z Julią – dorzucił z uśmiechem.

– Julia!

Cathy zerwała się na równe nogi.

– Zapomniałam o Julii. Nawet nie zadzwoniłam, żeby zapytać, jak dzisiaj się czuje. Nieźle jak na przyjaciółkę, prawda?

– Przy okazji zapewnij Martina, że nasza chora ma się znacznie lepiej – rzekł Jean, spokojnie śledząc żonę wzrokiem.

Cathy podbiegła do telefonu. Rozmowa nie trwała długo. Jean zebrał ze stołu i zaczął wkładać brudne naczynia do zmywarki, kiedy usłyszał za plecami głos żony:

– Julia ma się znacznie lepiej. Gorączka spadła, pozostał kaszel. Woli zostać w domu jeszcze dzień lub dwa. Za to Martin będzie u nas za jakąś godzinę. Chce odwiedzić chorą – dodała z uśmiechem. – Poczytam sobie – stwierdziła. – Przez ten czas i tak nie mam nic innego do roboty.

Chwyciła jedną z zakupionych w Nantes książek i przysunęła krzesło do kominka. Usiadła wygodnie, oparła stopy o granitowy brzeg i pogrążyła się w lekturze.

Jean założył ciepłą kurtkę i na palcach wyszedł z kuchni. Wolał poczekać na Martina na zewnątrz. Miał jeszcze sporo pracy w ogródku, zamierzał także wymienić słomę w boksach. „Krowy będą zadowolone” – pomyślał.

Martin zastał go przy tej czynności. Mężczyźni powitali się jak starzy znajomi. Zajrzeli do chorej. Oględziny wypadły bardzo dobrze. Krowa stała spokojnie, przeżuając posiłek, który pochłonęła do ostatka.

– Po raz pierwszy, od kiedy jest ranna, zjadła całą poranną porcję paszy – skomentował zadowolony Jean.

– Tak, to dobry znak – potwierdził Martin.

– Jutro będzie weterynarz – przypomniał Jean. – Mam nadzieję, że nie przepisze jej kolejnych antybiotyków. Chcesz zajść na kawę? – zapytał, zmieniając temat.

– Chętnie, ale nie zostanę długo. Pola wyschły, spróbuję wyprowadzić traktor i zorać działkę leżącą najbliżej domu.

Dyskutując o pogodzie, dotarli do kuchni i zamarli zdziwieni. Cathy spała przy kominku. Książka wymknęła się jej z rąk i zsunęła na podłogę. Mężczyźni wymienili spojrzenia. Już mieli się wycofać, kiedy Jet zbliżył się do swojej pani i zamasyście polizał jej dłonie. Młoda kobieta obudziła się natychmiast. Pogłaskała psią głowę i uśmiechnęła się do przybyłych.

– Macie ochotę na kawę? Chyba usnęłam – dodała ze zdziwieniem, podnosząc książkę.

Martin przywitał się i sięgnął do kieszeni.

– Julia obliczyła, ile jesteśmy ci winni za zakupy, Cathy – powiedział, podając jej złożoną w pół kopertę. – Dziękuję za pomoc – dodał. – Nie lubię robić zakupów. Gdyby nie ty, musiałbym jeść ziemniaki przez cały tydzień. Nie wspominając już o samym fakcie, że dzięki tobie mogłem nakarmić Julię.

Cathy zawahała się, ale przyjęła kopertę i podziękowała. Usiedli przy stole, rozprawiając o zaplanowanej kolacji z Bernadette i jej małżonkiem. Cathy była pełna nadziei. Tym razem nie popełni żadnej gafy – obiecywała sobie w duchu. Martin przyznał wreszcie, że Julia była bardzo nieszczęśliwa: nie tylko była chora, ale traciła z tego powodu całą przyjemność uczestniczenia w konwersacji swojej nowej przyjaciółki z najbardziej zaciętą z sąsiadek. Cathy wybuchęła śmiechem. Oczywiście wyobraźni widziała Julię niecierpliwie kręcącą się w łóżku. Opanowała się i zapewniła gościa:

– Mnie również brakuje towarzystwa Julii. Zadzwoń, jak tylko będę mogła. Nawet późnym wieczorem – dodała.

Martin pożegnał się wkrótce. Cathy nakryła do stołu w jadalni, żałując, że nie miała kwiatów w ogródku. Trudno, będzie trzeba obejść się bez dekoracji. Skończywszy, cofnęła się, żeby rzucić okiem na całość. Musiała przyznać, że stół wyglądał bardzo

ładnie. Jean nie oszczędził jej słów uznania.

Dobiegała pora kolacji. Krowy zostały wydojone i nakarmione. Jean zaszedł do chorej. Wrócił uspokojony. Pozostawało przebrać się i czekać na gości. Punkt dwudziesta zadzwonił telefon. Cathy chwyciła słuchawkę.

– Halo! – zawołała dźwięcznym głosem.

– Dobry wieczór, Bernadette przy telefonie. Chciałam panią uprzedzić, że za chwilę wyjedziemy z domu. Do zobaczenia – dorzuciła rozmówczyni i odłożyła słuchawkę.

Cathy spojrzała na Jeana.

– Bernadette – rzekła spokojnie. – Właśnie wyjeżdżają z domu, co oznacza, że będą za jakiś kwadrans. Słowo daję, ta kobieta potrafi mnie zadziwić. Oczywiście nie dała mi najmniejszej szansy na odpowiedź, po prostu zawiadomiła mnie o spóźnieniu i odłożyła słuchawkę.

Jean się uśmiechnął.

– Będą kwadrans po czasie. Zauważyłaś, że tutejsi mieszkańcy są stale spóźnieni o piętnaście minut, zupełnie jakby była to dla nich kwestia honoru?

– Owszem, zauważyłam i nie lubię tego. Trudno, poczekamy. Całe szczęście, że nie przewidziałam sufletu.

– Nie powiedziałaś mi, jak ma na imię jej mąż – rzucił Jean.

– Bo nie wiem. Wszyscy mówią o nim: mąż Bernadette. Widziałam go tylko raz i nie pamiętam, żeby się odezwał. No, może wypowiedział jedno zdanie. Nie było go w domu, kiedy po raz kolejny złożyłam im wizytę. Ale, ale... Zapomniałabym: rozmawiałam z nim przez telefon.

– Myślisz, że Bernadette trzyma go pod pantoflem? – zażartował Jean.

– Wiem, że tak jest – rzuciła z przekonaniem Cathy. – Nie sądzę, że możemy liczyć na jego pomoc. Nic wspólnego z Robertem – dorzuciła w zamyśleniu. – Nie, musimy przekonać Bernadette. Jeśli nam się nie uda... wszystko będzie stracone. Słyszysz? Ktoś przyjechał – dodała, spoglądając na rozbudzonego nagle psa.

Cathy podniosła się i spokojnie udała w stronę drzwi, żeby przywitać sąsiadów. Jean nie ukrywał podziwu. Był dumny: jego żona potrafiła zachować zimną krew w każdych okolicznościach.

Cathy powitała przybyłych z uśmiechem na ustach. Wskazała im wieszak na ubrania i zaprosiła do wejścia, dziękując za poświęcenie im wieczoru. Zaprowadziła gości do jadalni i poprosiła, żeby usiedli. Bernadette odezwała się nieoczekiwanie:

– Piękny stół – powiedziała powoli.

– Dziękuję pani. – Cathy się rozpromieniła. – Nie przedstawiłam jeszcze mojego męża. Oto Jean. A to są Bernadette i jej mąż... – Cathy zawiesiła głos. – Nawet nie wiem, jak panu na imię.

– Mój mąż ma na imię Bertrand – odpowiedziała natychmiast przybyła.

Cathy i Jean wymienili spojrzenia. „Jest gorzej, niż myślałam – stwierdziła w duchu Cathy. – Ten mężczyzna nawet nie ma prawa się odezwać”.

– Miło mi pana poznać – usłyszała głos Jeana.

Bertrand wybąkał kilka niezrozumiałych słów. Jego żona odezwała się ponownie:

– Spóźniliśmy się z mojej winy. Złożyłam wizytę Julii. Tak, miała pani rację,

dobrze jest liczyć na pomoc sąsiadów – dodała.

Cathy z trudem ukryła zdumienie.

– Prawda? Jak się ma Julia? Nie mogłam wpaść do niej dzisiaj. Mamy chorą krowę – wyjaśniła.

– Wiem – powiedziała Bernadette. – Martin zrobił mi kawę. Julia już nie gorączkuje, jest jeszcze zmęczona. Zaniiosłam im trochę zupy i zapiekankę z ziemniaków. Ciepła kolacja dobrze im zrobi.

– *À propos* kolacji: pewnie są państwo głodni. Ja również zrobiłam zupę – rzuciła Cathy, podnosząc się z miejsca. – Już ją podaję – dodała ciepłym głosem.

Posiłek minął na wymianie grzeczności, rozmowie o pogodzie i miasteczku. Bernadette okazała się rozmowna, Bertrand milczał, potakując każdemu słowu swojej małżonki. Kiedy na stole pojawiło się ciasto, Cathy nie wytrzymała:

– Tak mi miło, że wreszcie możemy porozmawiać. Chciałabym skorzystać z okazji, żeby...

– Stop – rzuciła krótko Bernadette.

– Ale... – zaprotestowała Cathy.

– Zgadzą się z pani propozycją – dodała przybyła, dumnie unosząc głowę.

– Co takiego? – wybąkała zagubiona nagle Cathy. – Z jaką propozycją?

– Pokoje gościnne są niezłym pomysłem. Prawda, Bertrand?

– Tak, bardzo dobrym pomysłem – potwierdził nieoczekiwanie Bertrand. – Nasze budynki gospodarcze są w bardzo złym stanie, to fakt. Za to położenie gospodarstwa jest wyjątkowe i po remoncie można zrobić kilka pokoi. Przyniosłem plany – dorzucił, podnosząc się i kierując w stronę płaszcza zawieszzonego przy drzwiach wejściowych.

Cathy i Jean śledzili każdy ruch gościa, nie dowierzając własnym oczom i uszom. Przez cały wieczór Bertrand milczał jak niemy, a teraz nie zamykał ust. Tego się nie spodziewali.

Bertrand wrócił do stołu i rozłożył przyniesione przez siebie rysunki. „Jest zdolny” – pomyślała natychmiast Cathy, spoglądając na szkice.

– Powierzchnia budynków pozwoli na przygotowanie kilku pokoi z małymi łazienkami. Ubikacje będą w łazienkach, ewentualnie osobno, ale tylko dwie: jedna na każdym końcu korytarza.

– Wygląda to bardzo ładnie – rzekła szczerze Cathy. – Byłam pewna, że wspólnymi siłami uda się nam dopiąć celu. Pana projekty są naprawdę ciekawe. Pozostaje nam stawić czoła bankowi – dodała z uśmiechem.

– Nie tylko – rzuciła natychmiast Bernadette. – Niech pani nie zapomina o mojej sąsiadce.

– Mamie małej Carli? – zapytała Cathy.

– Tak. Wiem, że ją pani odwiedziła – dodała szorstkim głosem. – Pomysł jest dobry, ale będziemy potrzebowali rąk do pracy. Dobrze byłoby pożyczyć tylko sumę niezbędną do rozpoczęcia prac. Powinno się udać, ale sama pani powiedziała, że musimy trzymać się razem. Zgadzą się z panią – dodała wyniośle.

Cathy spojrzała na Bernadette, rzuciła okiem na Bertranda i uśmiechnęła się.

– Jutro pojedę do pani sąsiadki. Jak jej na imię?

– Laura. Jest wdową – dodała Bernadette.

– Tak mi przykro – powiedziała szczerze Cathy. – Co się stało? Nie pytam z prostej ciekawości. Nie chciałabym urazić Laury.

– Wypadek samochodowy. Od kilku lat mamy wyjątkowo ciepłą i wilgotną zimę. Ale miewaliśmy tutaj mrozy i gołoledź – dodała cichym głosem. – Victor stracił kontrolę nad samochodem, wracając z zakupów. Zmarł na miejscu, zanim przyjechała pomoc. Od tego czasu Laura sama zajmuje się Carlą i obejściem. Jest jej ciężko, myślała już o porzuceniu gospodarstwa i wyjeździe do miasta, ale najpierw trzeba znaleźć pracę, a o to nie jest dzisiaj tak łatwo.

– Teraz rozumiem – rzuciła Cathy w zamyśleniu. – Mogę zachować pana projekty?
– zwróciła się do Bertranda.

– Tak. Ewentualnie udam się z panią do banku – zaproponował mężczyzna.

– Chętnie – odparła zdumiona Cathy. – Jutro będę u Laury, zajdę potem do państwa.

Na te słowa Bernadette wstała, dając do zrozumienia, że kolacja miała się ku końcowi. Małżonkowie odprowadzili gości i pożegnali ich grzecznie, dziękując za odwiedziny. W milczeniu zebrali talerze, sprzątnęli jadalnię i usiedli z filiżankami ciepłej herbaty ziołowej w rękach.

Cathy odezwała się pierwsza:

– Czuję się zupełnie oszołomiona. Superwieczór, prawda?

– Tak. Tego się nie spodziewaliśmy, ani ty, ani ja – odparł Jean.

– Masz rację – przyznała Cathy. – Bertrand jest prawdziwą cichą wodą i bardzo się z tego cieszę. Czuję, że zapalił się do naszego projektu. Kolacja się udała, jak myślisz?

– Nadzwyczajnie! – odparł z przekonaniem Jean. – Rozmowa była po części raczej banalna, ale za to uniknęliśmy ciszy. Teraz muszę ci się przyznać, że czułem się jak na egzaminie. Nie przypominam sobie podobnego stresu od czasów matury. – Roześmiał się odprężony. – Nie zamierzasz zadzwonić do Julii?

– Jest późno. Sama nie wiem, może już się położyli. Nie chciałabym przeszkadzać.

– Założę się, że twoja nowa przyjaciółka umiera z ciekawości. Nie uśnie, dopóki jej nie zaspokoi.

– Poddaję się. Ale uprzedzam cię z góry: jeśli ją obudzę, zrzucę winę na ciebie!

– W takim razie mogę być spokojny – odparł z powagą Jean.

Julia odebrała natychmiast.

– Cathy. Nareszcie! Jest późno, nie powiesz mi, że spędziliście cały ten czas z gośćmi – rzuciła jednym tchem.

– No właśnie. Owszem, siedzieli z nami cały ten czas i zgadzają się z naszym projektem. Bertrand zaproponował mi nawet, że uda się ze mną do banku. Co ty na to?

– Byłam tego pewna – odparła Julia z przekonaniem. – Ty jedna mogłaś stawić im czoła!

– Nie przesadzaj – rzuciła Cathy, która w głębi duszy czuła się dumna. – Teraz wiesz już wszystko, wracaj do łóżka. Brakuje mi ciebie!

– Mnie również brakuje twojego towarzystwa, Cathy – stwierdziła Julia. – Nienawidzę siedzieć sama w domu, niczego nie robiąc. Masz rację, położę się teraz. Pa!

Cathy ziewnęła i zadowolona z siebie udała się do pokoju. Jutro czeka ich mnóstwo

obowiązków. Poza zwykłą, codzienną pracą muszą porozmawiać z Laurą i poczekać na weterynarza i jego diagnozę co do rannej krowy. Nie zostanie im już ani chwili, żeby pójść do banku.

Jean pochrapywał przez sen. Cathy przytuliła się do męża, nie przestając ziewać. Usypiając, pomyślała zdziwiona, że od kilku dni była inną osobą, a może kilkoma osobami naraz? „Wszystkiemu winne są te dziwne sny. Swoją drogą, zaczynają mi się podobać. Ojejku, ale jestem zmęczona...”

Chwilę później w przytulnym pokoiku rozległo się donośne chrapanie obu małżonków.

*

Catalina odetchnęła z ulgą. Nie lubiła wtorków i wyjątkowo uciążliwego rozkładu zajęć, który zaproponowano jej na te dni. Pracowała w liceum już od dziesięciu lat. Miała tutaj kilka dobrych koleżanek i miłych kolegów. Любиła uczniów i swój zawód. Historia pasjonowała ją od małego. Z prawdziwą satysfakcją przekazywała posiadaną wiedzę nastolatkom. W tym roku jednak wtorki dłużyły się w nieskończoność. Zaczynała o dziewiątej rano, kończyła o siedemnastej. Wprawdzie trzygodzinna przerwa przeznaczona na odpoczynek pozwalała jej się oderwać od rzeczywistości, ale od jakiegoś czasu Catalina nie wiedziała, co z sobą zrobić. Życie nie układało się tak, jak sobie tego życzyła. Jedynie praca była co do joty zgodna z jej marzeniami. Młoda kobieta pragnęła jednak czegoś więcej: nadszedł odpowiedni czas, żeby założyć rodzinę. Koleżanki powychodziły za mąż, tu i ówdzie przychodziły na świat dzieci. Ona nadal była sama. Miała wielu znajomych, z którymi wyjeżdżała na wakacje. W gronie najbliższych przyjaciół było jednak coraz więcej par, w rezultacie Catalina często czuła się sama jak palec.

Na studiach poznała paru miłych chłopaków, ale zawsze coś się nie kleiło. Kiedy dwa lata temu spotkała Federica, zakochała się w mgnieniu oka. Młody mężczyzna był kawalerem. Pracował jako inżynier. Interesował się historią, uwielbiał góry i wspinaczki. Catalina czuła się z nim wyjątkowo dobrze. Nie brakowało im tematów do rozmów, lubili kino i włoskie restauracje. Według znajomych tworzyli wyjątkowo udaną parę, pasowali do siebie. Oboje szczupli, średniego wzrostu, ciemnej karnacji, o czarnych włosach i dużych, piwnych oczach.

Szybko zdecydowali się na wynajęcie pierwszego wspólnego mieszkania w Barcelonie. Federico dużo pracował. Wychodził z domu wczesnym rankiem, wracał późnym wieczorem. Para nadrabiała stracony czas w weekendy.

Po roku szczęścia Catalina zaczęła stawiać sobie coraz więcej pytań. Owszem, znalazła osobę czującą, cierpliwą, potrafiącą godzinami rozprawiać z nią na rozmaite tematy. Mimo to zdawała sobie sprawę, że samotne wieczory w tygodniu jej ciążyły. Była nauczycielką, miała więc długie wakacje, Federico zaś miał je krótkie. Pasjonował go zawód inżyniera. Catalina znów spędzała wolny czas z przyjaciółmi. Nie było mowy ani o ślubie, ani o dzieciach. A przecież pasowali do siebie, rozumieli się doskonale. Kiedy Dolores, najbliższa przyjaciółka Cataliny, oznajmiła jej, że wkrótce wyjdzie za mąż, ta druga poczuła, że jej cierpliwość osiąga granice. „Za dwa miesiące skończę trzydzieści

cztery lata – myślała rozgoryczona – może powinnam porozmawiać szczerze z Federikiem”.

Zbliżał się weekend. Młoda kobieta zarezerwowała stolik w ich ulubionej pizzerii. Nie chciała zwlekać. Dolores miała rację: powinna przedstawić sprawę jasno i poprosić o równie jasną odpowiedź.

W piątek wieczorem Federico wrócił, jak zwykle pod koniec tygodnia, około północy. Catalina wiedziała, że po pracy spędzał czas z kolegami przy lampce wina albo dobrym piwie. Nie przeszkadzało jej to, ona również miała swoich znajomych. Z biegiem czasu jednak te piątkowe samotne wieczory męczyły ją coraz bardziej... I wszystko wskazywało na to, że tylko ją. Tego wieczoru postanowiła poczekać. Miała masę klasówek do sprawdzenia, poświęciła cały wieczór na pracę, usiłując nie myśleć o niczym innym. Federico zastał ją pochyloną nad pracą ostatniego ucznia z klasy maturalnej. Zdziwiony zatrzymał się na chwilę w progu.

– Nie śpisz? – zapytał.

Catalina uśmiechnęła się mimo ogarniającego ją teraz zmęczenia.

– Czekałam na ciebie. Miałam ochotę na spędzenie jutrzejszego wieczoru w pizzerii. Zarezerwowałam stolik.

– Świetny pomysł – odparł Federico, zbliżając się.

Przysiadł obok niej. I nadal zdziwiony zwrócił się z kolejnym pytaniem:

– I czekałaś na mnie, żeby mi o tym powiedzieć? Co się stało?

– Skądże – odpowiedziała wymijająco Catalina. – Miałam sporo pracy. Popatrz, prawie skończyłam. Będę spokojna przez weekend. Kładziemy się?

– Chętnie – zgodził się z miejsca młody mężczyzna. – Dzień był wyjątkowo długi i nużący.

To mówiąc, ujął Catalinę za rękę.

– Cieszę się, że wszystko w porządku. Przestraszyłaś mnie – przyznał cicho. Szybkim gestem uniósł trzymaną dłoń i pocałował ją czule.

Catalina czuła, że topnieje. Federico zawsze potrafił zachować się zgodnie z jej oczekiwaniami. Przytuliła się i obejmując go ramionami, odnalazła ciepłe usta. Była z nim szczęśliwa. Ufała, że jutro uda się jej porozmawiać o nękających ją obawach i nadziejach na przyszłość.

Sobota minęła na leniuchowaniu. Młoda para obudziła się późnym rankiem, zjadła śniadanie w łóżku, udała się na zakupy do centrum i wróciła do domu po południu. Catalina przygotowała sałatę z pomidorkiem, serem feta, czarnymi oliwkami i cieniutko pokrojoną czerwoną cebulką. Podała z nią filety z piersi kurczaka. Obiad przebiegł w radosnej, domowej atmosferze. Federico zdawał się nie pamiętać o wczorajszym wieczorze. Ona nie była w stanie myśleć o niczym innym i chociaż starannie ukrywała niecierpliwość, czuła rosnący niepokój. Zgodnie zdecydowali, że udadzą się do pizzerii piechotą. Pogoda zachęcała do spaceru, oboje lubili ruch, poza tym mieli ochotę na butelkę włoskiego wina. Samochód uniemożliwiał ten plan, najlepiej będzie, jeśli wrócą taksówką.

Przekomarzając się, śmiejąc i żartując, dotarli do restauracji około dwudziestej. Zamówili pizzę i białe wytrawne wino Giusti. Federico napełnił kieliszki i zachęcającym

gestem uniósł swój, uśmiechając się do Cataliny.

– Zdrowie!

– Zdrowie – odparła Catalina, obdarzając mężczyznę promiennym uśmiechem.

I tu czekała ją niespodzianka. Federico postawił kieliszek i zapytał:

– Chciałaś ze mną porozmawiać?

– Skąd wiesz? – wybąkała zdziwiona.

– Catalina, jesteśmy ze sobą od ponad roku. Ani razu nie czekałaś na mnie w piątek wieczorem.

– To prawda – przyznała natychmiast młoda kobieta. – I masz rację, chciałam porozmawiać.

– Słucham cię – zachęcił Federico, ponownie sięgając po swój kieliszek.

– Robię się stara – rzuciła Catalina bez ogródek. – W każdym razie odnoszę wrażenie, że czas leci coraz szybciej.

– No i...?

– Tak bardzo chciałabym mieć dzieci – wyszeptała, spuszczać wzrok.

Przez chwilę panowała krępująca cisza. Całe szczęście, że pizzeria była pełna w sobotnie wieczory. Wreszcie Federico odezwał się spokojnym głosem:

– Przyznaję, że nie pomyślałem o tym. Dobrze nam we dwoje.

– Tak, ja też tak myślę, tyle tylko że niedługo skończę trzydzieści cztery lata. Starzeję się – dodała, zdobywając się na uśmiech.

– I czekasz na szczerą odpowiedź, tak?

Catalina skinęła głową na potwierdzenie. Tym razem nie udało się jej wypowiedzieć choćby jednego słowa.

– I jest to dla ciebie tak ważne?

– Bardzo – rzuciła, wpatrując się w partnera z zapartym tchem. – Bardzo ważne...

– No cóż, będę szczery. Praca pochłania mnie na całego. Lubię zawód inżyniera. Lubię leniuchowanie w łóżku w weekendy, nasze wypady w góry, do restauracji, do kina. Dziecko zmieni to wszystko bezpowrotnie.

– Wiem i jestem na to gotowa – odparła młoda kobieta.

– Sam nie wiem – przerwał jej Federico. – Nie czuję się na siłach, żeby pogodzić dotychczasowy tryb życia z obecnością niemowlaka i całą masą obowiązków z nim związanych. Przykro mi, czekałaś na szczerą odpowiedź.

W oczach Cataliny zakręciły się łzy. Opanowała się i resztką sił wyszeptała:

– To znaczy, że nie zamierzasz ustąpić?

– To znaczy, że nie jestem na to gotowy. Może za jakiś czas...

Zbliżył się kelner. Na stole pojawiły się pachnące, świeżo upieczone pizze. Catalina straciła apetyt. Federico jadł w milczeniu. Młoda kobieta gorączkowo zastanawiała się, jak powinna zareagować. Odejść i zostawić go samego? Dać do zrozumienia, że uważa go za egoistę? Wyjaśnić, że nie chciała czekać w nieskończoność? Wybrała milczenie, nie mogąc się zdecydować na żadną z możliwych opcji.

Kolacja skończyła się dużo szybciej, niż przewidywali. Federico zamówił taksówkę. Dotarli do domu i nadal milcząc, zgodnie udali się do kuchni. Catalina nastawiła wodę na herbatę. Federico wyjął filiżanki. Kiedy wreszcie usiedli przy stole,

młody mężczyzna przerwał przeciągającą się ciszę:

– Co teraz będzie?

– Nie wiem – odparła szczerze.

– Nie możemy milczeć przez resztę życia.

– Nie. Wiesz, jestem gotowa na wiele poświęceń...

– Ale nie zrezygnujesz z dziecka.

– No właśnie, nie zrezygnuję z dziecka – potwierdziła Catalina, odzyskując pewność siebie. – Tak mi przykro – dodała. – Naprawdę jest mi z tobą dobrze...

– Rozumiem – przerwał Federico, podnosząc się. – Dasz mi parę tygodni do namysłu?

– Tak, oczywiście. Co zamierzasz zrobić? – zapytała zdziwiona.

– Wezmę kilka ubrań i innych rzeczy osobistych. Znajdę pokój w hotelu.

Zadzwoń do ciebie, dobrze?

Federico odwrócił się i wyszedł z kuchni. Catalina opuściła głowę. Łzy płynęły teraz po policzkach młodej kobiety. Nie ukrywała ich. Nie miała powodu, była sama. Potwierdził to rozlegający się po chwili odgłos zamykanych drzwi wejściowych. Usnęła przy kuchennym stole z głową opartą na rękach.

Tydzień dłużył się w nieskończoność. Automatycznie poprawiała uczniów, recytowała lekcje, dyktowała streszczenia. Dolores dzwoniła każdego wieczora, dzięki niej Catalinie udało się przetrwać.

Wczesnym wieczorem w piątek Catalina przygotowała parę kanapek i usiadła przed telewizorem. Nie miała ochoty na żadne wyjścia. Odrzuciła kilka zaproszeń. Nawet namawiającej ją na domową kolację Dolores nie udało się postawić na swoim. Skupiona na wiadomościach Catalina zdrętwiała nagle, słysząc odgłos klucza. Ktoś otwierał drzwi! Jedynie Federico miał zapasowe klucze. Serce biło jej teraz na całego. Była dwudziesta. Czyżby z jej powodu zrezygnował z wieczorku z kolegami? Wstała, ale nie miała sił, żeby zrobić choćby krok naprzód. Federico pojawił się w drzwiach do pokoju. Był nieogolony, na jego twarzy malowało się napięcie, a opuchnięte oczy odzwierciedlały zmęczenie. Najwyraźniej mężczyzna cierpiał tak jak ona. Catalina drżała od stóp do głów. Przez chwilę wpatrywali się w siebie, wreszcie wiedzeni nieznaną siłą zbliżyli się, nie mogąc oderwać od siebie wzroku. Federico wyciągnął ramiona. Catalina przytuliła się całym ciałem. Następnie dali się ponieść emocjom. A przecież niczego nie zaplanowali... nie było takiej potrzeby. Kochali się przez całą noc, aż do świtu. Najpierw gwałtownie, szaleńczo, potem czule, tkliwie.

Zasnęli w porze śniadania zmęczeni długim czuwaniem. Catalina ocknęła się pierwsza. Z czułością spojrzała na śpiącego jeszcze Federica. Nie mógł dać jej piękniejszej odpowiedzi. Czowała się tym szczęśliwsza, że nie spodziewała się podobnego rozwiązania.

– Nad czym tak dumasz?

Federico obudził się również i przyciągnął do siebie młodą kobietę.

– Tak sobie rozmyślałam – odparła uśmiechnięta Catalina.

– Co powiesz na śniadanie i pranie? W przedpokoju mam torbę pełną brudnej bielizny i ubrań z całego tygodnia.

Wybuchnęli śmiechem. Weekend zleciał za szybko. Nie widzieli się od tygodnia, mieli sobie tyle do opowiedzenia.

Kolejne dni i tygodnie przypominały piękny sen, którego zwieńczenie stanowił pewien wtorkowy wieczór. Tego dnia Catalina zdała sobie sprawę, że od trzech dni powinna mieć miesiączkę. Po pracy wstąpiła do apteki. Przy kolacji wyciągnęła w stronę Federica małą papierową torebkę.

– Jak na prezent dziwne opakowanie – stwierdził uśmiechnięty.

– Otwórz! – rzuciła w odpowiedzi.

Federico wyjął długie kartonowe pudełko zawierające test ciążowy.

– Masz spóźnienie? – zapytał wyraźnie zaniepokojony.

– Tak. Trzy dni – odparła Catalina.

– Jak to możliwe?!

– Kiedy się rozstaliśmy, byłam tak nieszczęśliwa. Dawałam sobie radę z pracą i obowiązkami zawodowymi, ale pamięć mi szwankowała. Musiałam zapomnieć pigułki.

– No tak... – Federico przeciągnął językiem po wysuszonych nagle ustach. – Kochaliśmy się całą noc. Musiało wystarczyć.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytała Catalina, wyczuwając jego napięcie.

– Stanąć na wysokości zadania – odparł bez wahania Federico. – Jeśli będzie taka potrzeba. Nie zrobiłaś jeszcze testu?

– Nie, trzeba poczekać do rana.

– Nie bój się, Catalina, nie zostawię cię samej z małym dzieckiem – zapewnił Federico.

Młoda kobieta uśmiechnęła się smutno. Nie chciała się narzucać. Federico nie wyglądał na zadowolonego. A przecież nie chciała go oszukać! Była taka zagubiona. Przepelniały ją mieszane uczucia: tak pragnęła stać się matką! Z drugiej jednak strony obawiała się, że przyparty do muru Federico nie będzie szczęśliwym ojcem. „Trudno – pomyślała – stało się”.

Po źle przespanej nocy Catalina obudziła się wcześniej. W pośpiechu udała się do łazienki. Za chwilę będą mieli odpowiedź. Na białym tle pojawiły się dwie różowe kreski. Catalina uśmiechnęła się przez łzy. Nie zwlekając, wyszła z łazienki. Siedzący na łóżku Federico spojrzał na nią pytająco. Bez słowa podała mu test. Młody mężczyzna się uśmiechnął.

– Powinnaś umówić się na wizytę u ginekologa. Cieszę się, Catalina... Naprawdę się cieszę.

– Zadzwoń w przerwie między zajęciami. Chcę być pewna, chociaż testy są w miarę wiarygodne, nawet do dziewięćdziesięciu dziewięciu procent.

– Uprzedź mnie, pójdę z tobą na wizytę – powiedział Federico, przytulając partnerkę delikatnie.

Catalina nie znalazła odpowiedzi. Czuała się szczęśliwa jak nigdy dotąd.

Ginekolog potwierdził ciążę. Pierwsze miesiące minęły zadziwiająco szybko. Młodzi zgodnie postanowili wykorzystać każdą wolną chwilę. Dużo wychodzili. Federico wracał teraz wcześniej, nie chciał zostawiać swojej towarzyszki samej. W weekendy nie brakowało w ich domu przyjaciół. Para przyjmowała również wszystkie zaproszenia,

wyjeżdżała na sobotę lub niedzielę w góry, gdzie do woli korzystała ze świeżego powietrza. Tak, to były szczęśliwe miesiące. Catalina promieniała. Czuła się dobrze, comiesięczne wizyty u ginekologa potwierdzały, że płód rozwijał się prawidłowo.

Pewnego ranka obudziła się dziwnie zmęczona. Przesunęła ręką po brzuchu, był to gest, który wykonywała odruchowo kilka razy dziennie. Tym razem coś się zmieniło. Nie poczuła najmniejszego ruchu. Niespokojna zadzwoniła do pracy i oznajmiła, że nie czuje się dobrze i nie może stawić się na zajęciach. Następnie, nie przestając głaskać zaokrąglonego już wyraźnie brzucha, oddała się gorączkowemu oczekiwaniu. Ginekolog zaczynał pracę dopiero około dziewiątej. Nie chciała niepokoić Federica, wołała spotkać się najpierw z lekarzem. Udało się jej umówić na wizytę przed południem. Maluch nadal nie dawał znaku życia. Ginekolog z powagą potwierdził jej przypuszczenia: coś było nie w porządku, potrzebne były dodatkowe badania. Dzidziusź żył nadal, ale zbyt powolny rytm serca nie wróżył niczego dobrego.

Catalinę przewieziono prosto na pogotowie. Tym razem zadzwoniła do Federica i z całym możliwym spokojem w kilku słowach opisała mu sytuację, tłumacząc, że ginekolog radził wykonanie dodatkowych, szczegółowych badań w szpitalu. W oczekiwaniu na wyniki Catalina leżała w szpitalnym łóżku, a zamyślony Federico trzymał ją za rękę. Czas dłużył się w nieskończoność. Byli zaniepokojeni, tym bardziej że Catalina krwawiła. Małe plamki krwi pojawiały się w trakcie oddawania moczu. Młoda para wiedziała jednak, że może być to złą oznaką.

Lekarz zjawił się wreszcie. Stwierdził problem z łożyskiem oraz dużo poważniejszy wyciek płynu owodniowego. Sytuacja była bardzo niebezpieczna dla maluszka. Catalina nie mogła opuścić szpitala. Pięć miesięcy ciąży to niewiele. Należało uzbroić się w cierpliwość, leżeć w łóżku i nie tracić nadziei. Liczył się każdy dzień. Z każdym kolejnym dniem płód się rozwijał, zwiększając swoje szanse na przeżycie w razie przedwczesnego porodu. Catalina nie potrafiła już powstrzymać płaczu. Szlochała głośno, pociągając nosem, głucha na pocieszające słowa Federica. Wieczorem udało się jej opanować. Była przerażona. Tak bardzo cieszyła się na myśl o dziecku... Co się stało? Może była za stara? Dlaczego lekarz nie uprzedził jej, żeby na siebie uważała? Tak wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi. Federico przekonał ją wreszcie, że spokój pomoże jej przetrwać te trudne chwile, a stres może tylko zaszkodzić dziecku.

Minął niesłychanie długi tydzień. Lekarze nie dawali już żadnej nadziei na prawidłowy rozwój ciąży. Odpoczynek mógł jedynie opóźnić poród i dać większe szanse na przeżycie maluszka. Catalina i Federico trzymali się razem. Młody mężczyzna pracował niewiele, często przebywał w pokoju Cataliny świadomy, jak trudno jej było czekać na konieczny przedwczesny poród. Nie ukrywał podziwu. Początkowo załamana młoda kobieta była teraz opanowana, zdeterminowana, nie poddawała się, postanowiła walczyć do ostatnich sił. Po kilku dniach Catalina zdobyła się nawet na uśmiech, kiedy pojawił się z wizytą.

– Jak myślisz – odezwała się na jego widok – uda nam się wytrzymać jeszcze dwa tygodnie? Lekarz zapewnił mnie, że po upływie sześciu miesięcy szanse naszego maluszka znacznie się zwiększą.

– Mam nadzieję – odparł Federico, całując ją w usta. – Dobrze wyglądasz –

stwierdził uspokojony. – Napijesz się czegoś? Zejdę po kawę.

– Chętnie, jeśli uda ci się znaleźć zieloną herbatę.

– Zrobię, co będę mógł – zapewnił Federico, zamykając za sobą drzwi.

Upłynęło niespełna pięć minut, kiedy ponownie pojawił się w pokoju, ostrożnie niosąc na małej tacy dwa pełne plastikowe kubeczki.

– Jest herbata – oznajmił z miejsca.

– Cieszę się. – Catalina się uśmiechnęła. – Możesz zostać?

– Tylko pół godziny, nie miałem czasu zjeść obiadu. Muszę coś przegryźć. O szesnastej mamy zebranie. Nie wiem, o której uda mi się urwać – dodał przeproszającym tonem.

– Nie przejmuj się – uspokoiła go Catalina. – Zadzwoń wieczorem?

– Oczywiście! W przeciwnym razie nie udałoby mi się zmrużyć oka – przyznał szczerze Federico.

Pół godziny zleciało w mgnieniu oka. Federico ucałował czule Catalinę, pogładził jej okrągły brzuch i udał się do biura. Młoda kobieta westchnęła i chwyciła przyniesioną przez partnera świeżą prasę. Przeczytała kilka artykułów i zmorzył ją sen. Obudził ją przeszywający ból w dole pleców. Przestraszona sięgnęła w stronę przycisku pozwalającego wezwać dyżurną pielęgniarkę. Zrozumiała jednak od razu... Zaczął się poród. Nie udało się jej zatrzymać dłużej maluszka. Ogarnęła ją panika. Co będzie? Dziecko było jeszcze takie malutkie...

Wszystko odbyło się bardzo szybko. Lekarz potwierdził przypuszczenia Cataliny. Tym razem nikt nie krył obaw co do losu dziecka. Zawiadomiony Federico pojawił się w niespełna piętnaście minut, udało mu się złapać taksówkę. Dwie godziny później na świat przyszedł mały, bardzo mały chłopczyk. Przeżył pół godziny. Catalina również chciała umrzeć. Co warte było teraz jej życie? Zapłakani wybrali imię – maluszek wpisany został do szpitalnego rejestru jako Julio Montez. Federico nie wyobrażał sobie nawet, żeby jego syn nie nosił nazwiska ojca. W innych okolicznościach Catalina byłaby z tego powodu bardzo szczęśliwa. Teraz wydawało się jej, że ich życie to prawdziwy koszmar.

Najgorszy okazał się dzień, kiedy osłabiona i wycieńczona płaczem Catalina klęczała u boku milczącego Federica przed malutką trumną. Jak uda się jej żyć dalej? Nigdy więcej nie uśmiechnie się, nie zatańczy, nie posłucha muzyki, nie pójdzie do pracy... Lista nie miała końca. Federico z trudem oderwał ją od grobu ich synka, siłą zaprowadził do samochodu, wniósł po schodach, położył do łóżka i podał przepisane przez szpitalnego lekarza środki uspokajające. Jemu również nie było łatwo. Wyrzucał sobie sposób, w jaki zareagował, kiedy młoda kobieta zwierzyła się mu ze swoich marzeń, przyznała, jak bardzo zależało jej na macierzyństwie. Powinien był się zgodzić, nie narażać jej na stres.

Catalina wreszcie zapadła w sen. Federico wyciągnął się obok niej ubrany, nieogolony, zmęczony. Z miejsca zrozumiał, że i jemu trudno będzie usnąć. Nie przestawał myśleć o Juliu... ich małym, maciupieńkim synku śpiącym na cmentarzu. Instynktownie wyczuwał, że uda im się wyjść z tego cało, jeśli w ich życiu zajdzie jakaś zmiana. Potrzebowali czegoś pozytywnego. A gdyby tak jutro się oświadczył? Ślub przypieczętuje ich związek i uszczęśliwi Catalinę. Tak, to było dobre wyjście...

Pobrali się kilka tygodni później. Catalina uśmiechała się ponownie, ufała, że życie przyniesie im jeszcze miłą niespodziankę, że wkrótce ponownie zajdzie w ciążę.

Małżonkowie zakupili działkę na przedmieściu Barcelony. Wybrali architekta, zajęli się projektem ich przyszłego domu. Nie mieli kłopotów finansowych, mogli pozwolić sobie na wybudowanie dużego domostwa. Liczne pokoje pozwolą im przyjmować przyjaciół, rodzinę, a także pomieścić bez problemu kilkoro dzieci. To była szczęśliwa odskocznia.

Kłopoty wróciły po kilku miesiącach. Mimo licznych prób Catalinie nadal nie udawało się zajść w ciążę. Ginekolog ją uspokajał. Nie była jeszcze stara. W jej wieku potrzeba trochę więcej czasu, wszystko powinno być dobrze.

Czas mijał szybko, coraz szybciej, a Catalina nadal miała malutki brzuch. Nękała ją teraz myśl o przyszłej ciąży. Była coraz bardziej niecierpliwa, zaniepokojona, nieszczęśliwa. Federico pocieszał ją, jak tylko mógł, wypominając sobie, że nie wyraził zgody na założenie rodziny, kiedy byli młodszy. Gdyby mógł to przewidzieć...

Po roku regularnego współżycia nadal nie było ani śladu ciąży. Lekarz stwierdził, że stres i napięcie psychiczne, a także wiek kobiety, która właśnie skończyła trzydzieści pięć lat, musiały grać swoją rolę. Podejrzał zaburzenia owulacji częste u pacjentek w jej wieku. Catalina poddała się więc terapii hormonalnej świadoma, że pozostawała im jeszcze inseminacja lub zapłodnienie *in vitro*.

Zbliżało się lato. Federico planował wakacje na południu Francji. Potrzebowali odpoczynku. Pamiętał, że kiedy się poznali, Catalina marzyła o Lazurowym Wybrzeżu. Chciał sprawić jej przyjemność. Małżonkowie spędzili dwa przemiłe tygodnie w Nicei. Po powrocie do Barcelony czekała na nich niespodzianka. Catalina udała się na wizytę kontrolną do ginekologa. Wychodząc, czuła się najszczęśliwszą kobietą na świecie.

– Federico! – krzyknęła do telefonu. – Jestem w ciąży! Będziesz tatą!

– Catalina, jesteś pewna? – zapytał wzruszony Federico.

– Tak. Wychodzę od ginekologa. Terapia hormonalna musiała podziałać. Zresztą wszystko mi jedno. Wreszcie jestem w ciąży – dodała radośnie.

– Wróć wcześniej – odparł młody mężczyzna. – Nie gotuj niczego, zabieram cię do restauracji. Jest co świętować, prawda?

Catalina potaknęła, przesłała mu całusa i udała się do pierwszego lepszego sklepu z zabawkami. Nie namyślając się, kupiła małego zajaczka i zadowolona wróciła do domu.

Ciąża przebiegła dobrze. Szczęśliwi małżonkowie czekali w napięciu. Wreszcie pozostał tylko miesiąc. Teraz byli spokojni. Catalina często odwiedzała grób synka. Kolejne dziecko pomoże jej wreszcie zaakceptować sytuację. Liczyła na to.

Trzy tygodnie później przyszła na świat mała dziewczynka – Blanca Catalina Montez. Poród był trudny. Przed opuszczeniem szpitala Catalina długo rozmawiała z lekarzem, który odradził jej myśl o ponownej, zbyt ryzykownej jego zdaniem, ciąży. „Trudno – myślała pogodzona z losem – nie mogę się użalać. Mam rodzinę, duży, ładny dom. Niczego nie brakuje mi teraz do szczęścia”.

8.

Cathy wyszła z obory. Weterynarz potwierdził ich przypuszczenia: ranna krowa miała się dobrze, za dwa, trzy dni będzie mogła wrócić na pole. Zamyślona kobieta skierowała się w stronę ogródka. Jean przygotował już wszystkie grządki i Cathy zastanawiała się, co posadzi i wysieje tego roku. Niebo nadal było pochmurne, od czasu do czasu pokazywały się jednak małe błękitne skrawki. „Niedługo wróci słońce” – myślała z rozkoszą Cathy. Lubiła czytać na świeżym powietrzu, w otoczeniu kwiatów i warzyw. Nagie grządki nie zachęcały do dłuższego pozostania na zewnątrz. Zresztą mała ławeczka wymagała świeżej farby. Wilgoć niszczyła sprzęt i budynki. Cathy w pośpiechu rzuciła okiem na ogród. Znaczną jego część zajmą jak co roku ziemniaki. Nie zabraknie miejsca na kapustę, pory i rząd marchewek. Wokół ławki pojawiły się pierwsze kielki minitulipanów – zwiastuny wiosny.

Cathy ziewnęła i zawołała psa. W lodówce nie brakowało resztek, będą jak znalazł na obiad. Po południu zrobi zakupy i zatrzyma się u Julii. Może uda się im odwiedzić Laurę?

W kuchni Jean już wstawiał wodę na herbatę. Na widok Cathy się uśmiechnął.

– Mieliliśmy szczęście. Nie ma potrzeby martwić się o dodatkowe honorarium weterynarza. Przypuszczam, że pojedziesz do miasteczka?

– Tak. Muszę zrobić trochę zakupów do domu i ogródka. W powrotnej drodze odwiedzę Julię. Chciałabym również wpaść do Laury – dorzuciła Cathy.

– W takim razie pozostaje mi życzyć ci powodzenia.

– Nie mów, że znowu jesteś zbyt zajęty, żeby ze mną pojechać. – Cathy się roześmiała.

– Nie potrzebujesz mojej pomocy, zwłaszcza jeśli będzie Julia.

W odpowiedzi Cathy ziewnęła ponownie.

– Śpisz jak suseł, a nie przestajesz ziewać. Czyżby twoje sny stały się zbyt męczące? *À propos...* Nic nowego?

– Nie gniewaj się, ale chciałabym najpierw podzielić się tym z Julią. Wygląda na to, że ona jedna umie je zinterpretować.

– Rozumiem – odparł Jean, z trudem zdobywając się na powagę. – Nie zapomnij o zakupach.

Cathy się uśmiechnęła. Lubili się droczyć.

– Zrobię, co będę mogła – zapewniła, przyjmując podobny ton głosu. – A teraz zostaw mnie w spokoju. Muszę zanotować, czego potrzebuję. Na obiad będą resztki, w lodówce ich nie brakuje.

Jean wstawił pustą filiżankę do zmywarki i udał się do biura, gdzie czekały na niego odłożone kilka dni temu papiery i rachunki do zapłacenia. Kochał wiosnę, budzącą się do życia przyrodę, śpiewające ptaki, słoneczne niebo i poranne mgły unoszące się nad polami. Jedynym cieniem w tym sielankowym obrazie był fakt, że wiosna to okres rozliczeń i deklaracji podatkowych. Za dwa tygodnie pojawi się księgowy. Należało przygotować potrzebne dokumenty, żeby nie tracić czasu w jego obecności. W tym roku bilans nie zapowiadał się zbyt różowo i Jean liczył na pomoc księgowego, który

z pewnością będzie umiał doradzić i zaproponować wyjście z zawilej sytuacji. Całe szczęście, że Cathy była zajęta. Coraz trudniej było mu ukryć niepokój co do przyszłości ich gospodarstwa. Zamyślony zabrał się do segregowania papierów.

W tym czasie Cathy skończyła listę zakupów i sięgnęła po telefon. Julia odebrała natychmiast.

– No, nareszcie! – rzuciła rozradowana. – Myślałam, że leniuchujesz w łóżku – zażartowała.

– Julia! – obruszyła się Cathy. – Dochodzi południe! Nigdy nie śpię o tej porze – oznajmiła, ziewając na całego.

– Za to ziewasz! – odparowała Julia.

– Masz rację – przyznała tym razem Cathy. – Od jakiegoś czasu nie przestaję ziewać. Powiedz: będziesz w domu? Jadę na zakupy i zamierzałam wpaść potem do ciebie.

– No pewnie. Dawno nie rozmawialiśmy. Nie lubię pozostawać na boku – dorzuciła szczerze.

Cathy wybuchnęła śmiechem.

– Nie chcę zostawiać cię na boku. Wprost przeciwnie, będziesz w samym sercu akcji – obiecała. – Wyjadę wcześniej, powinnam być u ciebie przed piętnastą. Pasuje ci?

– Tak. Upiekłaś ciasto? – zapytała łakomie Julia.

– Nie miałam czasu. Za to mam ci dużo do opowiedzenia. Ciasto będzie następnym razem – przyrzekła Cathy, znów ziewając.

– Kiedyś ludzie przychodzili w odwiedziny do chorych, przynosząc im smakołyki. Tak, czasy się zmieniają...

– Nie jesteś chora – przerwała przyjaciółce Cathy. – Nie mamy czasu na podwieczorek. Chciałabym wpaść do Laury – dorzuciła nieubłagana.

– Żartować nie można? Czekam na ciebie – zapewniła Julia i cmoknęła do słuchawki.

Cathy pospiesznie nakryła do stołu i zawołała Jeana. Godzinę później kuchnia była sprzątnięta. Młoda kobieta chwyciła kluczyki od samochodu i ucałowała męża.

– Nie zapomnij wrócić na kolację. Będę głodny.

– W lodówce zostały jajka i trochę kielbasy. Jajecznica na kielbasie to jedyne danie, które zawsze ci się udaje, prawda?

– Poddaję się. – Jean krztusił się ze śmiechu. – Nigdy z tobą nie wygram.

Cathy pomachała w odpowiedzi i małe clio ruszyło w stronę miasteczka.

Zakupy poszły jak z płatka, za to w sklepie ogrodniczym było sporo klientów. Zbliżała się wiosna. Większość okolicznych mieszkańców miała ogródek, któremu poświęcano o tej porze roku dużo czasu. Cathy wreszcie udało się zdobyć to, co zaplanowała: nasiona marchewki, sadzonki młodych ziemniaków, porów oraz dwa krzaki pnących róż. Zadowolona ponownie zasiadła za kierownicą. Julia czekała przed domem, niecierpliwie dreptając wzdłuż ogródka. Przyjaciółki ucałowały się w policzki, wyjęły z bagażnika zakupy, które należało przechowywać w lodówce, i udały się do kuchni.

– No, opowiadaj – popędziła Julia, stawiając przed Cathy świeżo zaparzoną herbatę.

– Sama nie wiem, od czego zacząć. – Przybyła się zawahała.

– Od początku.

– Julia! Jestem pewna, że doskonale zrozumiałaś, co miałam na myśli. Wydarzyło się tyle rzeczy, kiedy byłaś chora. Zacznę od wizyty Bernadette.

Nie czekając na odpowiedź przyjaciółki, Cathy szczegółowo opisała wieczór spędzony z Bernadette i Bertrandem. Julia potakiwała niecierpliwie, przypominając, że wiedziała już sporo – przecież Cathy zadzwoniła do niej zaraz po owej wizycie.

– Chciałam opowiedzieć ci wszystko dokładnie – wyjaśniła spokojnie Cathy. – Musimy zaplanować rozmowę z Laurą. Ani mowy, żebyśmy się pogubiły w jej obecności, nie jestem pewna, czy będziemy miały drugą szansę.

– Chyba masz rację. Przepraszam, Cathy, jestem taka niecierpliwa. Nie wiem, jak ty to robisz. Jakim cudem udaje ci się zachować podobny spokój? Przysięgam, że nie przerwę ci już ani słowem!

Cathy uśmiechnęła się z pobłażaniem: dobrze wiedziała, jak trudno przychodziło Julii milczenie.

– Skończyłam. Chyba że chcesz posłuchać, co mi się śniło.

– Nowe sny? Zamieniam się w słuch – powiedziała Julia.

Cathy opowiedziała o Kaisie, Kathleen i Catalinie, zaznaczając, że nie śniło się jej nic innego od czasu ich wypadu do Nantes. Zamilkła wreszcie, w napięciu czekając na reakcję Julii prezentującej teraz niezwykle skupioną minę.

– Zauważyłaś, że znów chodzi o moje imienniczki? – dorzuciła Cathy, przerywając przedłużającą się ciszę.

– Tak – rzuciła Julia. – Wzruszające historie. Wygląda na to, że Kathleen ma z tobą wiele wspólnego. Jesteś wzorem cierpliwości i poświęcenia. Za to nie bardzo wiem, co myśleć o Catalinie i jej problemach.

– Naprawdę uważasz mnie za osobę cierpliwą? – zapytała zdumiona Cathy.

– Oczywiście, i chętnie poświęcającą się dla innych. Bez ciebie Martin jadłby chleb przez cały tydzień, a ja chorowałabym do dzisiaj. A przecież znamy się od tak niedawna. Jesteś wyjątkową osobą, Cathy, to nie ulega wątpliwości – dodała z przekonaniem. – Wyglądasz na zawiedzioną.

– Nie. No, może troszeczkę – przyznała z niechęcią Cathy. – Liczyłam na jakieś wyjaśnienie ostatniego snu. Nie przestaję o nim myśleć – dodała, ziewając po raz enty tego dnia.

– Cathy, zauważyłam, że bezustannie ziewasz.

– Ja również zdaję sobie z tego sprawę. Stale chce mi się spać, chociaż nie kładę się późno. Wiosna daje mi w kość.

– Może i masz rację – przyznała niepewnie Julia. – Idziemy do Laury?

– Teraz, od razu? Bez przemyślenia sprawy?

– Tak. Jest szesnasta trzydzieści. O tej porze zastaniemy ją w domu, Carla wraca ze szkoły, matka czeka na nią codziennie z podwieczorkiem.

– Nie jestem pewna, czy obecność Carli ułatwi nam zadanie – rzuciła spokojnie Cathy, przywołując w pamięci swoją poprzednią wizytę.

– A ja myślę, że nie ma na co czekać – oznajmiła stanowczo Julia, podnosząc się

z impetem. – Dobrze wiem, że nie przestajesz o tym myśleć – dodała karcącym tonem. – Biedny Jean żywi się resztkami z lodówki. Możesz mi wierzyć, powinniśmy załatwić to jak najszybciej. Tak będzie najlepiej.

Cathy osłupiała.

– Masz głupią minę, Cathy – roześmiała się Julia. – Przecież to tylko żarty!

– Jean naprawdę jadł dzisiaj resztki – wyjaśniła oszołomiona Cathy. – Miałam ich pełno. No dobrze, chodźmy już.

Przyjaciółki pospiesznie narzuciły kurtki i udały się do Laury.

Przed drzwiami stał samochód. Cathy pytająco spojrzała na Julię.

– Nie mylisz się, to samochód Laury. Wróciła już ze szkoły i moment jest odpowiedni na naszą wizytę – dodała z przekonaniem. Nie namyślając się dłużej, wyciągnęła rękę i nacisnęła dzwonek.

Laura otworzyła natychmiast.

– Julia! – krzyknęła radośnie. – Wyzdrowiałaś wreszcie!

– Tak i przywiodłam ze sobą moją przyjaciółkę, Cathy – przerwała jej Julia.

Laura zmarszczyła brwi. Odkryła obecność Cathy w tym samym czasie i nie wiedziała, co zrobić. Koniec końców, z wyraźnym ociąganiem, odsunęła się na bok, zapraszając kobiety do wejścia.

Julia puściła oko do Cathy, której z trudem udawało się zachować pozorny spokój.

Zbliżały się do kuchni. W drzwiach pojawiła się dziewczęca sylwetka. Na widok gości Carla się uśmiechnęła. W mgnieniu oka ucałowała Julię i ukloniła się Cathy.

– Dzień dobry – powiedziała grzecznie. – Znamy się chyba.

– Tak – przyznała Cathy. – Przyszłam, kiedy byłaś chora. Nie wiem, czy sobie przypominasz.

– Pamiętam – potwierdziła dziewczynka. – Nie została pani długo.

– Carla! – zganiała córkę matka. – Tyle razy mówiłam ci, że nie powinnaś mieszać się do spraw dorosłych – dodała surowym tonem.

– Przepraszam, mam – odpowiedziała Carla. – Idę do pokoju. Mam dużo lekcji – wyjaśniła, zwracając się do przybyłych.

Chwyciła leżący u stóp schodów tornister i nie odwracając się, wbiegła na górę.

Zostały same. Laura zaprosiła kobiety do kuchni i bez słowa postawiła na stole filiżanki.

– Zrobię kawy – rzuciła. Po czym zerkając na Cathy, dodała nieoczekiwanie: – Chyba że woli pani herbatę.

Cathy uśmiechnęła się wreszcie.

– Tak, wolę, jeśli to pani nie przeszkadza. Chętnie napiję się herbaty.

Laura sięgnęła do wiszącej za nią szafki i wyciągnęła z niej dwa pudełka, które postawiła przed swoimi gośćmi. Następnie nastawiła wodę na herbatę i zaparzyła kawę. Cathy sięgnęła po pierwsze lepsze pudełko i wyciągnęła z niego jedną torebkę. Nie cierpiała herbaty o smaku brzoskwiniowym. „Trudno, zawsze to lepsze niż kolejna kawa” – pomyślała z ulgą.

Milczenie przerwała Julia:

– Jesteśmy tutaj, żeby z tobą porozmawiać, Laura. Mamy parę rzeczy do

wyjaśnienia i moim zdaniem Cathy zrobi to najlepiej – dodała, nie zwracając uwagi na błagalne spojrzenie przyjaciółki.

Laura nie zamierzała ułatwić im zadania. Nalała kawę, sięgnęła po elektryczny czajnik i wypełniła filiżankę Cathy gorącą wodą, po czym usiadła przy stole.

Cathy nie chciała się poddać. Zaczęła spokojnie, opanowanym tonem. Po kilku słowach dała się ponieść emocjom. Potoczyła się żywa opowieść. Młoda kobieta nie zapominała o niczym, ani o kłopotach zatruwających im codzienne życie, ani o planach na przyszłość. Wspomniała o swoich poprzednich wizytach, o poparciu, jakim z miejsca obdarzył ją Robert, mąż Marie. Opisała swój nieudany „występ” w domu Bernadette i zakończyła relacją z kolacji, podczas której poznała wreszcie Bertranda. Na koniec przemowy wyjęła z torebki naszkicowany przez mężczyznę projekt pokoi gościnnych.

Laura słuchała, nie przerywając. Od czasu do czasu sięgała po swoją filiżankę i popijała małymi łykami. Cathy skończyła wreszcie swój wywód i ośmieliła się zapytać:

– Co pani na to? Potrzebna nam będzie pomoc, jeśli nie chcemy zbytnio się zadłużyć.

– Sama nie wiem – odparła sucho Laura. – Nie mam dużo wolnego czasu, no i przyzwyczaiałam się do samotnego życia.

– Laura – przerwała jej Julia – jest ci ciężko. My również nie mamy lekkiego życia. Sama wiesz, że Cathy ma rację. No, nie daj się prosić. Bernadette zgadza się z projektem, ale pod warunkiem, że się do nas przyłączysz – dodała szczerze.

– Nie jestem zwolenniczką podejmowania nieprzemyślanych decyzji – odpowiedziała nieubłagalna Laura.

– Czas leci – rzuciła Cathy. – Jeśli pani się zgodzi, będziemy potrzebowali kilku tygodni, a nawet miesięcy, zanim zdołamy przedsięwziąć coś konkretnego.

Julia natychmiast poparła przyjaciółkę.

– Laura, rozumiem cię. Niełatwo jest decydować na chybił trafił. Nie chodzi tu o błahostkę, tylko o naszą przyszłość. Zastanów się, dobrze? Tylko niezbyt długo. Liczymy na ciebie – dodała. – A teraz pójdziemy już, Cathy ma jeszcze kawałek drogi do domu, a zbliża się pora kolacji.

W drzwiach pożegnały się z Laurą. Carla nie wychyliła głowy ze swojego pokoju. „Albo jest wyjątkowo posłuszna, albo nie chce narażać się matce” – pomyślała Cathy.

Kiedy tylko oddaliły się wystarczająco, żeby Laura nie mogła ich usłyszeć, Cathy ziewnęła na całego. Julia wybuchnęła śmiechem.

– Wszystko wskazuje na to, że miałaś wyjątkowo nudne popołudnie – skomentowała z humorem.

– Nie śmieję się – skarciła ją Cathy. – Nie rozumiem, dlaczego stale mam ochotę na ziewanie – dodała.

– Może tak jak ja złapałaś jakiegoś wirusa, a może pierwsze wiosenne dni są uciążliwe dla twojego organizmu. Chyba że...

– Chyba że co? – zapytała Cathy.

– Nic, tak sobie powiedziałam – odparła Julia, zmieniając temat. – Co powiesz na wypad do Nantes w przyszłym tygodniu?

– Nęcąca propozycja – odpowiedziała Cathy. – Zastanowię się.

Po odebraniu zakupów umieszczonych w lodówce Cathy pożegnała się z Julią i Martinem, który wrócił już do domu. Z ulgą ruszyła w drogę. Czowała się senna. Z rozkoszą myślała o ogniu w kominku, kolacji z mężem, chwili odpoczynku. Zwolniła i wjechała na podwórko. Jean właśnie skończył dojenie. Ucieszył się na widok wracającej Cathy. Jet już biegł w stronę ukochanej pani.

– Tak mi miło – stwierdziła Cathy, wysiadając. – Czekacie od dawna?

– Odkąd wyjechałaś – odparł z powagą Jean, obejmując żonę ramieniem.

Cathy się uśmiechnęła.

– Zacznijmy od wyładowania zakupów. I skoro już tu jesteście, liczę na waszą pomoc – sprecyzowała Cathy, otwierając bagażnik.

Jean chwycił najcięższe siatki, a uszczęśliwiony Jet biegł za nim, trzymając w pysku paczkę papierowych ręczniczków. Cathy zajęła się zakupami przeznaczonymi do ogródka i zadowolona podążyła za nimi. Ułożenie produktów w lodówce oraz szafkach zajęło jej kilka minut, przygotowanie kolacji nieco dłużej.

Kiedy wreszcie zasiedli przed talerzami sałaty z boczkiem, pomidorkami, jajkami na twardo oraz domowymi grzankami, opowiedziała mężowi o wizycie u Laury.

– Nie odbyło się to źle. Moim zdaniem Laura jest zagubiona, nie bardzo wie, jak powinna postąpić – podsumowała.

– Myślę, że jest jej jeszcze trudniej niż nam wszystkim – odparł Jean. – Jest sama, zdana na podejmowanie wszelkich decyzji i wychowywanie małej córki. To spory ciężar.

– Masz rację – zgodziła się Cathy. – Jestem dobrej myśli. Miałaś świetny pomysł z tymi pokojami gościnnymi.

– Ja? – zdziwił się Jean. – Wszystko zaczęło się od twoich snów. Mam nawet wrażenie, że one zmieniły nasze życie – dorzucił. – *À propos*: nie masz mi czegoś do opowiedzenia?

– Jest późno – odparła Cathy, ziewając. – Opowiem ci jutro, obiecuję. Kto wie, może tej nocy przyśni mi się coś nowego?

*

Trzy tygodnie później.

Pierwszy słoneczny wiosenny dzień dobiegał końca. Romain wracał do domu z dwiema siatkami zakupów w rękach. Emma wręczyła mu listę tego ranka i Romain solennie obiecał, że o niczym nie zapomni. Na kolację zaproszeni zostali: Julia i Martin, Marie i Robert, Bernadette z mężem oraz Cathy i Jean. Laura obiecała, że wstąpi na *apéritif*. Julia skomentowała ową obietnicę krótkim „a nie mówiłam?”, Cathy zaś przyjęła ją jako osobiste zwycięstwo. Przyjaciółki widywały się, kiedy tylko czas im na to pozwalał.

Spędziły kolejne przemiłe popołudnie w Nantes i tym razem Julia zaprosiła Cathy na obiad. To drugie sobotnie popołudnie było równie udane, jak poprzednie. Julia kochała swój ogródek, chętnie podzieliła się z Cathy doświadczeniem. Lubiła sadzić warzywa, zajmować się drzewkami owocowymi, pielęgnować kwiaty. Jej pasją były różnokolorowe bukiety. Nie miała w sobie nic z płytkiej, interesującej się jedynie perfumami i sukienkami kobiety. Była przemiłą towarzyszką, pełną życia, werwy oraz dobrego

humoru.

Romain i Emma z zainteresowaniem śledzili rozwój sytuacji. Nie byli rolnikami. Od samego początku, od dnia, w którym poznali Cathy i Jeana, zrozumieli jedno: ci dwoje potrafili zjednywać sobie przyjaciół. Dzięki nim Romain zyskał nowych klientów i znajomych. Martin oraz Bertrand często zachodzili teraz do baru, dyskutowali, wymieniali uwagi o pogodzie, rosnących cenach, przyszłości. Kiedy Emma zaproponowała, żeby pierwsza wspólna kolacja odbyła się w ich domu, Romain zgodził się bez wahania. Emma miała zająć się głównym daniem. Wybrała przepis na danie, które udawało się zawsze: kurczaka po baskijski. Cathy powierzono upieczenie ciasta. Pozostali goście mieli przynieść wino oraz słone i słodkie smakołyki na *apéritif*. Każda z par miała czas, żeby zastanowić się i przedyskutować projekt przyszłych pokoi gościnnych. Romain i Emma mieli kilka sugestii i z niecierpliwością czekali na kolację.

Romain przełożył siatki do jednej ręki i sięgnął do kieszeni. Drzwi otworzyły się, zanim zdążył wyjąć klucze.

– Już jestem. – Emma przywitała go uśmiechem. – Kupiłeś wszystko?

– Tak – potwierdził Romain, idąc za żoną do kuchni.

Nie tracąc ani chwili, Emma opróżniła siatki, z ulgą chwytając pęczek tymianku oraz małe pudełeczko pieprzu cayenne. W kuchni pachniało kurczakiem.

– Doskonale – oznajmiła Emma. – Teraz mogę przyprawić moje danie jak należy. Ryż wstawię w ostatniej chwili. Jak myślisz: spodobają się im nasze pomysły? – zapytała.

– Zobaczmy – odparł spokojnie Romain. – Cathy i Jean chętnie słuchają rad innych. Zresztą nie narzucamy im niczego. Ktoś musi zająć się zamówieniami. Tym kimś mogę być ja, jeśli ufają mi na tyle. Równie dobrze mogą powierzyć tę funkcję komuś innemu.

– Szkoda byłoby, ale zgadzam się z tobą, decyzja należy do nich – przyznała Emma, dorzucając do dania sporą szczyptę pieprzu cayenne oraz kilka pędów tymianku.

W tym momencie rozległ się dzwonek u drzwi.

Romain zerknął na zegarek.

– Nie wiem, kto przyszedł tak wcześnie. Możesz otworzyć? Chciałbym się przebrać.

– Oczywiście – uspokoiła go Emma. – Któż to może być? Goście powinni pojawić się dopiero za godzinę.

Romain zniknął w korytarzu prowadzącym do pokoi oraz łazienki. Zaintrygowana Emma udała się w stronę drzwi wejściowych. W progu stał Jean.

– Jesteś sam? – zapytała zdziwiona, całując go w policzki. – Jeszcze dwa razy – dodała. – Musisz się przyzwyczaić, Jean, tutaj całujemy gości cztery razy. Ani jeden więcej, ani jeden mniej.

Roztargniony Jean cmoknął nadstawione policzki i wręczył gospodyni dużą siatkę.

– Pięknie pachnie – stwierdziła Emma. – Przyniosłeś ciasto? Gdzie się podziała Cathy?

– Zaraz ci wytłumaczę – odparł Jean. – Poczekaj chwilę, w samochodzie mam drugą siatkę. Cathy nie chciała pokruszyć ciasta. Wino jest w bagażniku – wyjaśnił.

– Dobrze. – Emma się uśmiechnęła. – Idę do kuchni. Wejdz bez dzwonienia.

Jean pojawił się po chwili, niosąc dwie butelki białego wytrawnego wina.

– Mmm, pachnie smakowicie – oznajmił.

– Dziękuję – odparła zadowolona Emma. – Romain bierze prysznic. Nie miał czasu się przebrać po pracy. To moja wina, wysłałam go po zakupy. A ty co zrobiłeś z żoną?

Jean westchnął.

– Cathy jest u lekarza.

– Coś się stało? – zaniepokoiła się gospodyni.

– Nie, nie sędzę. Od jakiegoś czasu jest stale senna, chociaż w nocy śpi jak suseł. Dawno nie robiła badań. Powinna przyjść za jakąś godzinę.

– Przyjść? – powtórzyła zdziwiona Emma.

– Tak, Cathy stwierdziła, że spacer dobrze jej robi. Jest ładna pogoda. Od lekarza do was na piechotę idzie się jakieś piętnaście minut, prawda?

– Masz rację – przyznała Emma. – Przychodnia nie jest daleko. Teraz rozumiem, dlaczego jesteś przed czasem. Zawiozłeś Cathy do lekarza.

– No właśnie, mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Mogłem przejechać się po mieście, ale ani wino, ani ciasto nie lubią nagrzanym samochodów. Och, jest Romain. Jego też muszę pocałować cztery razy?

– Nawet o tym nie myśl – rzucił Romain, serdecznie ściskając wyciągniętą dłoń. – Jesteś sam?

Po krótkich wyjaśnieniach Romain zaprosił Jeana do salonu. Emma pilnowała swojego dania. Mężczyźni dyskutowali spokojnie, kiedy w korytarzu rozległ się śmiech Julii.

– Aha – zauważył Romain – goście zaczynają się schodzić. Jesteś gotowy, stary?

– Co takiego?

– Wszyscy postawią ci to samo pytanie: co zrobiłeś z Cathy.

Ledwie skończył zdanie, a już zabrzmiał donośny głos Julii:

– Gdzie się podziała Cathy?

Jean zadowolony przybyłą krótkim „zaraz tu będzie” i czterokrotnie ucałował Julię w policzki.

– Wreszcie się przyzwyczaiłeś – stwierdziła zadowolona.

Martin ucisnął dłoń gospodarza i serdecznie poklepał Jeana po plecach.

– Przyniosłem butelkę białego martini, będzie jak znalazł na *apéritif* dla naszych pań.

– Kupiliśmy oliwki i orzeszki ziemne – dodała łakomie Julia.

Zanim usiedli, pojawiła się Emma w towarzystwie Bernadette i Bertranda. Przybyli się przywitali. Bernadette rozejrzała się dookoła, najwyraźniej szukając Cathy, ale swoim zwyczajem powstrzymała się od uwag. Marie i Robert dołączyli do nich kilka minut później. Brakowało jedynie Cathy i Laury z córeczką.

Romain zaproponował *apéritif*. Emma zniknęła w kuchni, skąd dochodził zachęcający zapach kurczaka w sosie pomidorowym.

– Jak myślisz? – zapytała zajętego otwieraniem butelek męża. – Możemy liczyć na Laurę i Carłę?

– Nie mam pojęcia – odparł Romain. – Niepokoi mnie nieobecność Cathy, już

powinna tu być.

– Jean również się dręczy. Zauważyłeś, że nie przestaje patrzeć na zegarek?

– Powiedział mi, że chodzi o zwykłą wizytę kontrolną – rzekł Romain. – Słyszysz?

Ktoś puka do drzwi – dodał.

Emma natychmiast odłożyła paczkę orzeszków i pobiegła otworzyć.

Zdumiona z trudem zdobyła się na uśmiech, kiedy ujrzała Laurę. Młoda kobieta przedstawiła siebie i swoją córkę, następnie podała Emmie dużą tacę z zapiekankami z żółtym serem oraz kawałkami boczku. Pachniało pięknie.

– Są jeszcze ciepłe. Mam nadzieję, że nie jesteśmy zbyt spóźnione – dorzuciła przepraszająco.

– Nie – odparła machinalnie Emma. – Cathy jeszcze nie przyszła.

– Ach – powiedziała tylko Laura, po czym zamilkła.

– Proszę wejść – zreflektowała się Emma, zapraszając przybyłe do środka. – Czekaliśmy na was – dodała serdeczniej.

Laura i Carla przywitały się ze znajomymi im już Julią, Martinem, Bernadette i jej mężem oraz Marie i Robertem. Emma przedstawiła im następnie Romaina i Jeana. Kiedy wszyscy znaleźli swoje miejsce wokół sporej ławy z jasnego, sosnowego drzewa, Romain napenił kieliszki. Rozpoczęła się rozmowa o ich projekcie. Bertrand przedstawił nowe szkice. Robert i Marie mieli kilka pomysłów co do dekoracji pokoi. Martin zapewnił, że umie i lubi malować wnętrza. Bernadette zaproponowała swoje usługi jako szwaczka, wywołując entuzjazm zgromadzonych. Krawiectwo było bardzo drogie, podobnie jak inne usługi. Będą potrzebowali zasłon, kap na łóżka oraz poduszczyki na fotele i kanapy. Emma i Romain ośmielili się wtrącić swoje uwagi i sugestie, które spotkały się z ogólną aprobatą. Jeanowi z miejsca spodobał się pomysł powierzenia zamówień Romainowi, który znał się na rzeczy. Jedyne Julia milczała, co absolutnie nie leżało w jej zwyczaju. Pierwszy dostrzegł to jej mąż. Dyskretnie ujął ją za łokieć, zmuszając do wstania, i poprowadził w stronę wychodzącego na ogródek okna.

– No, mów: co się dzieje?

– Martin – szepnęła Julia – goście zdają się nie zauważać nieobecności Cathy. Czy ty wiesz, która jest godzina?

Martin zrozumiał natychmiast. Przed chwilą sam się tym dziwił. Doskonale wyczuł zdenerwowanie Jeana, który często zerkał na zegarek. Kiedy tylko zaczęli rozmawiać o wspólnym projekcie, Jean zdawał się zapomnieć o nieobecnej małżonce.

– Masz rację. Przyszła Laura, a ciągle jeszcze nie ma Cathy. Poczekaj, zapytam Jeana.

– Bądź dyskretny – przestrzegła męża Julia. – Cathy nie życzy sobie może, żeby wszyscy wiedzieli, gdzie jest.

– Ja wiem – rozległ się cichutki głos za ich plecami.

Martin i Julia odwrócili się jak na komendę. Za nimi stała Carla. Dziewczynka nudziła się najwyraźniej w towarzystwie dorosłych. Jej matka nie brała udziału w konwersacji, ale zdawała się przysłuchiwać jej ze szczególną uwagą. Nikt nie zajmował się Carłą.

– Co wiesz, kochanie? – zapytała Julia ciepłym głosem.

– Widziałam Cathy, kiedy jechałyśmy tutaj. Stała przed wystawą sklepu z zabawkami.

– Co takiego? – zdziwił się Martin.

– Sklepu z zabawkami – powtórzyła jak echo Julia.

– Najlepiej będzie, jeśli porozmawiamy o tym z Jeanem – dorzucił Martin.

– Poczekaj – zatrzymała go Julia. – Myślę, że powinniśmy poczekać, nie wtrącać się.

Martin przyjrzał się żonie. Znał ją dobrze. Od razu pojął, że Julia wie coś więcej i nie jest już niespokojna. Za ich plecami nadal trwała ożywiona dyskusja, w której uczestniczył Jean. Martin czuł się zagubiony. Najwyraźniej w powietrzu wisiała jakaś nieznana mu tajemnica. Tymczasem jego małżonka przestała zwracać na niego uwagę, skupiając się na Carli.

– Jesteś głodna? – zapytała Julia.

– Tak, ale nie wiem, czy zostaniemy tutaj na kolacji – wyznała Carla.

– Twoja mama jest zainteresowana poruszonym przez nas tematem. Dajmy jej czas. Niech sobie słucha. My pójdziemy do kuchni. Jestem pewna, że znajdzie się coś do przekąszenia, co ty na to?

– Super, umieram z głodu!

Martin uśmiechnął się, widząc Julię prowadzącą Carlę za rękę w stronę kuchni. Na wszelki wypadek zbliżył się do Emmy i szeptem poinformował ją o intencjach swojej małżonki. Gospodyni potaknęła ze zrozumieniem i wdała się w dyskusję z gośćmi. Sam Martin zapomniał o nieobecnej Cathy, o Julii karmiącej córkę ich sąsiadki w obcej kuchni i już po chwili z uwagą słuchał obecnych pochylonych teraz nad projektem naszkicowanym przez Bertranda. Ledwie zauważył wracającą Julię, a już całkiem przegapił fakt, że Carla ułożyła się za ich plecami. Pierwsza ocknęła się Laura. Zerknęła na usypiającą na kanapie córkę i przeprosiła obecnych:

– Musimy już iść. Carla jest zmęczona. Zastanowię się nad waszym projektem – obiecała.

– A może zostanie pani na kolacji? – zaproponowała Emma, wstając. – Carla już zjadła – dodała, uśmiechając się do Julii. – No i pora, żebyśmy wszyscy siedli do stołu. Jean, co ci jest?! – krzyknęła na widok pobladłej nagle twarzy przyjaciela.

– Cathy – wybąkał Jean. – Już dawno powinna tu być... A ja siedzę i spokojnie słucham propozycji odnośnie do naszego projektu... Chyba straciłem głowę – dodał, podnosząc się.

– Daj jej jeszcze chwilkę – rzuciła nieoczekiwanie Julia. – Nie ma podstaw do niepokoju.

Jean rzucił okiem na Julię. Teraz nie rozumiał już niczego. Czyżby przyjaciółka wiedziała coś więcej o wizycie u lekarza? Cathy nigdy go nie okłamała. Może miała kłopoty ze zdrowiem?

– Nic nie wiem – stwierdziła Julia, uprzedzając jego pytania. – Ale się domyślłam. Zaufaj żonie, Jean, i poczekajmy jeszcze chwilę z kolacją, jeśli nikomu to nie przeszkadza – dodała, spoglądając na obecnych. – Jestem pewna, że Cathy będzie głodna.

Goście nie ukrywali zdumienia. Robert nie zgadzał się ze zdaniem Julii. Na

zewnątrz było ciemno, należało niezwłocznie znaleźć Cathy. Marie dzieliła niepokój męża. Bernadette również wyglądała na poruszoną. Bertrand usiłował zmusić Julię do udzielenia im bardziej szczegółowych informacji. Romain i Emma nie odstępowali od pobladłego Jeana. Jedynie Laura siedziała spokojnie obok śpiącej teraz Carli. Nikt nie usłyszał dzwonka do drzwi, nikt nie zwrócił uwagi na wchodzącą do pokoju Cathy.

Młoda kobieta ścisnęła w rękach małą paczuszkę. Błyszczącymi oczyma spojrzała na obecnych, z satysfakcją notując obecność Laury z córeczką. Jej wzrok napotkał uśmiechnięte spojrzenie Julii. Przybyła skinęła głową, uśmiechając się porozumiewawczo. Zbliżyła się do męża. Jean dostrzegł ją wreszcie. Potykając się o meble, zrobił kilka kroków w jej stronę. Szukał słów. Cathy odezwała się pierwsza:

- Przepraszam za spóźnienie. Musiałam się przejść.
- Niepokoilem się – szepnął Jean, zerkając na niewielką paczuszkę.
- Otwórz – rzuciła krótko Cathy, podając mężowi swój zakup.

Jean chwycił pakunek i drżącymi rękoma rozwinął kolorowy papier. Zdumiony wyciągnął małego złotego zajączka.

Cathy zdała sobie sprawę, że w pomieszczeniu panowała teraz zupełna cisza. Obecni przypatrywali się im w napięciu. Jedynie Julia uśmiechała się od ucha do ucha. Cathy puściła do niej oko, po czym ujęła Jeana za rękę, mówiąc:

– Ze wszystkich moich snów sprawdził się ten najpiękniejszy. Za kilka miesięcy będzie nas troje.

Goście zareagowali natychmiast. Przekrzykując się i śmiejąc, zaproponowali Emmie, że chętnie napiją się raz jeszcze z Cathy. Należało uczcić tę wiadomość. Jean wpatrywał się w żonę, nie rozumiejąc.

Julia zbliżyła się do nich niepostrzeżenie.

– Cathy, jesteś pewna, że opowiedziałaś mu swój ostatni sen? – zapytała, podając przyjaciołom pełne kieliszki, po czym oddaliła się, zostawiając ich samych.

Cathy uśmiechnęła się i w kilku słowach opowiedziała Jeanowi o swojej hiszpańskiej imienniczce, Catalinie, o gorącym pragnieniu dziecka, o zagrożonej ciąży, wreszcie o narodzinach małej dziewczynki i bezgranicznej radości jej rodziców.

W oczach Jeana zabłyszczały łzy szczęścia.

– Masz rację. Siódmy sen był najpiękniejszy – powiedział wzruszonym głosem, ściskając w dłoni małego zajączka.